



THE NON-ADAPT  
TRAITER

USA TODAY BESTSELLING AUTHOR

**J.M. DARHOWER**

**J.M. DARHOWER**

# **THE MAD TATTER**

Tłumaczenie : jagaa29

Korekta : K\*

Wszystkie tłumaczenia w całości należą do autorów książek jako ich prawa autorskie, tłumaczenie jest tylko i wyłącznie materiałem marketingowym służącym do promocji twórczości danego autora. Ponadto wszystkie tłumaczenia nie służą uzyskiwaniu korzyści materialnych, a co za tym idzie każda osoba, wykorzystująca treść tłumaczenia w celu innym niż marketingowym, łamie prawo.

## **Opis:**

*Reece Hatfield miał tylko jedną zasadę, jeżeli chodzi o zakochiwanie się: nie robić tego, kurwa. W jego życiu nie było miejsca dla drugiej osoby. Ledwo utrzymać sprawy takimi, jakie były. Cień faceta, którym kiedyś był Reece, spędzał dni na tatuowaniu, artysta, który się w nim czuł, liczył na szansę zrobienia czegoś innego.*

*Avery Moore cała i bez przerwy jest tańcem. Balet jest wszystkim, co kiedykolwiek znała i jest w tym cholernie dobra. Jej ciało jest jej sztuką, płótnem, które urzeka Reecea od pierwszego spojrzenia.*

*On pragnie zostawić swój ślad na jej ciele... na więcej niż jeden sposób.*

*Wytatuowany degenerat z szemraną przeszłością. Piękna balerina z przyszłością. Żyją w innych światach, które w jakiś sposób do siebie pasują. Ale to, że do siebie pasują nie oznacza, że będą razem. Czasami tworzą się rysy.*

*Dwa kawałki nie zawsze tworzą całość. Kierunek uczuć nigdy nie jest prosty.*

*Robi się bałagan.*

*A Reece nie pakuje się w kłopoty.*

*Nigdy więcej...*

## SPIS TREŚCI:

## STRONA:

Wstęp	5
Rozdział 1	7
Rozdział 2	22
Rozdział 3	40
Rozdział 4	60
Rozdział 5	73
Rozdział 6	83
Rozdział 7	103
Rozdział 8	118
Antrakt	130
Rozdział 9	132
Rozdział 10	168
Rozdział 11	179
Rozdział 12	198
Rozdział 13	217
Rozdział 14	229
Rozdział 15	243
Rozdział 16	252
Rozdział 17	263
Rozdział 18	279
Finał	293

## WSTĘP

– Rzuć to! *Natychmiast!*

Tuż za nim latarka rzucała światło, oświetlające ponury budynek. Instynktownie otworzył dłoń, z której wyslizgnął mu się metalowy pojemnik, uderzając głośno o asfalt i turlając się w prawą stronę, zatrzymując się u jego stóp. Spojrzał na niego przez chwilę, po czym powoli odwrócił głowę, zerkając przez ramię, upewniając się, że nie wykonuje żadnych gwałtownych ruchów. Oślepiło go światło, gdy odbiło się od jego twarzy. Zamrugał szybko, widząc niewyraźnie postaci dwóch policjantów, blokujących mu drogę ucieczki, machających na prawo i lewo swoją bronią.

*Cholera.*

– Odwróć cię! – krzyknął oficer. – Trzymaj ręce tak, żebyśmy mogli je zobaczyć!

Chwilę zajęło mu wykonanie polecenia, był zaskoczony całą sytuacją. Powoli obrócił się, unosząc ręce do góry. Smugi czarnej farby pokrywały jego dłonie brudząc krawędzie rękawów bluzy. Złapany na gorącym uczynku. Albo, jak kto woli, na czarnym uczynku.

*Sukinsyn.*

Policjanci w mgnieniu oka znaleźli się przy nim, rzucając go na ścianę i skuwając ręce za plecami. Zacisnął zęby, gdy poczuł szorstki chłód na policzku. Kajdanki były mocno zapięte wokół jego nadgarstków, uniemożliwiając swobodny przepływ krwi, po czym szarpnęli nim i przycisnęli do jeszcze mokrej od farby ściany.

– Długo na to czekaliśmy – powiedział stojący przed nim oficer, gdy jego partner, złapał go z tyłu za kajdanki.

Specjalnie świecił mu latarką prosto w oczy, przez co drgnął jak oparzony, zupełnie oślepiony.

– Wiedziałem, że w końcu uda nam się ciebie złapać.

## PIERWSZY

– O Boże... Reece... tak, tak, tak... właśnie tam! – Jej głos rozbrzmiewał w małej sypialni, odbijając się od ścian oklejonych plakatami gwiazd filmowych i różowymi, księżniczkowymi bzdurami.

Jestem facetem z włączonym światłem, lubiącym patrzeć jak kobieta dochodzi pode mną, ponieważ to ja sprawiam jej tą rozkosz, ale tym razem musiałem je zgasić. Jestem w jakiejś disnejowskiej dziurze, a nie sposób pozostać twardym, gdy dookoła otacza cię to całe *czary-mary-hokus-pokus* gównno.

*Ona ma osiemnaście lat.*

Przypominam sobie, waląc słowa do swojej głowy tak samo, jak walę w nią.

*Moralnie wątpliwe... może, ale prawnie dość seksowne.*

– Och, Boże, tak, proszę... jeszcze, Reece... tak, tak, tak!

Owija swoje smukłe nogi wokół mojej szyi, opierając je o ramiona, a ja wciskam się w nią mocno, raz za razem. Z każdym ruchem bioder wbijam się w nią, wypełniając ją tak głęboko jak tylko mój fiut może dotrzeć, a to sprawia, że wydaje z siebie piskliwy dźwięk. Rozkoszuję się słodkim dźwiękiem, nosząc go jak odznaczenie honorowe. To ja sprawiłem, że śpiewa jak mała ptaszyna, którą zresztą jest.

*Lark.*

Pamiętam jej imię tylko, dlatego, że wytatuowałem je na jej plecach na jej osiemnaste urodziny... dokładnie czternaście dni temu. Dałem jej dwa tygodnie na wyleczenie tatuażu, dwa tygodnie bezsensownych smsów i śmiesznego flirtu

zanim rzuciłem ją na łóżko i pieprzyłem do utraty tchu. Jestem facetem, taaak i miałem na nią ochotę w chwili, gdy ją poznałem, ale jestem też profesjonalistą.

*Najpierw interesy, potem przyjemność.*

– O Boże.... Będę... Jestem... och!

Czuję jak dochodzi, jej ciało drży w konwulsjach z przyjemności, pulsując wokół mnie, gdy pcham mocno, utrzymując swój rytm. Tak szybko jak czuję, że jest zadowolona, a jej ciało się relaksuje w łóżku, pozwalam sobie na własne uwolnienie.

– Kurwa – mruczę, a intensywne przyjemność wybucha we mnie, gdy dochodzę.

Zatapiam się w niej jeszcze kilka razy zanim wyciszam się, zsuwam jej nogi na łóżko i opadam na nią wyczerpany. Zostaję tak przez chwilę, łapiąc oddech, a jej ręce błądzą po moich spoconych plecach, paznokciami delikatnie drapiąc skórę. Miarowe oddechy relaksują mnie, usypiając mnie do snu, aż czuję jej ciepły oddech przy uchu. Delikatnie całuje mój policzek, zostawiając na nim lepki ślad szminki. Ten intymny gest sprawia, że przechodzą mi ciarki po plecach, gdy, kurwa, próbuję się wymknąć.

*Niebezpieczeństwo! Niebezpieczeństwo! Czerwony alarm, dupku!*

Zanim jest w stanie ponownie mnie pocałować, obracam się, wyrzucam prezerwatywę do małego kosza na śmieci obok łóżka, gdy nasze nagie ciała splątane są w satynowej pościeli. Leży tyłem do mnie, ciało ma w większości przykryte kwiecistą kołdrą, ale plecy nadal odkryte. Mój wzrok wyznacza szlak wzdłuż jej kręgosłupa do tętniącej życia plamy atramentu.

*Oszalaniające.*

Nie mogę się powstrzymać i śledzę palcami linię tatuażu. Dwa ptaki wokół jej imienia napisanego fantazyjną kursywą. Dziewczęce jak cholera, to jasne, ale cholernie piękne. Przynajmniej dla niej coś to znaczyło. Czekam aż Lark zasypia, jej delikatne chrapanie wypełnia pokój, zanim wymykam się z



podwójnego łóżka i zbieram swoje rzucone na podłogę ubrania, niemal potykając się o pluszaki w drodze do drzwi.

*Zajebicie niewiarygodne.*

Praktycznie tańczę przemierzając korytarz, próbując założyć buty i zapiąć spodnie, zmierzając prosto do drzwi frontowych spokojnej kamienicy. Zimne powietrze uderza we mnie, gdy wychodzę w nocne powietrze... a raczej w poranne.

*Bez znaczenia.*

Mój zegarek pokazuje kwadrans po piątej, gdy zerkam na niego w świetle latarni. Za nieco ponad godzinę słońce zacznie wschodzić i rozjaśni niebo rozpoczynając kolejny dzień na Manhattanie. Zanim zdążę się w końcu położyć, zadzwoni mój budzik i będę musiał iść do pracy.

Cudownie.

Sięgam do kieszeni mojej czarnej bluzy z kapturem i wyciągam paczkę Newports, wyciągając z niej ostatniego papierosa.

*Cholera.*

Wkładam go w usta i schodzę po schodach w duchu się przeklinając. Mój *ostatni* papieros. Właśnie kupiłem paczkę z założeniem, że wystarczy mi na cały tydzień, a nie wystarczyła nawet na dwadzieścia cztery godziny. Ale to mi wystarczy. Kończę z tym. Muszę. Nigdy więcej nędznych uzależnień, które skracają życie, gdy mam zbyt wiele powodów, żeby żyć. Mam ją, żeby dla niej żyć... i obietnicę. Obietnicę, którą rozpaczliwie próbuję spełnić. Zgniatam pustą paczkę, wrzucam ją do kosza stojącego przy krawężniku i idę ulicą, naciągając kaptur na głowę, żeby zablokować wyraźnie chłodne powietrze. Rozglądam się, tylko chwili potrzebuję, żeby zorientować się, że jestem zaledwie kilka przecznic od mojego mieszkania na dolnym Eastside, wystarczająco blisko, żeby wrócić do domu. Zapalam papierosa, zaciągam się głęboko, rozkoszując się pieczeniem w klatce piersiowej, gdy nikotyna po raz ostatni koi moje nerwy.

Gdy wszędzie słońce będę nieznośnym kutasem, mentalnie nie mam, co do tego żadnych wątpliwości, ale tu i teraz jestem zadowolony z tego jak jest. A to tak naprawdę wydaje się być cholernie nędzna sytuacja. Bywają chwile... godziny, dni, tygodnie... gdy zastanawiam się o co w tym wszystkim chodzi, pytam sam siebie, po co w ogóle zawracam sobie tyłek porannym wstawaniem z łóżka. Ale widzę jej twarz, uśmiecha się tym swoim uśmiechem, tym, który skradł mi serce od razu, gdy tylko pierwszy raz go zobaczyłem i pamiętam. Pamiętam, dlaczego zwlekam dupę każdego ranka, dlaczego tak ciężko walczę, żeby być lepszym człowiekiem, dlaczego usiłuję wytyczyć własną drogę na świecie. Pamiętam, dlaczego wstaję z łóżka, dlaczego cały czas próbuję, chociaż wydaje się jakbym nic nie mógł zrobić z wyjątkiem upadku. Robię to wszystko dla niej.

*Nawet jeżeli prawdopodobnie byłoby jej lepiej beze mnie.*

Brzęczące echo roztacza się po zapleczu salonu, dźwięki składanki płyną ze starego magnetofonu Sony. Dzisiaj gra Tupac. To co klient chce, klient dostaje. Bas wibruje na długiej, drewnianej półce nad moją głową, piosenka przenika przeze mnie, gdy nieświadomie poruszam ustami słuchając jej, ale tak naprawdę nie słysząc niczego. Nie, nic nie słyszę, niczego nie czuję, *nic nie widzę* z wyjątkiem mojej interpretacji *Gwieździstej Nocy*<sup>1</sup> Van Gogha, leżącej na stole przede mną. Facet wszedł rano z plecami pustymi, jak czyste płótno, ale w ciągu kilku minut zamierza stąd wyjść z kurewskim arcydziełem. Czy jakoś tak, w każdym razie.

Jego pieprzona twarz nie pomaga. Jimmy? Jimmy ma tyle piercingu, że wygląda jak brzydala, którego twarz ktoś zatrzasnął w skrzynce z narzędziami.

---

<sup>1</sup> Dwie rzeczy... Pierwsza: kto wie, w jakiej innej książce jest bohater, który ma tatuaż Gwieździstej nocy van Gogha? Druga... uwielbiam van Gogha... nawet sobie nie zdajecie sprawy z tego jak bardzo;

Słysząc nudne brzęczenie, gdy wyciągam igłę i wycieram resztki atramentu i małe kropelki krwi z jego skóry. Dzieło będzie wymagało więcej niż jednej sesji, żeby dokończyć, ale udało mi się sporo zrobić podczas pierwszej części. Zamyślony wypluwam kawałek gumy... ten sam, który włożyłem do ust, gdy zaczynałem kilka godzin temu. Czuję się, jakbym żuł papier, aromat mięty dawno zniknął, pozostawiając w ustach nieprzyjemny smak.

– Dobrze, Jimmy. Możesz wstać i obejrzeć – mówię, wyłączając maszynkę to tatuowania.

Szum znika, mimo cholernej muzyki w pokoju jest cicho.

– Cholernie dobre – mówi Jimmy i uśmiecha się jak idiota, gdy patrzy w lustro na pokryty tuszem bok.

Wstaję, ściągam czarne, lateksowe rękawiczki i wyrzucam je do kosza, gdy ktoś podchodzi do drzwi. Ellie, pulchna recepcjonistka *Wonderland Ink*, opiera się o futrynę drzwi, przygryzając końcówkę taniego długopisu BIC, patrząc w dół na zniszczoną książkę z terminarzem i umówionymi klientami. Jasne, czerwone włosy ma zaplecione w dziecinne warkocze, jak Pipi Langstrumpf we własnej osobie.

– Twój klient z godziny szóstej dzwonił – mówi, nie patrząc w górę. – Wypadła mu jakaś ważna sprawa rodzinna, czy coś.

Mój wzrok dryfuje do zegara nad drzwiami. Zostało dziesięć minut. Piekło anulowania sesji. To miał być kawałek pomnika, który szkicowałem przez ostatni tydzień i zarwałem nockę, żeby go dopracować.

– Przeniosę go na następny miesiąc, więc nie masz nic innego aż do rana – oznajmia Ellie, spoglądając na mnie z błyskiem w jej naturalnych, niebieskich oczach, tak jasnych, że lśnią jak diamenty w piercingu, który ma w policzkach. – Chyba, że...

Unoszę na nią brew.

*Ocho...*

– Chyba, że?

– No cóż, mamy klientkę, która właśnie weszła z ulicy.

Wypuszczam głośno powietrze z płuc, ściągając niebieską czapkę Yankees i rzucając ją na biurko, obok mojego stanowiska pracy. Przeczesałem dłońmi moje jasne włosy, łapię je w garść, przez co część z nich staje prosto, gdy ja się zastanawiam. Nienawidzę klientów wchodzących z ulicy. Zwykle to szybka, prosta i nieprzemyślana rzecz, impuls, który kieruje ludzi, by bez jakiegokolwiek zastanowienia się trwale oznaczyli swoją skórę. Tatuże są sztuką... jestem dumny z bycia *artystą*. Może nigdy nie będę drugim Picasso, ale straciłem zainteresowanie takimi bzdurami jak kolorowanie między liniami cudzych obrazów, gdy byłem jeszcze dzieckiem z wiaderkiem połamanych kredek. A nawet wtedy wolałem rysować po ścianach.

– Czy któryś z chłopaków nie może tego zrobić? – pytam, wypluwając gumę prosto do kosza.

Jest nas trzech w *Wonderland Ink* w tej chwili... Kevin prowadzi salon, a Martin i ja, że tak powiem, zbieramy jego resztki.

– Obaj mają teraz sesje – mówi Ellie. – Martin powinien skończyć w ciągu godziny i prawdopodobnie mógłby wtedy ją wcisnąć, ale Kevin jest zajęty przez cały wieczór.

Przesuwam językiem po spierzchniętych ustach, po czym przygryzam srebrne kółko piercingu w ich kąciku, rozważając swoje opcje.

*Nie, żebyś miał.*

Aż chcę odmówić... i naprawdę cholernie chcę, to zrobić... Wiem, że nie powinienem. Nie mogę. Pieniądze to pieniądze ich nigdy nie jest za dużo i z pewnością nie jestem się w stanie odwrócić od szansy zarobienia paru dolarów. Czasami trzeba położyć uszy po sobie i wziąć zlecenie dla dobra zespołu, bez względu jak bardzo upokorzony się z tym czuję.

Tylko pieprz mnie i spadaj.

– Dobrze – mruczę, wskazując w stronę Jimmy’ego, który nadal przegląda w lustrze świeżo nałożony tusz. – Pozwól mi najpierw skończyć.

– Świetnie – mówi Ellie. – Ma na imię Bridgette.

Zakładam opatrunek ochronny na plecy Jimmy’ego i szybko tłumaczę mu zasady pielęgnacji tatuażu. To zupełnie bez sensu, skoro tatuowałem go już wcześniej. Idzie do recepcji, żeby zapłacić i zaplanować swoją kolejną wizytę. Wciskam *STOP* na magnetofonie i wyciągam kasetę z muzyką Tupaca, wrzucając ją do pudełka stojącego pod biurkiem, gdzie poleży do następnego razu. W oddali słyszę brzęczenie maszynek przy stanowiskach chłopaków. *Wonderland* jest określany czymś w rodzaju kliniki, ma hol główny i oddzielne pokoje wokół niego. Wszyscy spędzamy tutaj więcej czasu niż gdziekolwiek indziej, więc dbamy o własną przestrzeń roboczą, urządzając ją tak, jak nam się podoba. Kevin woli swoje kolory i chaos, a pokój Martina jest jak szalony mokry sen, na ścianach ma malowidła z pamiątkami, zaśmiecającymi całą wolną przestrzeń. Mój pokój? Cóż, moja przestrzeń jest raczej pusta. Jakoś nigdy nie udało mi się nic z nim zrobić. To wszystko otacza mnie na chwilę, czyszczę swoje stanowisko pracy i irytuje mnie cisza wokół, po czym słyszę ożywiony głos, dochodzący z poczekalni. Jest na tyle głośny, że słyszę wyraźnie.

– Och, a co z tym? – woła dziewczyna. – Nie, czekaj, ten! Ten dużo bardziej mi się podoba.

Słyszę lekki szum przekładanych kartek wiszącego albumu, w którym znajdują się wzory, próbki tatuaży, które zdobią część holu przy drzwiach, komercyjne wzory, które są masowo rozsyłane do salonów tatuażu. Mają je studia w kilkudziesięciu miastach, więc tysiące idiotów chodzi ulicami z dokładnie takimi samymi tatuażami zdobiącymi ich skórę.

*Do cholery, błagam, nie bądź moją klientką z ulicy.*

– To jest ten – oznajmia. – Zdecydowanie to jest coś, co chcę mieć.

Serio, w duchu modlę się do Boga/ Buddy/ cholernej Dobrej Wróżki, która jest w stanie mnie wysłuchać.

*Nie każ mi dzisiaj robić nic według wzorów z tej pieprzonej ściany.*

Nie paliłem już od ponad dwunastu godzin, najdłuższa moja przerwa bez fajki od dwunastu cholernych lat. Czuję się jak żywy drut kolczasty, napinam mięśnie, gdy część mnie iskrzy i drga, co grozi porażeniem prądem każdemu, kto odważy się przegiąć. Cierpię, mój nieobliczalny umysł koncentruje się na walce. Po minimalnej ilości snu i bez zwyczajowej dawki nikotyny to jest najdłuższy dzień w moim życiu, a mam całkiem uzasadnione podejrzenia, że w rzeczywistości będzie jeszcze dłuższy. Po dokładnym wyczyszczeniu stanowiska pracy, upewniam się, że wszystko jest przygotowane, wychodzę z pokoju i ostrożnie rzucam okiem po poczekalni, siedzi tam kilku facetów, ale tylko dwie kobiety, dziewczyny z niecierpliwością przeglądają pospolite tatuaże.

*Zgaduję, że one są moje.*

Odchrząkuję, żeby przyciągnąć ich uwagę i już mam coś powiedzieć, gdy jedna z nich odwraca się i łapie mój wzrok. Staję jak wryty, z otwartymi ustami, zapominając na chwilę o słowach, które mam na końcu języka. Ma długie brązowe włosy, ciemne oczy i ciasna różowa sukienka opinająca wszystkie jej krzywizny. Nie jest zbyt hojnie obdarzona na górze, ale niech mnie, jeżeli jej biodra nie tylko błagają o parę rąk, żeby je objęły, gdy ona wypnie się do tyłu. Dziewczyna jest boginią w ciele Afrodyty. Dziękuję, kimkolwiek jesteś tam do góry, za wysłuchanie modlitwy, o której nawet nie wiedziałem, że miała miejsce. Jest w niej coś znajomego na jakimś dziwnym poziomie. Nie znam jej, ale dziwnie czuję, że mogłem poznać. Jakby miała twarz, którą już gdzieś widziałem, wyróżniającą się z tłumu. Ma gładką, kremową skórę, a ja momentalnie nie pragnę niczego innego, tylko przesunąć językiem po każdym jej kawałku, żeby przekonać się czy smakuje tak słodko, jak wygląda. Myśl o zrobieniu tego na chwilę odrywa mnie od rzeczywistości, ale tłumię wszelkie

pragnienia. Nadal jestem spięty, ale wiem dokładnie, jak mogę sobie z tym poradzić.

*Zmieniłem zdanie. Zdecydowanie możesz być moją klientką z ulicy.*

– Bridgette?

W chwili, gdy wypowiadam imię, dziewczyna obok bogini przestaje przeglądać wzory i się odwraca.

– To ja!

*Cholera.*

Zmuszam się, żeby spojrzeć na drugą dziewczynę, a usta rozciąga mi spięty uśmiech. Zazwyczaj przygryzam wewnątrz policzka. Przyjaciółka bogini jest nieco niższa, ma jakieś sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, ciemno-blond włosy i jasne, czerwone usta. Normalnie uznałbym ją za atrakcyjną... wygląda trochę jak śliczna, mała Lark, z którą byłem ostatniej nocy, ale w porównaniu do jej przyjaciółki, ledwo zauważam ją na swoim radarze. Skupiam się na interesach, koncentruję spojrzenie, moje oczy skanują Bridgette i kalkuluję. Wygląda na zabawną dziewczynę, taką w stylu członkini bractwa *Kai Beta Gówno Prawda* i spędza weekendy na imprezkach z chłopakami z bractwa *Idioci Alpha Kappa*. Dobrze znam ten typ. Prawdopodobnie będzie chciała kwiaty, albo jakieś serce... coś z nowej szkoły, coś z falbankami i kobiecego, w jasnych kolorach. Bułka z masłem, ale nudne jak cholera.

– Co mogę dla ciebie zrobić, kochanie?

– Chcę mieć coś takiego – oświadcza, wskazując na obrazek umieszczony na ścianie obok niej.

Powoli robię krok do przodu i uważnie przyglądam się rysunkowi. Czerwone serce z banerem w poprzek, otoczone różowymi i fioletowymi kwiatami. Serce i kwiaty.

– Chcę, żeby na wstążce był napis *Johnny* – mówi Bridgette, uśmiechając się z dumą. – Oczywiście piękną kursywą.

– A Johnny to twój...?

*Błagam, powiedz, że to twój syn... albo... albo ojciec... albo, że chodzi o Johnny Deppa. Nie obchodzi mnie, czy to Johnny Appleseed<sup>2</sup>. Każdy, tylko nie twój...*

– Chłopak – piszczy.

*Chłopak.*

Stoję tam przez chwilę, patrząc między Bridgette i rysunek na ścianie, czując, że mam ochotę spalić ten pieprzony salon, żeby pozbyć się wszystkiego i wszystkich ze środka. Dręczą mnie wyrzuty sumienia. Staram się trzymać wysoki standard, a to... cóż... to łamie wszelkie moje zasady. Kilka razy otwieram i zmykam usta, próbując porozmawiać z nią o tym, czy jest pewna wyboru, żeby kiedyś nie żałowała, ale rozprasza mnie rozbawiony chichot. Mój wzrok przesuwają się z Bridgett na boginię i widzę, że walczy, żeby nie parsknąć śmiechem, ale w końcu się poddaje.

– Co cię tak śmieszy, A? – pyta Bridgette, patrząc na swoją przyjaciółkę.

– Nic – odpowiada szybko dziewczyna z lekko zarumienionymi policzkami i macha na nas z daleka. – Myślałam o... czymś. To nieistotne. Nie przejmujcie się mną.

Bridgette wzrusza ramionami, odwraca się do rysunku i zaczyna wywód o tym, jak ma wyglądać, gdzie ma być i dlaczego, a ja nie mogę oderwać oczu od jej przyjaciółki. Wierci się, zwracając na siebie uwagę, cały czas stara się powstrzymać uśmiezek, a jej twarz staje się coraz bardziej czerwona tylko od mojego intensywnego spojrzenia. Czuję, że mój fiut ożywa, twardniejąc i naciskając na moje znoszone, stare dzinsy, gdy moje oczy przesuwają się powoli po jej ciele, oceniając tak, jak zawsze to robię, gdy spotkam kogoś nowego. Praca w tej branży nauczyła mnie bycia całkiem dobrym sędzią w stosunku do

---

<sup>2</sup>Johnny Appleseed – amerykański pionier, osadnik. Pierwowzór amerykańskiego rolnika.



ludzi, a ta dziewczyna... bogini... jest dziewicą. Prawdopodobnie nie w sensie seksualnym, ale bez wątpienia jest czystym płótnem, nieskażona, niesplamiona tuszem, a ja nie pragnąłbym niczego bardziej, niż być jej pierwszym. Niewiele rzeczy jest bardziej ekscytujących niż podbijanie niezdożytego... osiągnięcie nieosiągniętego... zdobywanie niezdożytego. Robić coś, o czym wszyscy mówią, że nie dam rady. W końcu udowodnienie im wszystkim, że byli w błędzie. Inni być może dotykali bogini, może nawet na krótki czas ją oznaczyli, a ja chcę być tym, który zostawi na niej trwałe ślad. Chcę, żeby mój dotyk był permanentny.

– Brzmi świetnie. – mówię niechętnie odwracając się z powrotem do Bridgette, gdy przestaje marudzić.

*Najpierw biznes, potem przyjemność.*

– Zrobię dla ciebie szkic i będziemy mogli zacząć.

Kiwam grzecznie na dziewczyny, biorę zdjęcie z albumu i zabieram się do pracy. Zanim zaczynam, wkładam do ust nową gumę do żucia. Nie potrzebuję dużo czasu, żeby przekopiować i dopracować szczegóły szkicu, niechętnie dodając imię Johnny na banerze, mając głęboką nadzieję, że będą razem bardzo długo. Kręcę głową, wiedząc, że ich szanse na to są niewielkie, niepewnym krokiem wracam do poczekalni, gdzie czeka tylko jedna dziewczyna. Bogini. Chryste, to zaskakujące. Nie mogę położyć na niej palca, ale z jakiegoś powodu robi na mnie niesamowite wrażenie.

– Czy twoja przyjaciółka...?

*Proszę, powiedz mi, że poszła po rozum do głowy.*

– Bridgette po prostu wyszła na zewnątrz – mówi, wskazując na szklane, frontowe drzwi do salonu. – Powiedziała, że potrzebuje szybkiego dymka.

To słowo jest jak spust w niedbale wyciągniętym pistolecie, z którego wylatuje kula, uderzając mnie prosto w brzuch.

*Strzał oddany!*

Mam wrażenie, że rozpalone żelazo i tęsknota za czymś spala moje wnętrze. Wiem, że tylko jeden papieros, jedna chmura dymu nikotynowego jest potrzebna, bym poczuł się lepiej i mógł ugasić pożar szalejący wewnątrz mnie. Szkoda, że obiecałem *jej* skończyć ze złymi nawykami bez względu na to, jak bardzo unieszczęśliwi mnie rzucenie palenia.

*Kurwa, wiem, że pewnie i tak jest już wystarczająco mocno zawiedziona innymi rzeczami, które zrobiłem.*

– Więc, hm.. długo tutaj pracujesz?

Unoszę brwi, gdy bogini rozpoczyna rozmowę.

– Będzie już kilka lat.

– Och. Super. Musisz być dobry, jeżeli tu pracujesz. Bridgette mówi, że to jest jedno z najlepszych miejsc w mieście.

Chichoczę, gdy ona załamuje dłonie na kolanach. Nerwowo.

– Lubię myśleć, że wiem, co robię.

*Na więcej niż jeden sposób...*

Za nim może odpowiedzieć, otwierają się drzwi do salonu i Bridgette wraca do środka. Zapach dymu ciągnie się za nią, wzywając mnie, na co moje ciało drży, a skóra swędzi. Chcę spryskać ją lizolem<sup>3</sup> i wysłać z powrotem za drzwi, daleko, daleko ode mnie. Odchrząkuję, wypuszczam powietrze z płuc, żeby się tego pozbyć, pokazuję dziewczynom, żeby szły za mną do mojego pokoju. Bogini zajmuje miejsce na składanym, metalowym krześle w rogu, gdy Bridgette kładzie się na fotelu do tatuażu. Cicho i szybko podrasowuję rysunek dostosowując go do tego, czego oczekuje, po czym drukuję szablon i odbijam go na jej ciele... na piersi, na jej sercu.

– To jest miejsce, w którym on jest – mówi dramatycznie. – W moim sercu. Będzie tam już zawsze.

---

<sup>3</sup> OMG... jaki subtelny;)

*Mało prawdopodobne.*

Dajmy jej dziesięć lat i jeżeli nawet będzie pamiętała o jego istnieniu, to pewnie będzie marzyła o tym, żeby skrócić mu kark.

– Wybierz sobie jakąś muzykę – mówię, wysuwając pudło spod biurka.

Jest pełne starych taśm, które zgromadziłem na przestrzeni lat, każdy znajdzie coś dla siebie.

– Kasety? – pyta Bridgette, przeglądając zawartość pudła. – Czy to jeszcze działa?

– Działa idealnie – mówię. – Wybierz swoją truciznę.

Bridgette wybiera Bon Jovi. Wkładam kasetę do magnetofonu i wciskam *START*. Zakładam parę czarnych rękawiczek i uruchamiam maszynkę do tatuażu, zabierając się do pracy. Wzdycham z irytacją, gdy Bridgette kolejny raz jęczy, czując igłę przy swojej skórze. Niska tolerancja na ból.

– Długo jesteście razem z Johnnym? – pytam z ciekawością, starając się odwrócić jej uwagę od bólu.

Tym bardziej, że im dłużej będzie trwała sesja, będzie się wzdrygać, więc i próbować wymknąć.

– Tak – mówi. – Jesteśmy razem już sześć miesięcy.

Staram się tego nie robić, ale wzdrygam się. Tylko sześć miesięcy?

– Wiesz, że tatuaże są na stałe, prawda? Usuwanie ich to prawdziwy koszmar.

Śmieje się.

– Oczywiście, ale nie martwię się tym. Będziemy z Johnnym razem na zawsze.

– Dobrze wiedzieć – mruczę, ignorując swój zdrowy rozsądek i kontynuując tatuowanie.

Znowu, to co klient chce, klient dostaje. Pracuję sumiennie, starając się skupić na tatuażu, ale projekt jest nudny, a bogini siedząca w rogu cały czas

mnie rozprasza. Zerkam na nią, gdy coś mówi lub porusza się a nawet, gdy oddycha. Chcę ją zablokować i skupić się na swojej pracy, ale trudno ignorować jej obecność. Mogę nawet poczuć zapach jej perfum, gdy przysuwa się bliżej fotela, powoli zbliżając się do miejsca, w którym ja siedzę. Gdy wdycham jej słodki zapach, czuję ciarki na plecach.

*Kurwa.*

Od tej dziewczyny bije magia, która mnie porywa, jej ciało przywołuje mnie na więcej niż jeden sposób. Nie jestem pewien, co kusi mnie w tej chwili bardziej. Nagle papierosy wydają się najmniejszym z moich problemów. Raz przekładam taśmę w magnetofonie, zanim wreszcie kończę pracę. Wyłączam maszynkę, brzęczenie ustaje, a ja odsuwam się od Bridgette.

– Zobacz jak to wygląda, kochanie i powiedz, co o tym sądzisz.

Zeskakuje z fotela i niemal biegnie do lustra, pozwalając sobie na pisk z emocji.

– O mój Boże, to jest idealne!

Wstaję, ściągam rękawiczki i wyrzucam je do kosza na śmieci. Bridgette nadal patrzy w lustro, gdy opieram się o stół, zwracając się do jej przyjaciółki.

– Teraz twoja kolej?

Jej źrenice się lekko rozszerzają, gdy kręci głową.

– Och nie... nie ma mowy... nie ja.

Zakładam ręce na klatce piersiowej.

– Strach czy odraza?

– Co?

– Istnieją dwa powody, dla których ludzie lekceważą tatuaże... albo boją się bólu, albo nie lubią sztuki. Więc jak jest z tobą?

Waha się.

– Chodzi o to, że... cóż... jest tak jak powiedziałeś. Są trwałe.

– Czyli nie jesteś zwolenniczką.

Bogini zerka na przyjaciółkę, która nadal podziwia świeży tusz na swoje skórze.

– Czasami jestem... Ale czasami, no wiesz...

*Innym razem są to bezsensowne kawałki gówna, głupie błędy, których nigdy całkowicie nie naprawisz. Możesz zakryć tatuaż, albo spróbować go usunąć, ale ten pierwotny wzór zawsze zostawi jakiś ślad na osobie.*

Rozumiem to. Żyję z tym na co dzień.

– Tatuże są osobiste... albo przynajmniej powinny być. To co jest dobre dla jednych, innym nie będzie odpowiadało. Musisz po prostu zorientować się co tobie odpowiada.

– Na razie nie znalazłam – mówi. – Nigdy nic takiego nie znalazłam. Nawet nie mam pojęcia, co to by mogło być.

Sięgam obok niej i wyciągam jedną z moich wizytówek. Podaję ją jej.

– Cóż, jeżeli kiedykolwiek będziesz chciała to zrozumieć, daj mi znać.

Bogini bierze moją wizytówkę, a rumieniec ogarnia jej policzki. Marszczy na chwilę czoło i czyta. Obserwuję łagodny ruch jej warg, gdy czyta słowa i prawie jęczę głośno na myśl o tych ustach owiniętych wokół mojego fiuta. Ta dziewczyna jest grzechem w przebraniu, ucieleśnieniem pożądania, zesłanym na ziemię, żeby drwić i drażnić mnie.

*Poddaję się.*

– Reece Hatfield. – mówi, zerkając na mnie. – Z jakiegoś powodu brzmi znajomo.

– Nie wiem dlaczego.

Zastanawia się przez chwilę, po czym wzrusza ramionami i chowa wizytówkę do kieszeni. Nazwisko Kevina jest jedynym, które wszyscy znają. Jest zbawieniem dla salonu. Białym Królikiem, który zwraca się do tłumu *Wonderland*. Zadzwonił i ściągnął mnie tu to pracy.

Bridgette podskakuje dookoła, z podnieceniem opowiadając o swoim tatuażu, gdy wyciąga pieniądze, zostawiając suty napiwek. Uśmiecham się uprzejmie, chowając do kieszeni napiwek, a Bridgette biegnie na zewnątrz, żeby zadzwonić do swojego chłopaka. Bogini wstaje, uśmiecha się z zakłopotaniem, wygładzając niewidoczne zagięcia na swojej różowej sukience.

– Miło było cię poznać, Reece.

– Ciebie również... – Waham się. – Nie wiem, jak masz na imię.

– Avery.

*Avery...*

Nie sędzę, żebym kiedykolwiek spotkał Avery. Chociaż całkiem nieźle idzie mi zapamiętywanie twarzy, kiepsko radzę sobie z imionami. Zaczyna wychodzić, gdy obracam się i łapię ją za rękę, zatrzymując ją. Nawet się nie zastanawiam nad tym, co robię. To instynkt. Nie jestem jeszcze gotowy dać jej odejść. Zaskoczona patrzy na moją rękę zanim z wahaniem patrzy w moje oczy.

– Mówię poważnie – mówię niskim, poważnym głosem. – Daj mi znać, jeżeli kiedykolwiek będziesz mną zainteresowana, wiesz... odkrywającym cię. To będzie dla mnie przyjemność.

*I zdecydowanie dla ciebie również.*

## DRUGI

Ciemne niebo pluje, gdy wychodzę przez *Wonderland Ink* po zamknięciu, sporadyczne krople deszczu uderzają w mokry już chodnik. Waham się wychodząc na zewnątrz, zakładam czapkę na głowę i naciągam kaptur. Wkładam ręce do kieszeni bluzy i stoję tak przez chwilę.

– Kolorowych, Reece – mówi Ellie, przepychając się łokciami obok mnie, migając się przed wyjściem w towarzystwie Martina. – Prześpij się, dobrze? Wyglądasz jak skazaniec.

Cicho kiwam głową, zerkając w dół na ulicę, gdzie Ellie zmierza do starego Garbusa. Kevin zatrzymuje się obok mnie. Zanurza rękę w kieszeni, wyciągając z niej paczkę Marlboro i kieruje ją w moją stronę. Patrzę w milczeniu przez chwilę na zniszczone, czerwono-białe opakowanie... a potem przez kolejną chwilę... i jeszcze, kurwa, jedną... próbując zmusić usta do powiedzenia czegoś, ale wiem, że jeżeli je otworzę, to wyjdzie z nich jedynie żałosne skomlenie. Człowieku, po tym całym paskudnym dniu, który miałem? Zabiłbym za jednego papierosa. Po kolejnej chwili kręcę głową, wykorzystując całą swoją silną wolę, żeby na niego nie patrzeć. Wzrusza ramionami, wkłada papierosa w usta, po czym chowa resztę do kieszeni. Zasłania się przed kroplami deszczu, gdy odpala fajkę i zaciąga się nią głęboko, przez co czuję ból w klatce piersiowej. Oddycha powoli przez nos, rzucając mi uważne spojrzenie.

– W końcu rzuciłeś palenie?

– Tak – gderam, przesuwając palcami wzdłuż zapalniczki, którą mam w kieszeni. – Powiedziałem, że to zrobię, więc... tak.

Kevin patrzy na mnie przez chwilę z szacunkiem, po czym uśmiecha się i cofa krok dalej, nie spuszczając ze mnie wzroku. Wskazuje na mnie swoim żarzącym się papierosem.

– Nie obchodzi mnie, co mówią inni. Jesteś cholernie dobrym dzieciakiem. – Zanim te słowa opuszczają jego usta, przewracam oczami. *Dzieciak.* – Mówię poważnie – oznajmia, ignorując moją reakcję na to określenie.

Kevin jest przed pięćdziesiątką, gdy ja robiłem jeszcze w pieluchy, on już dawno był wytatuowanym łobuzem. Dla niego nadal jestem rozrabiaką, którego poznał lata temu, dzieciakiem ze zbyt dużą ilością wolnego czasu i zbyt małym poziomem oleju w głowie.

– Może jesteś trochę nieokrzesany, ale zawsze widziałem w tobie dobro. Inaczej nie pracowałbyś tutaj. A talent? – przerywa, nisko gwizdząc. – Podziwiałem twoje prace jeszcze zanim cię poznałem. – Salutuje mi, odwraca się i odchodzi. – Ellie ma rację – woła. – Wyglądasz gównianie. Złap trochę cholernego snu.

Czekam, aż Kevin odejdzie, garbię się, rozglądając się w obie strony i szybko przechodzę w niedozwolonym miejscu na drugą stronę ulicy. Idę prosto do małego baru mieszczącego się blisko salonu. *The Spare Room* jest dokładnie tym, czego można oczekiwać po spelunie w Lower Eastside. Jest tu słabe oświetlenie, tani alkohol, stara szafa grająca i nieświeży zapach starego piwa. Podłogi są poplamione, stołki stare, a barman robi również za terapeutę po godzinach, dla pijaków, których obsługuje. To miejsce w moim stylu. Tutaj ludzie zostawiają cię samego. Nikt nikogo tu nie osądza. Wszyscy jesteśmy trochę popieprzeni, cholernie złamani, ale potrzebujemy relaksu. Nikt nie patrzy na mnie, jakbym nie należał do tego miejsca. Doceniam to. Siadam na drewnianym stołku tuż przy drzwiach... na moim stałym miejscu... i stukam



kostkami i bar. Barman patrzy w moją stronę, kłania się, witając mnie, po czym przesuwa w moją stronę puszkę *Genesee*.

– Ciężki dzień?

Otwieram piwo i biorę łyk zanim odpowiadam.

– Można tak powiedzieć.

Nalewa whisky do szklanki i przesuwa w moją stronę, zanim odchodzi zamawiam kolejną. Bridgette zostawiła spory napiwek, a ja jestem gotów go wydać. Serwuje mi kolejnego drinka, po czym idzie do kogoś innego. Zabieram swój alkohol i szybko wlewam do gardła, po czym odprężony siadam z powrotem na swoim stołku. Piję piwo i wyciągam zapalniczkę, łapię tani plastik, a kciukiem obracam metalowe kółko z krzemieniem, tworząc iskrę za iskrą. Co ja tu robię? Nie wiem. Może jestem tu z przyzwyczajenia, a może... może po prostu naprawdę nie chcę iść do domu. Piję piwo, potem drugie, cały czas obracając kółkiem zapalniczki, uzyskuję płomień i klnę jak szewc, gdy przypalam nim swój kciuk.

*Idiota.*

Rzucam pieniądze za moje drinki na bar i wychodzę. Jestem już niemal na zewnątrz, gdy zaczyna dzwonić mój telefon. Coś we mnie zamiera, gdy skręca mnie na ten dźwięk. Sięgam po telefon, wyciągam go, w mojej głowie cały czas jest twarz bogini z salonu.

*Avery.*

Spodziewałem się, że może w końcu zadzwonić, ale tak szybko? Nie przejmuję się nawet patrzeniem na ekran. Odbieram połączenie i przykładam telefon do ucha.

– Tak?

– Reece!

Rozpoznaję głos Lark.

– Uhhh. Hej.

– Zniknąłeś rano – mówi. – Nie miałam szansy powiedzieć ci *do widzenia*.

– Tak, wiesz... praca.

– Rozumiem – wyznaje. – Co teraz robisz? Chcesz wpaść? Moi rodzice nadal są poza miastem.

Zatrzymuję się na rogu ulicy, tuż przy budynku, w którym znajduje się salon tatuażu, moją uwagę przykuwa nowa konstrukcja, naprzeciwko której stoję. Cały róg jest zablokowany, a chodnik przesunięty, żeby odsunąć ruch pieszych od miejsca prac budowlanych. Bok opuszczonego budynku pokryty jest ciemnymi, odpornymi na zmianę warunków atmosferycznych, plandekami, łącznie z betonowym murem ciągnącym się na dole, wysokim na jakieś sześć metrów i ciągnący się na prawie dwadzieścia. To trochę więcej niż czarne, plastikowe pudełko, w niczym nieprzypominające kolorowego szturmu, który kiedyś witał mnie na tym rogu. To niesamowite jak dużo gówna zmienia się, gdy nie patrzysz. Ten widok sprawia, że moje mięśnie się napinają, mam wrażenie, że staję się ciężki, jakbym połknął ołowiane ciężarki, jakby ktoś kopnął mnie w brzuch. Świat dzisiaj jest nieco bardziej ponury. Jestem wyczerpany i robi mi się coraz zimniej. Ostatnia rzecz, jakiej teraz chcę, to być sam.

– Będę za dziesięć minut.

Odwracam się od placu budowy i ruszam w przeciwną stronę, w kierunku kamienicy, którą opuściłem o świcie. Mam wątpliwości co do ponownej wizyty, zwłaszcza w tak niewielkim odstępie czasu, ale co złego może mnie spotkać? Mój świat już jest popieprzony.

*Szkody są wyrządzone.*

Część mnie nie jest uszkodzona, część mojego serca ciągle mocno bije, należąc całkowicie do kogoś innego... kogoś, kto nie lubi się dzielić. Cokolwiek zostało... uszkodzone, zahartowało kawałki mojej duszy... nie ma interesu w

ponownym uzdrowieniu. Nie potrzebuję Boga, dr Oz czy Dr Phila... mam wszystko, czego potrzebuję.

*Pieprzyć wszystko inne.*

Dosłownie. Przez większość dni żyję w próżni, gorzkiej samotności, którą od czasu do czasu łagodzą kobiety, ale to jest tylko tymczasowe. Dają satysfakcję na zewnątrz, gdy pieszczą moją skórę, ale nikt nie dostał się dalej... i taki układ preferuję. Wiem, że to brzmi kiepsko, flirtowanie i pieprzenie się z całą populacją kobiet, która pojawia się na mojej drodze, ale nie mam zamiaru się zatrzymywać, ponieważ bardzo niewiele rzeczy w ogóle wydaje się być dla mnie dobrych.

Gdy podchodzę, Lark siedzi na schodach przed kamienicą, popijając coś z plastikowego kubka, ale nie jest sama. Inna młoda blondynka siedzi obok niej, obie są niemal identycznie ubrane w dżinsy, buty i ciemne swetry. Gdybym nie wiedział, że Lark jest jedynaczką, pomyślałbym, że są bliźniaczkami. Wiem, że nie ma rodzeństwa, ponieważ mi to napisała wraz z całym pozostałym cholerstwem w ciągu tych dwóch długich tygodni, gdy ze sobą smsowaliśmy.

– Reece! – woła podekscytowana Lark, podskakując z szerokim uśmiechem na twarzy.

Praktycznie rzuca się na mnie, owijając ramiona wokół mojej szyi i całując mnie prosto w usta. Uchylam się najlepiej jak potrafię, śmiejąc się pod nosem, chwytając jej biodra i odsuwając od siebie.

– Hej – mówię, patrząc na stojącą obok niej przyjaciółkę i obserwując jak dziewczyna pije to, co ma w swoim kubku.

Lark odwraca się przede mną, opierając plecy o mój tors i podnosi kubek do ust, żeby się napić, ale zabieram go jej zanim zdąży to zrobić. Wącham, sprawdzając zawartość alkoholu, jego stężenie niemal wypala mi pieprzone nozdrza. Biorę łyk i krzywię się.

– Jezu, dziewczyno. Co to jest?

– Banana Red.

– Banana Red, co???

– Wściekły pies.

Chichocze, gdy mówi, a ja po prostu kręcę głową, biorąc kolejny łyk i resztę wylewając na ulicę. Nie warto pieprzyć się z tanim sikaczem.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pyta z szeroko otwartymi oczami, zabierając mi pusty kubek.

– Nie powinnaś pić takiego gówna – mówię jej. – To prosta droga do picia alkoholu prosto z papierowej torby. Ktoś kupił to dla ciebie, prawda?

Przewraca oczami i zgniata kubek, po czym patrzy na swoją przyjaciółkę.

– Jenny.

Patrzę na Jenny.

– W takim razie zakładam, że skończyłaś dwadzieścia jeden lat?

Uśmiecha się.

– Właśnie tak mówi mój dowód.

Lark śmieje się

– Naprawdę, też muszę taki zdobyć. Ona jest młodsza ode mnie, a oni nawet się nie czepiali.

*Młodsza ode mnie.*

– Masz osiemnaście lat?

– Siedemnaście.

Jenny, och Jenny... jesteś zdecydowanie dla mnie za młoda.

– Cóż, Jenny... przepraszam cię teraz na chwilę, twoja koleżanka i ja mamy... hmmm... kilka spraw do załatwienia – mówię, szarpiąc Lark w stronę drzwi.

– Czekaj! – mówi Lark. – Myślałam, że mogłaby do nas dołączyć.

*Myślałam, że mogłaby do nas dołączyć.*

Najwspanialsze słowa, które facet zawsze chce usłyszeć. Ale nawet jeżeli siedemnaście lat może oznaczać pełnoletniość w stanie Nowy Jork, to w moim świecie to jeszcze cholernie za mało na takie zabawy.

– Wybacz, ptaszyno – mówię, wciągając Lark do środka i zatrzasnąjąc frontowe drzwi, zostawiając jej przyjaciółkę na zewnątrz.– Tylko ty i ja, kochanie.

Uśmiecha się... uśmiecha się, jakby te słowa sprawiły to co sobie myśli, że jest wyjątkowa i coś dla mnie znaczy. W każdym razie nie pozwalam jej się nad tym zastanawiać i rozwodzić. Nie mogę. Prowadzę ją z powrotem do jej sypialni i pieprzę tak, żeby o tym zapomniała. Pieprzę ją, aż zaczyna dyszeć, dopóki jedynym słowem, które pamięta jest moje imię. Pieprzę ją, aż dopadają ją konwulsje przyjemności, dopóki nie jest wyczerpana i zaspokojona do tego stopnia, że chce jedynie cholernie dobrze się wyspać. Pieprzę ją, aż zapominam... aż nie czuję nic... aż mój umysł zachodzi mgłą i nie jestem przekonany czy to dobrze. Dni zawsze zlewają się w strumień nicości, gdy zatracam się w znanych wzorcach, gdzie nikt nic nie znaczy i nic tak naprawdę się nie liczy. Nikt i nic... z wyjątkiem mojej *małej księżniczki*.

– Poważnie się nad tym zastanów. – mówię, siedząc na czarnym stołku w swojej pracowni.

Jest sobota, najbardziej pracowity dzień w tygodniu dla salonu i mam zarezerwowane całe popołudnie. Chociaż nie ze standardowymi klientami. Nie, dziś jest wyjątkowy dzień. Dwa weekendy w miesiącu i od czasu do czasu w dni powszednie mój terminarz jest zarezerwowany dla VIPa. Mojego VIPa.

– To nie jest łatwa decyzja.

– Wiem – odpowiada. – Już to przemyślałam.

– I jesteś tego absolutnie pewna?

– Umhuh.

Sprawia wrażenie przekonanej, co do swojej decyzji, wyraz jej twarzy mówi mi, że nie zamierza się wycofać, bez względu na to, co jeszcze powiem. Wzdycham, obracam czapkę daszkiem do tyłu. To gówno jest poważną sprawą.

– W takim razie... cóż, skoro naprawdę jesteś przekonana...

– Jestem – odpowiada rzeczowo. – Chcę dinozaura!

Nie kwiaty, nie serca. Żadnego imienia. Nic babskiego albo falbaniastego. Pieprzony *dinozaur*. Uśmiecham się, wyciągam rękę i żartobliwie trącam ją pod brodą wytatuowaną pięścią.

– Moja dziewczyna.

Lexie uśmiecha się promiennie na moje słowa, pokazując szparę w swoim perłowobiałym uzębieniu, pozbawionym jedyńki.

– Znasz zasady... – Kontynuuję, wskazując ręką pudło. – Wybierz swoją muzykę i zacznijmy imprezkę, mała księżniczko.

Gdy Lexie głośno przeszukuje kasety, do drzwi podchodzi Ellie i zatrzymuje się. Przez chwilę obserwuje Lexie z uśmiechem, po czym zwraca się do mnie.

– Jest tu ktoś do ciebie.

– Nikt nie powinien być na dzisiaj zapisany.

– Nikogo nie ma zapisanego – odpowiada. – Ona po prostu weszła.

Kręcę głową.

Do diabła, nie.

– Wyślij ją do kogoś innego.

– Pytała specjalnie o ciebie – mówi Ellie.

– Nikt specjalnie o mnie nie pyta – odpowiadam ze śmiechem. – Pytają o Kevina i kończą u mnie, nie inaczej.

– Nie tym razem. Dziewczyna jest raczej nieugięta i zdeterminowana, żeby się z tobą zobaczyć. Zapytałam dlaczego, a ona powiedziała... Cóż, powiedziała, że nie jest pewna.

Marszczę czoło.

– Nie jest pewna, co tutaj robi?

– Nie.

Patrzę chwilę na Lexie, przyglądam się jej, po czym wzdycham.

*Proszę, nie bądź kimś, kogo pieprzyłem i o kim zapomniałem następnego dnia.*

– Przyślij ją, kimkolwiek jest. Porozmawiam z nią tutaj.

Muzyką dnia jest jakiś boysband... banda jakiś dzieciaków, czy coś.

Udaję irytację, marszczę nos i dramatycznie jęczę wsuwając taśmę do magnetofonu, uzyskując entuzjastyczny chichot Lexi. Wiedziałem, że to wybierze. To jedyny cholerny powód, dla którego mam w swojej kolekcji tą kasetę... dla niej. Włączam muzykę, otwieram szufladę, wyciągając z niej całą kolekcję flamastrów, od zwykłego, czarnego po najbardziej różowy róż. Rozkładam je na biurku, żeby wybrała kolor, a moje oczy dryfują w stronę w drzwi, w których pojawia się kobieta.

*Bogini.*

Dzisiaj jest bardziej przygaszona, ma na sobie różowy sweter i ciemne, obcisłe džinsy, które idealnie eksponują jej krągłości. Oddychając powoli, instynktownie skanuję wzrokiem jej ciało. Jezus, jest jeszcze bardziej ponętna i nie pozostawia zbyt dużego pola do popisu dla wyobraźni odnośnie tego, co ma pod tymi warstwami ubrań, a prawdopodobnie jest to ósmy cud świata i niech mnie kule biją, jeżeli nie chcę tego odkryć.

*Uderz do niej.*

Wykreśl to gównem z listy rzeczy do zrobienia przed śmiercią.

– Co mogę dzisiaj dla ciebie zrobić, Afrodyto?

Zaskoczona powitaniem, gapi się na mnie.

– Mam na imię Avery.

– Wiem – mówię. – Zmieniłaś zdanie w kwestii tatuażu?

– Och, nie. – Marszczy czoło, zmieszana rozgląda się po pracowni i przygląda się Lexi. – Po prostu przyszłam do... tak szczerze mówiąc, to nie wiem, dlaczego tu jestem.

– Tak słyszałem.

Ostatecznie zostało wybranych kilka flamastrów, jak zawsze Lexi chciała mieć wiele kolorów wpasowanych w swoje tatuaże. Ja mam wytatuowane całe rękawy, dłonie do kostek, część pleców i klatki piersiowej.

– Więc, jeżeli to ci pomoże... – mówię do niej. – Wiem, dlaczego tu jesteś.

– Naprawdę?

– Tak.

Avery po prostu stoi, nie naciskając na mnie, żebym dalej mówił. Biorę czarny flamaster, resztę odsuwając na bok. Obniżam blat, dopasowuję wysokość fotela dla Lexi, a ona się na niego wspina. Siada i kładzie rękę na podłokietniku. Łapię ją delikatnie, przyciskając jej rękę lewą dłonią, a prawą zaczynam rysować na jej bicepsie. Lexi chichocze, ponieważ ma łaskotki, ale bardzo stara się pozostać dla mnie nieruchomo.

*Dobra dziewczynka.*

– Co ty do diabła...? – Avery sprawdza z daleka. – Co robisz?

– A na co to wygląda? – Zerkam na nią. – Dziewczyna powiedziała, że chce tatuaż, więc jej go zrobię.

– Jej? Robisz jej tatuaż?

– Tak, a dlaczego nie? – pytam. – Kim ja jestem, żeby jej odmówić?

– Dorosłym – rzuca Avery. – Ona jest jeszcze dzieckiem. Twoim zadaniem jest jej odmówić.



– Ach, no cóż... nie lubię odmawiać – odpowiadam. – Więc zazwyczaj tego nie robię.

– Ale ona jest tylko dzieckiem – powtarza Avery.

– No i? – Unoszę brwi, gdy Avery podchodzi kilka kroków bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć. – Przecież nie używam żadnej igły, ani nic z tych rzeczy.

– A powinieneś – mówi podekscytowana Lexi. – Chcę mieć prawdziwy tatuaż. Taki jak twoje!

– Nie dzisiaj – odpowiadam od niechcienia.

– Jutro? – pyta Lexi.

– Jutro nie pracuję.

– No to pojutrze.

– Nie będzie ciebie tutaj ze mną.

– No to następnym razem, gdy będziemy razem?

– Zobaczymy – odpowiadam. – Zapytaj mnie wtedy.

Avery śmieje się z niedowierzaniem, gdy łapie składane, metalowe krzeselko i przyciąga bliżej, siadając obok mnie. Wyczuwam zapach jej perfum i na chwilę zamykam oczy, pozwalając otulić się tej woni.

*Co, do cholery, ona ze mną robi?*

Jakieś dziesięć minut zajmuje mi narysowanie konturów T-Rexa, a potem kolejne pięć potrzebuję, żeby go pokolorować w odcieniach zieleni i brązu. Gdy tylko kończę, Lexie wskakuje mi na kolana, owija ramiona na szyi, przytulając mnie mocno, po czym wybiega. Słyszę jej pisk, gdy pędzi przez salon warcząc i strasząc, pokazując swój nowy tatuaż każdemu, kto tylko chce go zobaczyć. Chichoczę sam do siebie, sprzątając flamastry i wyłączając muzykę, którą wybrała. Przyglądam się Avery, gdy wpatruje się w puste drzwi, delikatnie przygryzając dolną wargę.

– Więc, uhhh... – Patrzy na mnie, unosząc brwi, sprawiając wrażenie osoby, która połączyła puzzle układanki. – Masz córkę?

– Tak.

Avery uśmiecha się.

– Ona jest nawet do ciebie trochę podobna.

To niedopowiedzenie. Lexi praktycznie jest moim klonem, z jasną skórą, dzikimi włosami i błękitnymi oczami, które złośliwie migoczą, gdy coś knuje, czyli niemal zawsze. Zamiast skomentować jedynie kiwam głową i zmieniam temat.

– No więc jak? Zorientowałaś się już, dlaczego tutaj jesteś?

– Nie.

– To z ciekawości – mówię. – Ale pytanie za milion dolarów brzmi, czym tak naprawdę jesteś zainteresowana? Czy chcesz dowiedzieć się czegoś o sobie, czy może chcesz dowiedzieć się czegoś o mnie, albo...?

– Albo?

Przysuwam swój stołek, żeby być bliżej niej i patrzeć na nią.

– Albo może po prostu jesteś ciekawa, co mogę zrobić, żeby pomóc ci to wszystko zrozumieć?

Avery przez chwilę jest cicho, jej oddech się urywa, gdy przysuwam się do niej bliżej, a nasze kolana się dotykają. Jest piękna. Wciąż nie mogę tego rozgryźć. Ona jest jak słońce. Jasna i ciepła... i żółta. Nie wiem jak to inaczej wyjaśnić.

– Może wszystkie trzy powody są prawdziwe – wyznaje w końcu.

– Być może. – Zgadzam się, wyciągając powoli rękę w jej stronę, czekając, żeby przekonać się jak zareaguje.

Zakładam kosmyk jej włosów za ucho i pocieram policzek kostkami, uśmiecham się, gdy drży pod wpływem mojego delikatnego dotyku.

– Dzisiaj niestety nie mogę ci pomóc. Jak widzisz mam tu małą księżniczkę, więc... – Wstaję, pochylam się i szepczę jej do ucha. – Rzeczy, które chciałbym z tobą zrobić nie są przeznaczone dla niewinnych oczu.

Odsuwam się od niej, odwracając się w stronę drzwi, gdy słyszę jak Lexi z piskiem pędzi przez salon kierując się w naszą stronę. Wpada do pracowni z włosami rozwianymi w każdą stronę i oczami dzikimi, jak u zwierzęcia.

– Chcę następnego!

– Następne co?

– Tatuaż! – Wskazuje na swoje drugie ramię. – Chcę tri-ceco-psa!

Marszczę czoło.

– Że co?

Lexi warczy, mruży i krzyczy.

– Tri-ceco-psa!

Patrzę na nią, gdy układa palce w coś przypominającego diabelskie rogi.

*Co to, kurwa, jest?*

Avery zaczyna się śmiać.

– To triceratops.

– Tak! – woła Lexi.

Pięć lat ojcostwa i nadal nie jestem ekspertem w dziecięcej nowomowie. Jej nowa szpara między zębami z pewnością też nie pomaga. Chichoczę, kręcąc głową i klepiąc w fotel.

– Zróbmy to.

Lexie wybiera nową muzykę, ale nie jest to dużo lepszy wybór od poprzedniego. *Spice Girls*. Przesuwam swój stołek na drugą stronę stołu i przerzucam się na drugi podłokietnik, łapię flamastry i zabieram się od razu do pracy. Avery szybko przysuwa stołek i zajmuje miejsce, które ja okupowałem jeszcze chwile temu, patrzy na stół, obserwując jak pracuję.

– Wygląda na to, że lubisz dinozaury, prawda? – pyta Avery, zerkając na Lexi, której oczy aż świecą się z ekscytacji.

Dzieciaki kochają dinozaury.

Szybko wciąga się w dyskusję, wyliczając fakty, dane i zalewając Avery lawiną nazw, które najprawdopodobniej wymyśla na poczekaniu. No bo czym do cholery jest Gazozaur? Nie odzywam się, gdy Avery z łatwością angażuje Lexi w rozmowę, zadając pytania i szczerze chcąc poznać odpowiedzi. To całkiem miłe, ale dziwne dla mnie. Nie jestem pewien jak się czuję z kobietą, którą mam nadzieję mieć nagą, rozmawiającą w ten sposób z moją córką. Dla dobra Lexi staram się trzymać te dwa światy oddzielnie. Tak jest mniejszy bałagan. Rysuję tylko łeb dinozaura, ponieważ nie mam wystarczająco dużo miejsca na jej małym ramieniu, żeby dorysować grube ciało. Po pokolorowaniu odkładam na bok flamastry i odsuwam stołek pod ścianę.

– Bardzo proszę. Jeden tri–zezo–pas dla pani.

– On się tak nie nazywa – mówi Lexi, patrząc na swoje ramię. – To jest tri–ceco–pas!

Uśmiecham się.

– Dokładnie tak powiedziałem.

Lexie zeskakuje z fotela, znowu warczy i wybiega z pracowni do poczekalni na drugą rundę. Opieram się plecami o ścianę, nie zwracając sobie głowy wyłączeniem irytującej muzyki i patrzę przez stół na Avery, która rusza ustami wraz z tekstem piosenki. Zamiera, gdy zauważa, że na nią patrzę i oblewa się rumieńcem. To wspaniały odcień. Pochyla głowę, unikając mojego spojrzenia.

– Powinnam już iść.

Patrzę jej uważnie w oczy, gdy wstaje.

– Pracuję przez większość dni w tygodniu, więc wpadnij, gdy będziesz chciała.

– Nie chcę ci przeszkadzać – mówi z wahaniem. – Wiem, że prawdopodobnie jesteś bardzo zajęty. Chodzi mi o to... nie wiem... nawet dzisiaj nie powinnam przychodzić, ale...

– Ale jesteś ciekawa.

Jej zdenerwowanie jest miłe, ale nieuzasadnione. Nie ma gówna, które mogłoby mnie wystraszyć.

– Tutaj niedaleko jest bar. *The Spare Room*. Zazwyczaj wpadam tam na drinka po pracy. Zatem, jeżeli nie chcesz się ze mną spotkać tutaj, prawdopodobnie znajdziesz mnie tam.

Rumieni się jeszcze bardziej i kiwa głową.

– Zapamiętam.

Avery idzie do drzwi i jednocześnie coraz głośniejsze mruczenie dochodzi z korytarza. Patrząc ja wpada Lexi, uderzając prosto w Avery i prawie upadając obie na podłogę. Avery jest przestraszona, śmieje się, gdy Lexi z trudem łapie oddech. Kręci się wokół mnie i podciąga koszulkę, pokazując swój brzuch.

– Bra–bab–aur!

– Brahiozaur – mówi szybko Avery, wyjaśniając.

Kręcę głową, sięgając, żeby opuścić koszulkę Lexi z powrotem w dół, po czym wciągam ją w swoje ramiona. Chichocze, gdy węszę w jej szyję i zasypuję całusami.

– Nic z tego. Znasz moje zasady. Maksymalnie dwa tatuaże podczas jednej sesji.

– Ale...

– Żadnego ale – mówię, łaskocząc jej boki, aż się ode mnie odsuwa. – Brutal z długą szyją może poczekać do kolejnej sesji.

– Następnym razem – powtarza, a jej twarz promienieje. – To mógłby być mój pierwszy prawdziwy! Dobrze, tato?

– Zobaczymy.

Zanim mam szansę powiedzieć coś więcej, Lexi ponownie wybiega z pracowni. Wstaję, podchodząc do drzwi, gdy Avery wychodzi z pokoju. Ociąga

się, zatrzymując się przy krańcu mojej przestrzeni roboczej, posyła mi figlarne spojrzenie, jakby naprawdę jeszcze nie chciała wyjść.

– No cóż... do zobaczenia, myślę.

– Zobaczymy się później, Afrodyto.

Patrzę jak wychodzi, po czym sprzątam, chowam flamastry i wyłączam muzykę. Gaszę światło i zamykam swoją pracownię. Idę do recepcji, gdzie witam się z kilkoma klientami, czekającymi na swoje sesje z pozostałymi artystami. Słyszę Lexi razem z Ellie, siedzą za biurkiem w recepcji, robiąc jakieś zamieszanie.

– Chodź, mała księżniczko – mówię, wołając ją. – Na nas już czas.

Lexi wychyla się zza biurka i pędzi do mnie. Łapię ją za rękę i uśmiecham się, czując jej małą dłoń w mojej.

– Znikam, chłopaki – krzyczę i słyszę pożegnania za plecami, gdy idziemy do drzwi.

Lexi idzie obok mnie, ściskając mocno moją dłoń.

– Gdzie ona poszła? – pyta, gdy wychodzimy na zewnątrz i zwalnia rozglądając się dookoła.

– Kto?

– Dziewczyna, która do ciebie przyszła.

– Ach, poszła.

Ciągnę swoją córkę z daleka od salonu. Patrzę na nią i ściska mi serce, gdy widzę wyraz jej twarzy. Podejrzanie ponure spojrzenie, jakby nie była pewna, czy ma coś zrobić, czy nie. W takich chwilach przypomina mi swoją matkę, a to nie jest ktoś, o kim lubię myśleć częściej, niż to konieczne. Unoszę brew.

– Co się stało?

– Czy ona jest twoją dziewczyną?

Wybucham ostrym śmiechem.

- Co? Nie, oczywiście, że nie jest moją dziewczyną.
- Mama mówi, że masz bardzo, bardzo dużo dziewczyn.

Szydę.

- Wcale nie mam.
- Nie lubisz jej?

Mrugam kilka razy, zaskakuje mnie.

- Twojej mamy?

*Źle zadane pytanie.*

Będę się uśmiechał, ze względu na Lexie, ale nie jestem pewien, czy będę w stanie kłamać z kamienną twarzą. Trudno mi znaleźć kogoś, kogo lubiłbym mniej.

- Nie, tej dziewczyny.

– Och... lubię, jasne, że lubię – mówię. – Myślę, że jest ładna. Dlaczego pytasz?

Lexie wzrusza ramionami.

- Jeżeli nie jest twoją dziewczyną, to znaczy, że jej nie lubisz.

– Lubię Ellie, a ona nie jest moją dziewczyną – mówię, nie wiedząc jak mam jej to wytłumaczyć. – To o niczym nie świadczy.

- Ale to jest inne.

- Jak to?

– Tato! Ellie nie robi do ciebie słodkich oczu<sup>4</sup>! – Lexi śmieje się i dramatycznie przewraca oczami, jakby chciała udowodnić swoją rację. – Ellie mówi, że wy, chłopcy, macie wszy.

- Nie, niemożliwe.

- Aha! Możliwe, możliwe.

- Naprawdę tak ci powiedziała? – pytam z wahaniem.

---

<sup>4</sup>Boszzzzz, kocham tą małą☺

Kręcę głową i zwalniam krok. Pytam poważnie, czy ktoś naprawdę sądzi, że mam wszy?

– Słuchaj, facet może mieć przyjaciół, którzy są dziewczynami, bez bycia jego dziewczyną.

– Czyli ona jest twoją przyjaciółką?

– Nie... cóż, w sumie nie wiem. Dopiero się poznaliśmy.

– Ale czy chcesz, żeby była twoją przyjaciółką?

– Och, jasne. – Wzruszam ramionami. – Dlaczego nie?

Lexi patrzy przed siebie i rusza. Zerkam na nią, gdy tak spacerujemy i zastanawiam się nad jej pytaniem, powtarzając w głowie jej słowa. Dlaczego w ogóle mnie o to zapytała?

– Lexie?

Podnosi wzrok, żeby spojrzeć mi w oczy, w ciągu kilku minut podejrzenie zmienia się w czyste z wąp ienie. Ona poważnie pyta o to gówn o.

– Czy chcesz, żeby była twoją przyjaciółką? Czy dlatego mnie o nią pytasz?

Waha się, ale po chwili przytakuje, kiwając powoli głową.

– Lubisz ją?

Kolejne powolne skinienie głową.

– Dlaczego?

Wzrusza ramionami i odwraca się, żeby spojrzeć na swoje bicepsy.

– Lubi moje dinozaury.



## TRZECI

Siadam na moim zwyczajowym stołku w *The Spare Room*. Barman patrzy, kiwając głową na powitanie, po czym szybko łapie puszkę Genesee i przesuwa w moją stronę. Jest tuż przed jedenastą w nocy w czwartkową noc. Właśnie skończyłem wyczerpującą sesję, podczas której pracowałem nad tatuażem układu słonecznego. Mój umysł nadal jest w salonie, klient cały czas krytykował moją pracę, rozwodził się nad błędami i tym co powinienem zrobić inaczej. Czekać na alkohol, który ukoi moje nerwy, wypilem piwo. Barman nalał szklaneczkę whiskey, rezygnując z pytania o to jak minął dzień, pozwalając mi przejść przez to po mojemu. Energia, którą zyskałem po spędzeniu weekendu z córką wyczerpuje się, doprowadzając mnie ponownie do skrajnego wyczerpania, popieprzonego bałaganu, jakim jestem.

*Kogoś, kto naprawdę chce papierosa...*

*Kogoś, kto mógłby skorzystać z czyjegoś towarzystwa...*

*Kogoś, kto desperacko potrzebuje uprawiać seks.*

Ta potrzeba jest we mnie tak silna, że kusi mnie telefon do Lark, chociaż unikam jej niemal od tygodnia. Ktoś przesuwa stołek obok mnie, a ja wpatruję się w szklanekę z alkoholem. Patrzę, sprawdzam raz jeszcze i niemal dławię się drinkiem, gdy Avery swobodnie siada przy barze. Obserwuję ją zaskoczony, po czym uśmiech powoli rozciąga moją twarz. Sądzę, że to tylko złudzenie po spędzeniu całego dnia wysoko w układzie słonecznym, dlatego wydaje mi się, że widzę boginię, zanim z powrotem upadnę na ziemię. Przez chwilę się nie odzywam, nadal piję, gdy barman podchodzi do Avery, pytając o zamówienie.

– Hmm, coś owocowego – odpowiada. – Zaskocz mnie trochę.

Z wahaniem, ale jednak barman pyta o jej dowód. Wyciąga prawo jazdy i zerkam na dokument, jak nieznośny drań, którym zresztą jestem.

*Avery Nadine Moore.*

*Lat: dwadzieścia jeden.*

Jest tak młoda, jak podejrzewałem. Ja niedługo stracę dwójkę z przodu, trzydziestka powoli mnie dogania. Od jakiegoś czasu, gdy życie stara się pociągnąć mnie w dół, czuję się dużo starszy, cholernie starszy. Ale ona? Ona ma całą młodość i niewinność kogoś, kto jeszcze nie został popieprzony przez wszechświat.

*Szczęściara.*

– Hej – mówi nieśmiało, zerkając na mnie, gdy barman podaje jej różowego drinka, coś w pękatej szklance, wyglądające na owocową miksturę i z małą parasolką utkniętą dla dekoracji.

Kiwam głową na powitanie i kieruję na nią wzrok, powoli ją obczajając. Jej miękkie, różowe usta, odcieniem pasują do alkoholu, owija nimi słomkę, i gdy pije, lekko wciąga policzki, jej gardło drga, gdy przelyka. Obserwuję ten ruch ponownie i znowu, wyobrażając sobie ją klęczącą przede mną. Czuję, że mój fiut twardnieje nerwowo, zdesperowany, aby to urzeczywistnić.

– Cieszę się, że tu jesteś – mówię. – Miło jest mieć towarzystwo.

– Jestem przekonana, że zawsze masz sporo towarzystwa.

– Skąd to przypuszczenie?

– Znam ten typ.

Obracam się na swoim stołku nieco w jej stronę, kończąc piwo i dając znać barmanowi, że zamawiam kolejne.

– Zatem co to za typ?

– Och, wiesz – mówi. – Typowy wytatuowany, niegrzeczny chłopiec i chmara jego wielbicielek.

Hmmm.

- Masz duże doświadczenie z tym... typem?
- Nie osobiście, ale sporo czytałam.
- Czytasz?
- Ta. – mówi. –Wiesz, zaczynasz być jak banalna wersja bohatera współczesnego romansu.

Uśmiecham się zaskoczony. Powinienem być urażony, ale jakoś czuję się nieco lżej niż jeszcze kilka chwil temu.

– Nie powinnaś wierzyć w bzdury, które czytasz, Afrodyto. Z jakiegoś powodu to się nazywa fikcją.

– Zatem w co powinnam wierzyć?

– Tylko w to, o czym wiesz, że jest prawdą.

Bierze kolejny łyk drinka i odchyła głowę nieco w bok.

– W porządku, w takim razie... porozmawiajmy o tym, co wiem – przytakuje jej, aby kontynuowała. – Wiem, że masz salon tatuażu...

– Pracuję w salonie – poprawiam ją. – Nie mam nic... to nie jest moje... nawet nie trochę. Po prostu poszczęściło mi się i tam pracuję.

– No dobrze, w takim razie... pracujesz w salonie tatuażu. Wiem, że jesteś tam niemal codziennie, masz też córkę i zgaduję, że niewiele osób tak naprawdę o tym wie. I... i to by było na tyle.

– Więc jestem artystą, który zaharowuje swój tyłek i stara się zachować swoje życie prywatne dla siebie... co więcej musisz wiedzieć?

– Jak i dlaczego? – pyta, patrząc na mnie.

– Niebezpiecznie jest pytać „dlaczego” – odpowiadam.

– „Dlaczego” nigdy nie jest tak kuszące jak „co”. Zabija fantazję, a wszystko pozostałe jest rzeczywistością i uwierz mi... nie jest wcale taka piękna.

Rzeczywistość? Klasyczny przypadek popieprzonej rodziny wydającej na świat zdegenerowanego syna, którego się wyrzeka, gdy tylko okazuje się, że jest popieprzony tak samo mocno, jak reszta z nich.

– Wiesz, może wcale nie lubię piękna. – Avery wzrusza ramionami. –  
Może lubię to, co brzydkie.

Chichoczę.

– Dobrze wiedzieć.

Barman podaje mi drugie piwo, biorę łyk, po czym ponownie się do niej odwracam, zmieniając temat.

– Więc, opowiedz mi o sobie.

– Sądziłam, że zamierzasz mi pomóc odkryć jaka jestem.

– Pomogę ci znaleźć odpowiedź na pytanie „*dlaczego*” – mówię. – A ja chcę wiedzieć „*co*”.

– Tak naprawdę nie ma zbyt wiele do powiedzenia. Jestem tancerką.

Tancerka.

*Oczywiście.*

Nic dziwnego, że ma tak oszałamiające ciało.

– To super. Znam kilku tancerzy.

– Naprawdę?

– Tak, pewnie. Większość z nich po prostu stara się utrzymać na studiach.

Wiesz, robimy to, co musimy. Nie ma się czego wstydzić.

– Ja... co? – wstrzymuje oddech. – Myślisz, że... że jestem striptizerką?  
Poważnie? Czy ja wyglądam, według ciebie, jak jedna z nich?

Ponownie skanuję ją wzrokiem.

– Wyglądasz, jakbyś mogła być w tym dobra.

Wstrzymuje oddech, żartobliwie mnie popychając.

– Jestem tancerką. Tańczę. I mam na sobie ubranie.

– Ach – mówię, śmiejąc się. – Myślę, że tego też nie musisz się wstydzić.

Przewraca oczami, rumieniec pokrywa jej twarz i szyję.

– Zatem, gdzie tańczysz?

– Przeważnie w Juliard<sup>5</sup> – odpowiada. – Jestem na czwartym roku.

– Założę się, że to zajmuje większość twojego czasu.

– To prawda – przyznaje. – Ćwiczę codziennie, czasami nawet całą noc, w zależności od tego, czego dotyczą próby. Nie zostaje zbyt wiele czasu na życie poza tańcem, chociaż bardzo staram się je mieć. Przy zdrowych zmysłach trzyma mnie posiadanie czegoś innego, czegoś z dala od tego... czegoś, co jest tylko moje, wiesz? Czegoś co mogę zachować tylko dla siebie.

– Więc jesteś artystką, która zaharowuje swój tyłek i stara się zachować swoje życie prywatne dla siebie.

Avery waha się, zatrzymując szklankę w połowie do drogi do ust, ale w końcu potwierdza moją tezę.

– Tak, myślę, że można tak powiedzieć.

To wszystko, co tak naprawdę potrzebuję wiedzieć. Kończy swojego drinka, odstawiając szklankę na blat, gdy wskazuję na barmana.

– Jeszcze raz coś takiego i dopisz do mojego rachunku.

– Nie musisz tego robić – wtrąca Avery.

– Wiem – odpowiadam. – Chcę.

Pijemy drinki podczas rozmowy, jesteśmy swobodni, tylko nie do końca jestem zadowolony w chwilach, gdy patrzy na mnie spod półprzymkniętych powiek, co jest spowodowane wypitym alkoholem i samą chęcią patrzenia. Roztacza swój czar, wyczuwam go wyraźnie. Cieszy mnie to znajome uczucie czystego, nieskażonego pożądania, dzięki któremu powietrze staje się ciężkie, gdy miesza się ze słodkim zapachem jej perfum. Ze sposobu w jaki przygryza dolną wargę oraz wzroku, który dryfuje do moich ust, gdy myśli o mnie

---

<sup>5</sup>Juliard – nowojorska prestiżowa uczelnia muzyczna i artystyczna, powstała w 1905 r. (więcej u wujka Google)

całującym ją mocno, wiem, że jest świadoma tego co mi robi. W zasadzie nie jestem wielkim fanem całowania, ale niech mnie szlag, jeżeli ona nie powoduje, że to kusząca wizja. Kilka razy przysuwa się bliżej, a ja pozwalam jej prowadzić, ale odsuwa się, nim nasze usta zdążą się spotkać. To doprowadza mnie do kurewskiego szaleństwa. Flirtuję, mój głos jest niski i spokojny, ona chłonie każde moje słowo, jej ciało reaguje mimowolnie, gdy przysuwa się bliżej, nasze nogi się dotykają, od czasu do czasu przesuвам palcami po jej odsłoniętej, zaczerwienionej skórze. Przechodziłem przez ten taniec tyle razy, że mógłbym to robić z zamkniętymi oczami. Zawsze kończy się tak samo... nago i satysfakcjonująco. Czas się ciągnie, godziny mijają, aż barman przechodzi wzdłuż blatu, uderzając w niego dłonią, żeby zwrócić naszą uwagę.

– Ostatnie zamówienia, ludzie.

Spoglądam na zegarek. Dochodzi czwarta rano. Patrzę na Avery, widząc szok wymalowany na jej twarzy, gdy uświadamia sobie, która jest godzina.

– Cholera! Kiedy zrobiło się tak późno?

Wiedząc, że salon jest otwierany po dziesiątej, a do południa nie mam żadnego umówionego klienta, miałem czas, żeby odespać wypity alkohol. Na podstawie jej ekspresji wnioskuje, że nie jest aż taką szczęściarą.

– O której musisz być na nogach?

Śmieje się oschle.

– Mam spotkanie o siódmej.

– Do tego czasu zdążysz wytrzeźwieć – mówię z wahaniem, gdy ona potyka się o własne nogi. – Albo i nie.

Płacę kartą, martwiąc się, gdy widzę, że to czyści niemal do zera moje konto, a następnie podążam za Avery na zewnątrz, waham się, gdy obserwuję ją stojącą przy krawężniku. Otwieram usta, słowa, które układają się w mojej głowie nigdy nie przejdą mi przez gardło. Zanim mogę cokolwiek powiedzieć,

Avery zatrzymuje taksówkę i znika, nie mówiąc nawet „*dobranoc*”. Stoję tam, wpatrując się w tylne światła samochodu. Odfruwam.

Ten jest pierwszy. Boom. Bang. Buzz. Ha, ha, ha.

Walenie w mojej głowie tylko zwiększa hałas panujący w salonie. Jestem spięty, moje mięśnie są napięte, a resztki kaca nadal są w moim organizmie. Czuję się jak jedna z tych małych, nakręcanych zabawek Lexie, która pędzi tak daleko jak tylko jest w stanie, ale nigdy nie jest spuszczone ze smyczy. Ciężko jest się odprężyć, trudno się rozwinąć bez jakiegokolwiek uwolnienia. Wewnątrz mnie wszystko buzuje, próbując się uwolnić, popychając mnie z każdą mijającą godziną bliżej krawędzi.

Zbliża się dziesiąta wieczorem, czas zamknięcia salonu, ale jest tu nadal kompletny chaos. Kończę moją ostatnią, dzisiejszą sesję, poprawialem szkielet, który tatuowałem facetowi na ramionach jakiś rok temu. Dodałem więcej szczegółów i rozciągnąłem go na jego dłoń. Starąłem się wytłumaczyć mu zasady dotyczące tatuowania dłoni, ale był zdecydowany, pomimo świadomości zagrożeń.

Kończę tatuować ostatni palec i zabieram igłę, delikatnie pocierając podrażnioną skórę. Sprawdzam swoją pracę, wyłączam maszynkę i wzdycham.

– Bardzo proszę.

Wyłączam muzykę, odczuwam ulgę bez dźwięków Metalliki rozbrzmiewających nade mną i wychodzę z pokoju, nie czekając nawet, aż zobaczy w lustrze efekty mojej pracy. Idę prosto do biurka recepcjonistki, prześlizguję się obok Ellie, która rozmawia z klientem, planując datę sesji. Kręcę się wokół jej stanowiska pracy, ignorując zirytowane spojrzenie, które

posyła w moim kierunku. Uchylam się przed ciosem z łokcia, gdy orientuje się, że podprowadzam jej paczkę Camel<sup>6</sup>.

Odpaliłem papierosa zanim nawet wyszedłem na zewnątrz. Zaciągnąłem się głęboko dymem, inhalując płuca i kojąc nerwy. Kurwa. Nie paliłem prawie dwa tygodnie. Wkładam zapalniczkę do kieszeni, zaciągam się głęboko, delektując się ostrym pieczeniem w klatce piersiowej, gdy ktoś woła moje imię.

– Reece?

Rozglądam się, patrzę w dół na chodnik, skąd dochodzi głos, zatrzymuję się, gdy zauważam Avery. Wydycham powoli dym, tworząc wokół siebie chmurę, gdy ona się zbliża.

– Hej.

– Hej – mówi, zatrzymując się przy mnie i marszcząc lekko nos. – Nie wiedziałam, że palisz.

Jest coś w jej głosie coś, co dobrze znam. Tak samo reaguje Lexi. Obrzydzeniem. Zaciągam się kolejny raz, przytrzymując dym w płucach, zanim rzucam papierosa na ziemię i przydeptuję.

– Nie palę – odpowiadam, wypuszczając dym i lekko się uśmiechając. – Jestem zaskoczony, że cię widzę.

– Naprawdę?

– Tak. Po tym jak zniknęłaś ostatniej nocy, byłem przekonany, że nie zależało ci, żeby mnie ponownie zobaczyć – stwierdzam, wyciągając z kieszeni paczkę gum do żucia.

Wkładam kawałek do ust, żeby pozbyć się smaku, oferuję również jej, ale rezygnuje.

– Przykro mi z tego powodu – wyznaje. – Nie chciałam odejść bez pożegnania, ale... cóż...

---

<sup>6</sup> Camel – marka papierosów z wielbłądem na opakowaniu;



– Nie musisz przeproszać. Łapię.

– Czyżby?

Kiwam głową.

– Nie jesteś mi nic winna.

Otwiera usta, żeby coś odpowiedzieć, gdy drzwi za nami otwierają się i wychodzi mój klient. Przerywa, żeby dać mi napiwek, dziękując wylewnie za moją pracę i z podnieceniem pokazując wytatuowaną rękę Avery. Śmieje się, gdy facet odchodzi dumnie i odwraca się do mnie, a ja chowam napiwek do kieszeni.

– To wyglądało niesamowicie.

– Na razie – mówię.

Na podstawie swoich wytatuowanych dłoni, przypuszczam, że za kilka miesięcy znikną i rozmyją się, wyglądając tak, jakby były zrobione w czyjejs kuchni z użyciem taniego i wątpliwego pochodzenia sprzętu.

– Czyli zjawiłaś się właśnie po to? Przeprosić?

– Tak – odpowiada. – No i pomyślałam, że moglibyśmy kontynuować tam, gdzie przerwaliśmy.

– Zacząć tam, gdzie skończyliśmy. – Powtarzam, po czym pytam. – Czyli gdzie dokładnie?

Śmieje się, wskazując na drugą stronę ulicy.

– W barze, jak sądzę. A potem gdziekolwiek będziemy chcieli stamtąd pójść.

Unoszę na nią brew.

– O której jutro musisz być na nogach.

– Dopiero po południu.

– Czyli nie uciekniesz ode mnie?

– Nie, przynajmniej tak długo, aż rano ze mną nie skończysz. – Gdy to mówi, robi wielkie oczy. – Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

– Hmm. – Uśmiecham się żartobliwie. – To szkoda.

Ustaliam z Avery, że spotkamy się w barze po drugiej stronie ulicy. Wracam do studia, szybko sprzątam swoje miejsce pracy, zamykam drzwi i wracam do biurka Ellie.

– Dzięki za fajkę, El. Wiszę ci jedną.

Patrzy na mnie podejrzliwie.

– Jesteś w lepszym nastroju.

– Tak.

– Musiałeś naprawdę potrzebować tego papierosa.

Oferuję jej tylko wzruszenie ramionami i ruszam prosto na drugą stronę ulicy. Avery siedzi przy barze z różowym drinkiem stojącym przed nią i z puszką Genesee po lewej stronie. Wsuwam się na stołek obok niej i natychmiast podnoszę piwo.

– Dopisałaś to do mojego rachunku?

– Tak.

– Twój drink też?

– Tak – odpowiada, biorąc łyk swojego napoju. – Zaczynamy tam, gdzie skończyliśmy wczoraj, pamiętasz?

Uśmiecham się.

– Dobrze.

Ponowne rozmawianie, żartowanie, picie i flirtowanie przez niemal całą noc przychodzi nam łatwo. Nasze ciała są do siebie przyciągane jak magnesy, powoli zbliżając się do siebie z upływem czasu. Dzisiaj dużo wcześniej, nie ma jeszcze drugiej w nocy, gdy już nie mogę tego dłużej znieść. Avery sący drinki... trzeciego, czwartego, może nawet piątego. Obserwuję ją, przesuwając kostkami dłoni po jej zarumienionym policzku. Widzę jak drży pod wpływem mojego dotyku.

– Chcesz się stąd wydostać?

Kiwa głową, unosząc w uśmiechu kącik ust. Szybko kończy swojego kolorowego drinka. Wypijam do końca swoje piwo i wstaję. Oferuję Avery moją dłoń, a ona bierze ją bez wahania, splatając palce z moimi i zaciskając. Patrzę przez chwilę na nasze złączone ręce, gdy jej kciuk delikatnie głaszcze moją skórę. Czy ona robi to celowo? To cholernie rozpraszaające.

– To gdzie idziemy? – pyta, gdy prowadzę ją w chłodną noc.

Jej słowa są niewyraźne. Zdecydowanie lekkie. Jest pijana. Zatrzymuję się i odwracam w jej stronę.

– A gdzie chcesz iść?

– Gdziekolwiek – odpowiada bez wahania.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Czy mieszkasz na terenie kampusu?

*Proszę, powiedz, że nie.*

– Tak.

*Cholera.*

Jej mieszkanie zdecydowanie nie wchodzi w rachubę. Moje oczy dryfują na drugą stronę ulicy, do zamkniętego już studia. Z pewnością mielibyśmy tam odrobinę prywatności, ale czułbym się źle. Mieszanie pracy z przyjemnością jest do dupy, więc odpada. Ale nie zabieram dziewczyn do siebie. Nigdy nie zabrałem. Zawsze idę do nich, więc mogę się urwać w środku nocy i uniknąć porannej niezręczności. Mniej bałaganu. A ja nie jestem bałaganiarzem. Już nie.

Kurwa.

Hotel? Nie, to po prostu poniżające i drogie, chyba, że wziąłbym ją gdzieś, gdzie wynajmują pokoje na godziny.

Jezus, jestem dupkiem, ale nie aż takim dupkiem. Dobra?

– No i co? – pyta Avery, gdy waham się, przysuwając się bliżej. Patrzy na mnie, praktycznie owijając się wokół mojego ramienia. Wciąż pociera kciukiem moją skórę. – Gdzie idziemy?

Pieprzyć to.

– Do mnie – mówię, wskazując w dół ulicy. – To tylko kilka przecznic stąd.

Zatrzymuję taksówkę, zbyt niecierpliwy i zbyt pijany, żeby spacerować o tej porze. Poza tym, gdybym się dłużej zastanawiał, byłbym w stanie zmienić zdanie, zanim jeszcze byśmy tam dotarli. Podjeżdżamy do mojego mieszkania w ciągu kilku minut. Avery podąża za mną do środka i wchodzimy po schodach na drugie piętro, wierci się, gdy otwieram drzwi do mieszkania i zapraszam, żeby weszła do środka. W momencie, w którym przechodzę za nią przez drzwi, praktycznie rzuca się na mnie, owijając ramiona wokół mojej szyi i przyciskając usta do moich. Chwieję się, zaskoczony jej pocałunkiem, po czym kopniakiem zamykam drzwi, oddając jej pocałunek. Nawet nie przejmuję się włączeniem światła. Łapię ją za biodra i prowadzę przez ciemne mieszkanie, prosto do mojej sypialni za ostatnimi drzwiami po prawej stronie. Dotykamy się przez ubrania, próbując się jednocześnie ich pozbyć, szarpiemy za guziki i ciągniemy uparte zamki, poruszając gorączkowo złączonymi ustami. Potyka się, ledwo utrzymuje się na własnych nogach, gdy prowadzę ją do łóżka. Opada na nie z chichotem, a ja ściągam jej koszulkę i odrzucam na bok. Jest ciemno, cholernie za ciemno jak dla mnie, prawie nic nie widzę, za to moje usta badają jej piersi, pieszcząc miękką skórę.

– To takie dobre uczucie – jęczy cicho, ledwie ją słyszę, gdy wplątuje palce w moje włosy.

Senny ton jej głosu spowalnia moje ruchy, gdy naciskam delikatnie całując skórę od obojczyka aż po szyję. Rozluźnia się pode mną i mruczy z zadowoleniem do mojego ucha, a ten dźwięk dociera natychmiast do mojego fiuta.

*Spokojnie, chłopcze.*

Jęczę, wycofując się w momencie, gdy wiem, że muszę przestać. Poza tym ona jest cholernie pijana. Szybko straci przytomność i jestem pewien, że aż takim dupkiem nie jestem. Wykorzystanie kobiety w takiej sytuacji byłoby chore. Patrzę na nią, jej twarz jest pogrążona w ciemności i ma zamknięte oczy. Mogę się tylko śmiać ze swojego zezowatego szczęścia. Z pewnością zaczęliśmy tam, gdzie wczoraj skończyliśmy, czyli w sytuacji, w której nic nie możemy zrobić. Ostrożnie ruszam się i wstaję z łóżka. Zasypia zanim opuszczam sypialnię. Przechodzę przez korytarz do łazienki, włączam światło, zasłaniając ramieniem oczy, przed jego blaskiem. Zamykam drzwi i opieram się o nie, pozwalając sobie na zirytowane westchnienie. Nie mogę tego zrobić ponownie. Jestem za bardzo nakręcony. Zamierzam eksplodować.

Sięgam do swoich bokserem i łapię twardego fiuta. Pulsuje, pocieram... pragnąc tego rodzaju uwagi, której po raz kolejny nie dane mi zaznać. Zamykam oczy i głaszczę siebie. To nie jest delikatne i na pewno się tym nie rozkoszuję. Uderzam szorstko i szybko, raczej dla uwolnienia niż przyjemności. Muszę spuścić trochę pary, albo będę nieszczęśliwym, drażliwym draniem rano. Gorszym niż zazwyczaj.

– Kurwa, kurwa, kurwa – warczę, uderzając głową o drzwi, gdy czuję przyjemny ból ogarniającego mnie orgazmu, który mną szarpie.

Zaciskam szczękę, powstrzymując dźwięki, kłębiące się w mojej piersi. Dochodzę w swojej dłoni, garbię ramiona, gdy dreszcze przechodzą przez moje ciało.

Myję się i wracam do sypialni, słuchając głośnego chrapania Avery, wtulonej w moją jedyną poduszkę. Nie mam pojęcia, co zrobić. W moim łóżku jest dziewczyna i śpi. Zasnęła. Poważnie, co ja mam, do cholery, zrobić? Wzdycham, starannie przykrywając jej półnagie ciało cienkim kocem i kładąc się obok niej, żeby spróbować się przespać.

– Cholera, cholera, cholera...

Otwieram oczy, słysząc spanikowany głos. Mrugam kilka razy zdezorientowany i przewracam się na łóżku, szukając źródła dźwięków. Mój głos. W chwili, gdy moje spojrzenie odnajduje Avery, wspomnienia ostatniej nocy wracają do mnie i pozwalam sobie na senny chichot. Skreślone dwie noce z rzędu.

*Kolejny pierwszy raz.*

Mój śmiech zwraca jej uwagę. Sztywnieje, bierze szybko swoją koszulkę i błyskawicznie zakłada, po czym odwraca się twarzą w moją stronę. Ma zaczerwienione policzki z ciągle jeszcze odcisniętym śladem poduszki, a jej włosy są w całkowitym nieładzie. Zaniepokojona, jakby czytała w moich myślach, szybko przebiega palcami przez loki, starając się je oswoić.

– Dzień dobry – mówię, opierając się na łokciach, gdy ona się nie odzywa.

To z pewnością dziwne, obudzić się w swoim pokoju i widzieć ją tutaj.

– Co robisz?

– Ja byłam, hm... no... wiesz... ja tylko...

Marszczę brwi, siadając prosto na łóżku, gdy ona wkłada buty.

– Wychodzisz?

– Tak, pomyślałam, że...

– Spóźniłaś się? Kurwa, czy ja się spóźniłem?

Patrzę na zegarek, jest dopiero siódma rano. Nie, żadnego spóźnienia. Ponownie odnajduję ją wzrokiem, a odpowiedzią jest jej speszony wyraz twarzy.

Sukinsyn.

– Chciałaś się ode mnie wymknąć, prawda?

– Nie – odpowiada szybko. Za szybko. – Pomyślałam, że...

– Sądziłaś, że możesz wyjść, zanim się obudzę, więc unikniesz konfrontacji twarzą w twarz ze mną i tej całej niezręcznej, porannej sytuacji „*po wszystkim*”.

Avery patrzy na mnie i poddaje się.

*Trafiona.*

– Dobra, masz rację.

Zatyka mnie. To moje standardowe postępowanie... a ona wykorzystała je na mnie?

– Musiałabyś być znacznie ciszej, żeby ci się to udało – mówię, potrząsając głową. – Musiałabyś zabrać ciuchy i założyć je w innym pokoju, a być może nawet na zewnątrz, żeby nikogo nie obudzić, podczas ubierania się. I z pewnością nie powinnaś gadać podczas ubierania. Do diabła, nie powinnaś nawet zbyt głośno oddychać. Ale ty... brzmiałaś, jakbyś tańczyła w pieprzonym deszczu, stepując i śpiewając jednocześnie.

– Cóż, nigdy wcześniej tego nie robiłam – mruczy. – Więc nie wiedziałam.

– No to teraz już wiesz – stwierdzam, nie zadając sobie trudu, żeby się jakoś bardziej ubrać. Idę w stronę drzwi do sypialni w moich czarnych bokserkach i zatrzymuję się tuż przy niej. – Następnym razem będziesz już wiedziała.

Ziewam zaspany, idę korytarzem do kuchni. Włączam światło i otwieram szafki, wyciągając z nich potrzebne rzeczy. Mija zaledwie chwila, gdy w drzwiach pojawia się kompletnie ubrana Avery, z zebranymi wszystkimi swoimi rzeczami i wyglądającą na tak wykończoną jak wcześniej.

– Co robisz? – pyta, gdy ja borę patelnię i stawiam ją na kuchence.

– Szykuję śniadanie – odpowiadam, pocierając brzuch, który burczy jak na zawołanie. – Jesteś mile widziana przy stole, no chyba, że chcesz iść. Wybór należy do ciebie. Nie zrobię nic, żeby wprawić cię w zakłopotanie.

– Za późno – mruczy, wahając się przed wejściem do małej kuchni i zajęciem miejsca z boku blatu.

– Czyli umiesz gotować?

– No cóż... umiem zrobić naleśniki – Oferuję. – Robię je dla małej księżniczki, gdy jest tutaj.

– Jak często jest u ciebie?

– Co drugi weekend. Święta naprzemiennie. Standardowe bzdury z planem odwiedzin, z jakimi zmagają się ojcowie.

– Pozostały czas spędza ze swoją mamą?

Przytakuje, mieszając ciasto na naleśniki.

– Albo w szkole, albo... wiesz... ze swoją nianią.

– Ma nianię?

– Tak.

– Ale nie ty ją zatrudniłeś?

Patrzę na nią z niedowierzaniem, niemal urażony tym pytaniem. Czy wyglądam na kogoś, kogo stać na nianię? Do diabła, nawet gdyby było mnie stać, czy wyglądam na kogoś, kto zatrudniłby taką osobę?

– Wiesz, Afrodyto, jak na kogoś, kto próbował zniknąć, unikając rozmowy, masz całkiem dużo do powiedzenia o poranku.

– Przepraszam. Ja tylko staram się rozumieć.

– Nic się nie stało – mówię. – Chciałbym mieć więcej, ale biorę to, co mogę dostać. Poza tym, prawdopodobnie jest jej lepiej tam, gdzie jest. Chodzi mi o to, że co ja, kurwa, wiem o małych dziewczynkach?

– Wydawało mi się, że dobrze sobie radzisz, gdy was widziałam.

– Dzięki za wiarę we mnie, ale moje życie to studio tatuażu, wiesz? To nie jest odpowiednie miejsce do wychowywania dziecka.

Nic więcej nie mówię i kończę przygotowywać nam śniadanie. Siadam obok Avery przy blacie z dużym stosem naleśników. Polewam swoją porcję



grubą warstwą syropu klonowego, a ona dodaje na wierzch swoich tylko odrobinę masła.

– Cieszę się, że nie uciekłam od ciebie – mówi Avery, po pierwszym kęsie. – Te naleśniki są absolutnie warte chwili porannego wstydu po wszystkim.

Śmieję się.

– Są lepsze, jeżeli doda się do ciasta kilka dodatków. Moja mała księżniczka lubi wersję z bananami i orzechami.

Avery otwiera usta.

– Och, to brzmi pysznie! Co muszę zrobić, żeby spróbować takiej wersji?

– Nie wiem – odpowiadam. – Prawdopodobnie spać ze mną.

Rumieni się.

– Zrobiliśmy *to*, prawda?

– Błąd... chyba, że masz na myśli dosłowne znaczenie snu, to tak, z pewnością spałaś. Z pewnością chrapałaś jak skurwysyn, zgarniając przy tym moją poduszkę.

Robi wielkie oczy.

– Nie zrobiliśmy nic więcej?

– Nieee.

– Ale my byliśmy... a ty jesteś, cóż... a ja... – mówi wskazując przestrzeń między nami. – Więc, pomyślałam, że...

– No nie, nic się nie wydarzyło. Wierz mi, gdyby coś było, wiedziałabyś o tym.

– Jak?

– Ponieważ to nie jest coś, o czym można zapomnieć.

Bierze kolejny kęs swoich naleśników.

– Wygląda na to, że próbowałam się wymknąć nadaremno.

– Tak – potwierdzam cicho. – Wygląda na to, że właśnie tak było.

Kończę śniadanie i gdy Avery jeszcze je, wymykam się, żeby wziąć długi, gorący prysznic. Narzucam na siebie jakieś ciuchy, spodziewając się, że wyszła bez pompy, podczas mojej nieobecności, ale zamiast tego znajduję ją wciąż siedzącą w moim salonie. Stoi przed kanapą, tyłem do mnie i kontempluje samotne dzieło sztuki wiszące na ścianie. Napinam mięśnie, ogarnia mnie niepokój, który staram się odepchnąć, gdy dotyka płótna i przesuwa palcami po dużej powierzchni, badając fakturę. To jest jak włamanie. Inwazja.

– To jest prawdziwe – szepcze.

– Owszem. Jest.

Odwraca się do mnie zaskoczona i unosi brew.

– Kto to namalował?

– Nikt ważny – mówię. – Pewien pretensjonalny dupek, który kiedyś uważał się za prawdziwego artystę.

– Kimkolwiek jest, jest artystą – stwierdza. – To jest wspaniałe.

Szczerłość w jej głosie, łagodzi gniew, który we mnie powstał.

– Dziękuję.

Gapi się na mnie.

– Ty?

Przytakuję.

– Poważnie, namalowałeś to?

– Tak, to jest oryginalny Hatfield.

– Jesteś artystą? – wrywa się z pytaniem, ale szybko się poprawia. – No wiesz, wiedziałam, że jesteś artystą zajmującym się sztuką tatuażu, ale nie miałam pojęcia, że zajmujesz się takim rodzajem sztuki.

Wpatruję się w obraz, abstrakcyjną akwarelę, w której dominuje żółta barwa.

– Byłem na ostatnim roku Uniwersytetu Columbia, gdy to namalowałem.

– Columbia? – pyta z niedowierzaniem. – Jesteś absolwentem jednej z najlepszych szkół artystycznych w kraju?

– Nigdy nie powiedziałem, że skończyłem studia.

– Rzuciłeś?

– Raczej mnie wykopali, ale co tam... i tak pewnie bym to rzucił.

– Dlaczego miałbyś to zrobić?

– Lexie.

Jej twarz zdaje się nieco łagodnieć, gdy dociera do niej moja odpowiedź.

– Ooo.

– Urodziło mi się dziecko... musiałem zrobić coś, żeby zapłacić rachunki.

I tak jak bardzo kochałem sztukę, moją księżniczkę Kocham o wiele, wiele bardziej.

Avery uśmiecha się i ponownie patrzy na obraz.

– Ale i tak jesteś dobry.

– Dzięki.

– Naprawdę tak uważam – mówi. – Dlaczego wykopali cię ze szkoły?

– To długa historia – odpowiadam. – Sądzę, że można uznać, że nie byli moimi fanami. Nie docenili mojej techniki, że tak powiem.

Patrzy na mnie zmieszana, ale otrząsa się z tego. To dobrze. Cieszę się, ponieważ nie jestem w nastroju na wyjaśnienia.

– Cóż, ich strata – stwierdza. – Wiem, że masz tatuowanie i w ogóle, ale nie powinieneś rezygnować z takiej sztuki.

– Nie zrezygnowałem – odpowiadam. – To ona zrezygnowała ze mnie.

Stoję przed płótnem i nic nie czuję, nic nie widzę, nie wyczuwam tego, co kilka lat temu przyszło z łatwością, ale teraz po prostu nie ma nic. Tatuowanie jest częścią mojego drugiego ja, pracą na zlecenie, podczas której maluję? To tylko ja. Jestem wyschniętą studnią. Jestem pusty.

– Naprawdę powinnam już iść – mówi Avery, zerkając na zegarek i nieśmiało podnosząc wzrok. – Ja... to znaczy...

– To wcale nie musi być niezręczne – odpowiadam, zmierzając w kierunku drzwi. – Idź, ale obiecaj, że wrócisz na więcej naleśników.

– Wrócę – obiecuje, kierując się do drzwi.

Zatrzymuje się, żeby na mnie spojrzeć.

– Następnym razem na pewno będzie wersja z bananami i orzechami. – Uśmiecham się do niej, gdy odchodzi.

Po jej wyjściu patrzę na obraz wiszący na ścianie, moja ekscytacja powoli opada. Co ja, do cholery, robię? Zapraszam ją do siebie, do mojego życia wiedząc, że nie już tutaj dla niej miejsca. Wiem to najlepiej. I oto jestem tu, rozmawiając z nią o mojej sztuce, jakby kiedykolwiek mogła zrozumieć moją walkę.

*Balagan.*

Nie podoba mi się to. Co jest ze mną nie tak?

## CZWARTY

– Orientuj się.

Te słowa docierają do mnie, gdy tylko przekraczam próg *Wonderland*. Zerkam na Kevina, nie mam za dużo czasu na reakcję, zanim coś uderza mnie w pierś. Słyszę wyraźne grzechotanie, gdy to coś uderza o podłogę przede mną. Metalowa puszka toczy się po marmurowych płytkach, prosto pod moje stopy. Patrzę na nią nie mówiąc ani słowa. Puszka białej farby w sprayu... stara, tania marka, zniszczona etykieta niemal uniemożliwia jej rozpoznanie. Patrzenie na to sprawia, że się wzdrygam. Bez słowa kopię puszkę z powrotem do niego. Jest za wcześnie na takie gówna.

– Chodź. – Podnosi puszkę, kręcąc nią w moją stronę. Metalowa kulka w środku grzechocze, uderzając o boki, mieszając farbę. Ten dźwięk sprawia, że włosy stają mi dęba. – Naprawdę?

Ignoruję jego pytanie.

Jego głos jest lekki, niemal żartobliwy, ale dla mnie nadal brzmi, jak jakaś cholerna inkwizycja. Przenoszę wzrok z niego na ścianę w poczekalni sklepu, skanuję białą, błyszczącą powierzchnię, którą pomalował. Nie jestem do końca pewien, co to do cholery ma być. Kevin jest świetnym artystą, ale jest bardziej techniczny, co oznacza, że jest do bani w awangardowym graffiti.

– Lepiej zostaw to zawodowcom.

Śmieje się i odwraca z powrotem do swojego projektu.

– Ja tylko próbowałem. Ty się nie zgodziłeś.

Wzdycham i przeczesuję ręką włosy. Zmierzam w stronę swojego pokoju, mamrocząc pod nosem.

– Jestem na emeryturze. Już się nie zajmuję tym gównem.

– No, ale powinieneś to zrobić – woła, reagując na moje słowa. – Poza tym, artyści nigdy tak naprawdę nie przechodzą na emeryturę. Chodzi mi o to, że niektórzy szaleli jak cholera, obcinali sobie uszy i puszczały się na prawo i lewo, ale to nie powstrzymało ich od malarstwa, wiesz?

Nie jestem w nastroju, żeby mu odpowiedzieć. Czasami czuję, że jestem tylko krok od odcięcia własnego fiuta i walnięcia nim kogoś. Jedyne co mnie przed tym powstrzymuje, to fakt, że w zasadzie *lubię* swojego kutasa. Zapewnia mi pewne przyjemności, które jeszcze mi pozostały w życiu.

Ale udręczony artysta?

Nooo, czuję to. Czuję to i żyję z tym każdego dnia. Potrzeba tworzenia siedzi głęboko we mnie, ale myśl, że nie będę w stanie niczego wykreować jest przerażająca. Jestem bezradny. Pieprzony, bezsilny artysta. Mój fiut nigdy nie zdradził mnie w ten sposób.

Przez cały dzień rozpraszają mnie dźwięki dochodzące z holu. Grzechotanie puszek z farbą i syk uwalnianej z nich farby jest na tyle głośny, że zagłusza buczenie mojej maszynki do tatuowania, a nawet tłumi muzykę, bez względu na to jak bardzo podkręcam głośność. Frontowe drzwi do salonu są cały dzień otwarte, żeby wywietrzyć szybciej zapach farby, ale i tak ją czuję, gdy pracuję w swojej pracowni. To sprawia, że marszczę nos i staram się oddychać przez usta, ale to niewiele zmienia. Jestem uzależniony od patrzenia jak ktoś inny zaciąga się tym zapachem.

Kończę pracę z ostatnim klientem, szybko sprzątam i ruszam w stronę drzwi, ale Kevin mnie przechwytuje. Stoi w drzwiach wejściowych, jedną nogą w wewnątrz, drugą na zewnątrz i od niechcenia zaciąga się papierosem. Gapi się na mnie, nie ruszając się, żeby zejść mi z drogi. Zatrzymuję się kilka kroków od niego.

– Nie przestaniesz mnie dręczyć, prawda?

Śmieje się, wypuszczając nosem i ustami smugę dymu.

– Nie nazwałbym tego dręczeniem.

– A jak byś to nazwał?

– Wydobywaniem całego twojego potencjału – odpowiada. – Właśnie to próbuję zrobić od dnia, w którym pojawiłeś się tutaj w swoim pomarańczowym wdzianku<sup>7</sup>, szorując ścianę tego budynku.

– Tamtego dnia też mnie dręczyłeś.

– Jeszcze raz... wcale bym tego tak nie nazwał.

Kręcę głową, patrząc w przestrzeń, gdy po raz kolejny wypuszcza papierosowy dym z ust. W irytujący sposób robi sobie ze mnie jaja i doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Bez względu na to, co mówi, wiem, że ma z tego frajdę. Oglądam się za siebie i przyglądam się świeżemu graffiti w holu. To jest mieszanina kolorów, jakby ktoś rozpryskał tęczę na ścianie, ale za cholere nie wiem, co ma oznaczać biały środek.

– Niezłe graffiti.

– Prawda? – Kevin gasi papierosa i wyrzuca peta do kosza na śmieci, po czym mijając mnie wraca do holu salonu. – Mogłoby być lepsze, gdyby ktoś zdecydował się mi z tym pomóc.

Nie zostaję, żeby kontynuować rozmowę. Nie mam na to nastroju. Jestem tak mocno okaleczony, że ostatnią rzeczą, której w tej chwili potrzebuję, to większy kontakt z ludźmi, więc mijam bar, spuszczam głowę w dół i wracam prosto do domu. Idę powoli, bez pośpiechu, wdychając świeże powietrze i wykorzystując chwilę na oczyszczenie umysłu.

Im bliżej jestem domu, tym okolica staje się bardziej nieciekawa. Graffiti pokrywają każdą płaską powierzchnię, ale nic z tego nie można nazwać sztuką. Ksywki, znaki gangów nabazgrane jedno na drugim tanimi farbami w sprayu, dzięki czemu to wszystko jest nieczytelne i nic nikomu nie mówi.

---

<sup>7</sup>To odnosi się do ubrania więźniów... w USA jest to pomarańczowy kolor.

Ryk syren przecina powietrze, a niebieskie światła migają na nocnym niebie. Jedni ludzie krzyczą, inni biegną, gdy z jakiegoś domu dochodzi głośna muzyka, niektórzy próbują wycofać samochody.

A może to strzały?

Przecież to Nowy Jork. Kto to, kurwa, wie?

Tak bardzo jak kocham to miasto, nienawidzę mieszkać w tej okolicy, ale to już długo nie potrwa. Wystarczająco szybko będę mógł sobie pozwolić wydostać się z tej okolicy, może nawet wynająć mieszkanie w takiej kamienicy, w której mieszka śliczna, mała Lark.

Małej księżniczce spodoba się większe mieszkanie, ale teraz jeszcze nie bardzo ją to obchodzi. Tak naprawdę nie wie, że jej ojciec jest frajerem, chociaż jej matka nie ma problemu z informowaniem o tym fakcie każdego, kto tylko chce słuchać.

– Tato.

Jestem skupiony na tatuażu, który robię, małe, czerwone kokardki z tyłu wspaniałych, opalonych, szczupłych ud. Projekt właśnie zaczyna się schodzić, gdy wypowiedziane słowo rozchodzi się echem po pokoju.

– Uhhh, zaczekaj.

– Taaatooo.

Lewo słyszę jej cichy głosik przez szum maszyny i starą piosenkę Pauli Abdul *Cold Hearted Snake*. Patrzę na nią kątem oka i wracam do pracy.

– Sekundę.

– Tatusiu! – krzyczy swoim piszczącym głosikiem, domagając się mojej uwagi.

Nie reaguję, nawet na jej wybuch, ale dziewczyna, którą tatuuję podskakuje na dźwięk jej głosu, przez co cudem unikam spieprzenia roboty.



Odsuwam igłę od jej skóry, siadam oparty w swoim fotelu i patrzę na córkę. Stoi w drzwiach z rękoma opartymi na biodrach i gniewnym grymasem na twarzy.

– Tak, Lexi?

– Czy teraz moja kolej?

Kręcę głową.

– Jeszcze nie.

– Ale niedługo?

– Później.

– Kiedy później?

Patrzę na nią, nie wiedząc jaka odpowiedź zadowoli dziecko. Nie jest przyzwyczajona do bycia ze mną, gdy jestem tak bardzo zapracowany. Zazwyczaj odbieram ją w piątkowe wieczory po pracy i mam wolny weekend, ale jej matka niespodziewanie przywiozła ją wcześniej dzisiejszego popołudnia. Bez uprzedzenia. Nie, żebym narzekał. Wezmę każdą minutę, którą mogę spędzić z moją dziewczynką. Ale jakieś pieprzone uprzedzenie byłoby miłe, ponieważ Lexi nie lubi się dzielić swoim czasem ze mną. Oczekuje mojej niepodzielnej uwagi i nie ma skrupułów, żeby głośno się jej domagać, gdy poczuje się w jakiś sposób ignorowana.

– Po prostu... później – powtarzam. – Pozwól mi najpierw skończyć pracę, dobrze?

Nie czekając na jej odpowiedź, odwracam się z powrotem do mojej klientki, ale udaje mi się zaledwie wycieniować kawałek tatuażu, gdy Lexi ponownie krzyczy.

– Taatuuuuu!

Szybko wyłączam maszynkę, natychmiast ustaje jej brzęczenie. Uśmiecham się sztucznie do ładnej brunetki, leżącej na stole.

Brenda? Belinda?

– Co powiesz, na małą przerwę, skarbie?

– Świetnie – mówi, podskakując. – Zabiłabym za papierosa.

*Ja też, moja droga.*

Wychodzi, a ja klepię dłonią stół do tatuażu.

– Siadaj.

Lexi waha się, po czym dramatycznie podchodzi i wspina się na wskazane miejsce. Siedzi z grymasem niezadowolenia na twarzy i patrzy na mnie. Podjeżdżam na stołku tak blisko, jak to tylko możliwe i ją obserwuję.

*Człowieku, wygląda na wkurzoną.*

– Porozmawiaj ze mną, mała księżniczko. Co cię gryzie?

– Nuudzi mi się – odpowiada, krzyżując ręce na piersi. – Tu nie ma nic do robienia! Próbowałam się bawić, ale Ellie nakrzyczała na mnie i Kevin powiedział, że nie ma biegania, ale ja wcale nie biegałam, przysięgam! Ja tylko chodziłam, ale to było szybkie chodzenie, no bo się bawiłam! Potem Ellie powiedziała, że nie ma zabawy, bo salon tatuaży to nie jest plac zabaw, ale nie możemy iść na plac zabaw i nie wiem, co robić!

Patrzę na nią, gdy wyrzuca z siebie lawinę słów, zanim robi przerwę, by wziąć głęboki oddech, który brzmi jak ryk. Odbieram to jako znak, do rozpoczęcia interwencji.

– Chcesz coś zrobić, prawda?

– Tak.

Rozglądam się dookoła i wyciągam flamastry.

– Narysuj obrazek.

– Jaki?

– Jaki chcesz.

Lexi nie wygląda na zadowoloną z mojej propozycji, ale się nie kłóci. Zeskakuje ze stołu i siada z boku na składanym krześle. Moja klientka wraca, zajmuje swoje miejsce, a ja wracam do pracy nad jej tatuażem. Lexi jest skupiona na rysunku, ale co jakiś czas słyszę jej dramatyczne westchnienia, gdy

klientka próbuje ze mną flirtować. Wiem, że powinienem zwrócić jej uwagę, żeby powstrzymała swój temperament, ale tak naprawdę nie mogę się na nią gniewać. Rzadko mamy czas dla siebie i kurwa... ja też wolałbym go spędzić z nią.

Kończę w niespełna godzinę, dając klientce upust ze względu na kłopoty z Lexi. Gdy kobieta wychodzi, patrzę na zegarek. Dochodzi siódma. Mam jeszcze jednego umówionego klienta na ósmą. Łatwy retusz starego tatuażu na plecach, ale wiem, że Lexi nie wytrzyma bez kolejnego napadu złości.

– Wiem, że nie lubisz być tutaj, gdy jestem zajęty, ale muszę pracować i chciałbym, żebyś zachowywała się najlepiej jak tylko możesz, gdy to robię. – Nie odpowiada, wzrok ma wbity w swoją pracę. Rysuje tuż przy niebieskiej ścianie pokoju. – Słyszysz mnie? – Wciąż nic nie mówi. – Lexi?

– Czekaj – mruczy. – Jestem zajęta<sup>8</sup>.

Kręcę głową, uśmiechając się z rozbawieniem, gdy rzuca mi lekceważące spojrzenie.

*Mądrala.*

Jest zbyt bystra dla własnego dobra.

– Co rysujesz? – pytam z zainteresowaniem.

Podchodzę bliżej gdy Lexi bez przekonania podsuwa kartkę, żebym mógł to zobaczyć. To oczywiście dinozaur.

T-Rex.

Jak na pięciolatkę, to jest naprawdę niezłe. Może odziedziczyła po mnie nie tylko wygląd.

– Wygląda dobrze – mówię, podciągając w górę koszulę i przykładając kartkę do skóry na klatce piersiowej, która jeszcze nie została przykryta tuszem. – Sądzę, że tutaj będzie wyglądać niesamowicie. Co o tym sądzisz?

---

<sup>8</sup>Hahahaha... Padłam. Nieodrodna córunia tatusia;)

Ekspresja na jej twarzy się zmienia. Promienieje.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę – potwierdzam, poprawiając swoją koszulę. – Ale nie dzisiaj. Co ty na to, żebyśmy stąd wyszli? Jestem głodny i zmęczony, a w domu z pewnością są jakieś bajki do obejrzenia.

– „*Zanim ruszył czas*<sup>9</sup>”! – Deklaruje. – Czy możemy obejrzeć Kaczusia, tatusiu?

Uśmiecham się do niej.

– Tak, tak, tak.

Znikają wszystkie oznaki jej gniewu. Sprzątam, pokornie proszę Ellie, żeby przełożyła moje następne spotkanie, po czym wychodzę z małą książniczką. Jest ubrana w swój gruby, różowy płaszcz, który chroni ją przed zimnym powietrzem zakradającym się nieprzyjemnie pod mój kaptur.

Przechodzimy zaledwie za budynek, gdy na mojej skórze pojawia się gęsia skórka i przebiega przeze mnie zimny dreszcz. Zatrzymujemy się na rogu, naprzeciwko nowej budowli, złapałem Lexi za rękę i czekaliśmy, żeby przejść na drugą stronę ulicy.

– Co oni robią z tym budynkiem, tato?

Nie muszę nawet na nią patrzeć, żeby wiedzieć o co pyta. Zerkam z niesmakiem na ciężki brezent falujący na zimnym wietrze.

– Prawdopodobnie robią renowację... albo wyburzają, żeby postawić nowy budynek.

– Dlaczego<sup>10</sup>?

– Ponieważ to stary budynek i od wielu lat opuszczony. Przypuszczam, że ktoś postanowił zrobić coś z tym miejscem.

---

<sup>9</sup>Zanim ruszył czas – animowana historia z 1988 roku o przygodach pięciu małych dinozaurów

<sup>10</sup>I jest!!!! Kluczowe pytanie 5 latków;)

– A co?

– Nie wiem.

– Co tam było wcześniej? Zanim opuszczono budynek.

Patrzę na Lexi i kręcę głową.

– Masz niekończącą się ilość pytań, prawda?

Odpowiada ze stoickim spokojem.

– Tak.

Zanim odpowiadam, przez chwilę jestem cicho, przechodzimy na drugą stronę ulicy, z daleka od miejsca budowy.

– Tak naprawdę, to nie wiem, co tam było wcześniej. Od kiedy pamiętam stał tylko szkielec. Zawsze myślałem, że tak już zostanie.

– Teraz to mi się nie podoba – mówi.

– A podobało ci się wcześniej?

Kiwa głową.

– Wcześniej wyglądało tak, jak twoje tatuaże.

Spoglądam do tyłu, na budynek, patrzę na rozciągnięty wzdłuż ścian materiał... brezent w całości przykrywa kiedyś żywe graffiti. Każdy cal ściany zewnętrznej i wewnętrznej pokryty był kolorem.

– Tak – mówię cicho. – Wyglądało.

– Zastanawiam się, co w tym jest.

Obserwuję Avery gdy mówi i owija usta wokół taniej, plastikowej słomki, sącząc owocowego drinka... takiego samego, jakiego pije w barze *The Spare Room* zawsze, gdy się spotykamy. Nadal jestem pozytywnie nakręcony po weekendzie z Lexi, więc spotkanie z nią, jest po prostu wisienką na torcie. Śmieję się, potrząsając głową i biorąc łyk piwa.

– Trochę tego, trochę tamtego... sporo taniego alkoholu i odrobina różowego gówna. *Voila*.

Rzuca mi spojrzenie i żartobliwie wywraca oczami.

– Poważnie mówię. Nawet nie wiem, jak to się nazywa.

– To jest wata cukrowa, albo coś w tym stylu – mówię, obserwując ludzi składających zamówienia przy barze. – Głównie wódka z jakiegoś rodzaju... uh... różowym czymś.

Nie wiem jak inaczej to opisać. Nieufnie patrzy na swoją szklankę.

– Czy w tym naprawdę jest wata cukrowa?

– Jestem pewien, że powinna być – mówię. – Chociaż tutaj? Cholera, nie ma mowy.

Avery patrzy na mnie, po czym powoli, z troską na twarzy, skanuje wzrokiem bar wokół nas. Mam wrażenie, że dopiero zauważyła, jakie zaniedbanie jest to miejsce.

– W każdym razie, dlaczego tutaj przychodzisz?

Wzruszam ramionami.

– A dlaczego nie?

– No wiesz, po prostu w tym mieście jest wiele miejsc, w których można się napić... lepszych miejsc.

Dopijam piwo i daję znać barmanowi, zamawiając następną kolejkę. On przesuwa w moją stronę puszkę Genesee, po czym nalewa szklaneczkę whisky. Wypijam bursztynowy alkohol, krzywiąc się w reakcji na palące uczucie, które ogarnia moją klatkę piersiową. Potrząsam pustą szklanką w stronę Avery.

– Co jest lepszego od piwa z wkładką za sześć dolców? Gdzie indziej w mieście dostaniesz watę cukrową czy co to, kurwa jest za piąta? Nigdzie. – Patrzy podejrzliwie na swojego drinka, a ja dodaję. – Poza tym jest po drugiej stronie ulicy, przy której pracuję i po drodze do domu, więc jest tanio i wygodnie. Preferuję sytuacje, w których rzeczy są łatwe... im łatwiej tym lepiej.

– Jak z kobietami?

Jej uwaga zatrzymuje mnie, gdy biorę łyk piwa. Lekko wzruszam ramionami i potrząsam głową, ale faktem jest, że trafiła dokładnie w sedno sprawy. Wypruwam sobie flaki, walcząc o przetrwanie. Nie powinienem tak ciężko harować, żeby mieć trochę przyjemności w życiu. Ale sposób w jaki mówi swoim cichym głosem, niemal nieśmiało, trafia mnie głęboko. Naprawdę cholernie głęboko. Może to nie jest zarzut, ale z cholerną pewnością tak to odbieram. I z całą pewnością jestem winny grzechu.

*Nic nie boli bardziej, niż prawda.*

Nie reaguję od razu. Popijam swoje piwo, a ona kończy różowego drinka. Gdy opróżnia szklankę, macha do barmana, który próbuje przygotować jej kolejną miksturę. Patrzę na nią, gdy bez słowa ześlizguje się ze stołka i zakłada kurtkę. Jest tu dzisiaj od niespełna dwudziestu minut.

– Nie zawsze – mówię cicho, odpowiadając na jej pytanie i wpatrując się w przestrzeń – To zależy od kobiety. Jestem pewien, że te dobre są warte wysiłku. Problem w tym, że w moim świecie jest ich niewiele.

– Zatem może powinieneś zmienić kiedyś ten świat – mówi. – Ponieważ w moim świecie, jeżeli bardzo czegoś chcesz, zaharowujesz swój tyłek, żeby to dostać.

Zanim mogę odpowiedzieć, pochyla się i wyciska na moim policzku pocałunek. Lewo czuje jej usta na niechlujnie zarośniętej skórze, to wywołuje niepokojący dreszcz, niemal zamykam oczy w reakcji na to doznanie. Nie reaguję, nie mówię ani słowa, koncentruję wzrok na stojącym przede mną piwie, a ona odchodzi, znikając za drzwiami. Wzdycham z irytacją.

Co, do cholery, ta kobieta mi robi?

W ciągu kilku sekund staje przede mną kolejna porcja whisky. Patrzę w górę na barmana.

– Na koszt firmy – rzuca, wskazując na alkohol. – Wygląda na to, że możesz tego potrzebować. – Śmieję się oschle i bez wahania wypijam alkohol. – Prawdopodobnie, kurwa, mógłbyś wypić całą butelkę.

Nie czekając, aż powie coś jeszcze, rzucam pieniądze na bar i wstaję. Spuszczam głowę w dół i idę w stronę wyjścia. Rozglądam się przed barem i od razu ją zauważam stojącą na rogu budynku. Łapie taksówkę.

– Cholera – przeklinam samego siebie, potrząsam głową i zaczynam biec, żeby ją dogonić. – Hej, Avery. Zaczekaj!

Odwraca się na dźwięk swojego imienia. Połowa długości budynku i już jestem zdyszany, gdy do niej docieram.

*Pieprzone papierosy.*

– Słuchaj, ja, uh...

Stoję przed nią, moje słowa podkreślane są chmurą mglistego oddechu, ponieważ temperatura spadła poniżej zera. Lekko drży, najwyraźniej z zimna, ale koncentruje się na mnie, gdy się waham.

– Słuchaj, nie wiem co robię. Nie mam pojęcia, dlaczego tu jestem i co robimy, co ty robisz... ale lubię cię i mam wrażenie, że ty też mnie lubisz. Może się mylę, nie wiem. Kurwa, nic nie wiem. Za wyjątkiem tego, że możesz mieć rację, no wiesz... może masz rację.

Nie jestem pewien, czy w tym co robię jest jakiś sens. To wszystko lepiej brzmi w mojej głowie, niż słowa wychodzące z moich ust.

– Może mam rację – szepcze.

– Tak – potwierdzam. – Może ją masz.

Nie wiem, czy rozumie o co mi chodzi, ale jej twarz nieco łagodniej. Robi krok w moją stronę, zatrzymuje się i dokładnie skanuje każdy fragment mojej twarzy, jakby w niej czegoś szukała. Po chwili wspina się na palce, wyciskając lekki pocałunek na moich spierzchniętych ustach, stoję nieruchomo, nie mając pojęcia, co zrobić.



To słodki pocałunek. Najśłodszy, jaki kiedykolwiek w życiu dotknął moich ust. To dostaje się pod moją skórę. Nie całuję w ten sposób. Zanim mogę się z tym pogodzić, odsuwa się z powrotem.

– Dobranoc, Reece – mówi, odwracając się i podchodząc do taksówki, zostawiając mnie samego, stojącego na chodniku.

## PIĄTY

Niemal każdej nocy po pracy wpadam do baru. Czasami siedzę tam w spokoju, relaksując się po długim dniu, ale od czasu do czasu Avery przychodzi dotrzymać mi towarzystwa. Pijemy drinki i rozmawiamy, po czym ona przeprosza i wybiega, tłumacząc się zbyt napiętym harmonogramem, żeby zostać do późna. Nigdy nie wraca ze mną do domu, nawet nie zostaje na tyle długo, żeby doszło do czegokolwiek noszącego znamiona intymności, ale czekam na odpowiedni moment. Prosta, zaskakująca znajomość, którą dzielimy wystarcza, żeby przełamać monotonię mojego życia oraz odsunąć mnie od bezmyślnych zachowań. Minęło już trochę czasu... od ostatniej nocy z Lark. Od tygodni nawet nie dotknąłem żadnej kobiety. Wmawiam sobie, że to dlatego, ponieważ Avery jest wyzwaniem, wygraną w walce, którą podjąłem, ale w głębi duszy wiem, że chodzi o coś więcej. Nie chodzi tylko o seks z nią... chociaż. Jezus, całkiem sporo o tym myślę.

Pragnę jej, potrzebuję, *pożądam* jej... ale zrezygnowałbym z zabranieniem jej do łóżka, jeżeli tylko mógłbym zostawić swój znak na tej dziewczynie.

W piątkowy wieczór idę do baru znajdującego się naprzeciwko salonu. Chwilę po zamknięciu salonu zauważam zmierzającą w moją stronę postać. Zatrzymuję się przy krawężniku, z rękoma w kieszeniach, czekając, aż Avery dobiegnie, żeby się ze mną spotkać.

– Hej!

Kiwam głową na powitanie i skanuję ją wzrokiem, od botków na wysokim obcasie, przez dopasowany sweter i najbardziej dopasowane legginsy, jakie można sobie wyobrazić. Od stóp do głów jest ubrana na czarno, jak

złodziej w nocy i niech skonam, jeżeli jej strój nie podkreśla każdej krzywizny jej ciała.

– Ładnie wyglądasz.

– Och, dziękuję – mówi patrząc na siebie, jakby była zaskoczona moimi słowami. – Po prostu narzuciłam to na siebie.

– No i działa – komentuję. – To, uhhh... pasuje. Wygląda na tobie dobrze.

*Kim ja teraz, kurwa, jestem, krytykiem mody?*

Uśmiecha się nieśmiało, wskazując w stronę baru.

– Wchodzimy?

Mam zamiar potwierdzić, ale otwierają się drzwi i część pijanego towarzystwa wytacza się na zewnątrz. Patrząc na nich z rozdrażnieniem, moje spojrzenie dryfuje do wewnątrz, przez otwarte drzwi i natychmiast rozpoznaję znajomą osobę.

Lark.

Och, Lark.

Nie byłbym wcale zaskoczony, gdyby była tam szukając mnie. Jakby nie patrzeć cały czas unikam jej telefonów. Ignoruję wiadomości i nigdy nie odsłuchałem żadnej z poczty głosowej.

*Nieźręcznie.*

Odwracam się do Avery.

– Masz ochotę pójść gdzieś indziej?

– Gdzie?

– Nie wiem – mówię. – Możemy pójść coś zjeść, jeżeli jesteś głodna. Mam przy sobie kilka dolców. Jestem pewien, że stać mnie, żeby postawić ci Happy Meal.

– To będzie mój pierwszy raz.

– Co? Nigdy nie miałaś faceta, który zabrałby cię do McDonalda?

– W zasadzie nigdy nie byłam w McDonald's.

Zaskoczony unoszę brwi.

– Jaja sobie ze mnie robisz?

– Nie.

– Nigdy nie byłaś w McDonald's?

– No nigdy.

– To jest takie... nie amerykańskie.

Avery pozwala sobie na śmiech.

– Moi rodzice mają fioła na punkcie zdrowia, więc śmieciowe jedzenie nigdy nie wchodziło w grę.

– Żadnych fast foodów? Nigdy? – Patrzę na nią z niedowierzaniem. – Zero Burger Kinga, Wendy, Taco Bell, KFC? Cholera, żadnego kurczaka od Popeye?

– Nie.

– Jeezuuu, dziewczyno, to co ty jesz?

– Całkiem sporo. Grillowanego kurczaka, wegańskie burgery, kaszę jaglaną, jogurty... jem dużo sałaty i ziaren, a takie rzeczy jak siemię lniane i nasiona Chia...

– *Nasiona*. Poważnie? Kim ty jesteś, pieprzonym ptakiem?

Śmieje się radośnie, machając rękami jak ptak.

– Być może.

Potrząsam głową, obejmuję ręką jej ramiona i przyciągam bliżej do siebie, po czym ruszamy w dół ulicy, z dala od baru. Avery bez problemu wsuwa się pod moją pachę i przyciska do mojego boku.

– Zatem, gdzie idziemy?

– Idziemy trochę pożyć.

Początkowo żartowałem, gdy mówiłem, że zabiorę ją do McDonald's, ale do cholery, teraz czuję się naprawdę zobowiązany, żeby ją tam zaprowadzić. Mamy tylko kilka przecznic do ulicy z lokalami oferującymi śmieciowe jedzenie

w Lower Eastside. Gdy docieramy na miejsce, otwieram dla niej drzwi, przepuszczam i idę krok za nią. W środku staje jak wryta, skanując wzrokiem chaos panujący w restauracji. Ludzie przepychający się w kolejce, okupujący stoliki, śmiejący się i krzyczący. Jest 22:30 w piątkowy wieczór, więc większość jest tak narąbana, że ledwo stoją. To jak wejście do dżungli. Robię krok w stronę kolejki do kasy, gdy Avery ponownie wtula się w mój bok. Niepotrzebnie skanuję wzrokiem menu... Zawsze i tak zamawiam z cholernego promocyjnego menu za dolara.

– Co chcesz?

– A co jest dobrego?

– Nic.

Avery śmieje się.

– Cóż, brzmi obiecująco.

– Nieee. Frytki są dobre – mówię. – Mała księżniczka lubi nuggetsy.

– Czy to z piersi kurczaka?

– Uh... jasne.

– Nie brzmisz przekonywująco.

– Pierwsza zasada fast foodów brzmi: nie pytać o to, co jesz – radzę. – Jest szansa, że nie chcesz tego tak naprawdę wiedzieć. Więc jeżeli ma być białe mięso, to tak... jasne... wszystko z białym mięsem.

– Jasne – odpowiada, wzruszając ramionami. – Wezmę to, co zawsze bierze Lexi.

Dwa zestawy Happy Meal z nuggetsami później, siadamy naprzeciwko siebie przy małym stoliku w kącie, ocierając się kolanami i szukając wygodnej pozycji na plastikowych krzesłach. Avery otworzyła swoje małe, czerwone pudełko, a ja zrobiłem kilka łyków gównianej Coca Coli... trzy łyki i ten pieprzony kubek jest już pusty.

– Och, to zabawka! – piszczy Avery, wyciągając mały, plastikowy woreczek. – Dostałam jakieś takie różowe coś do notatek. A ty co masz?

Zaglądam do swojego pudełka i wyciągam zabawkę.

– Mam ciężarówkę.

Avery krzywi się, patrząc na obie zabawki.

– Jakie stereotypowe.

– Wolisz samochód?

– Nooo.

Zanim mogę cokolwiek powiedzieć, Avery porywa moją ciężarówkę i kładzie przede mną mini pamiętnik.

– Smacznego!

Uśmiecha się i zaczyna wyciągać swoje jedzenie. Wącha nuggetsy i odgryza kawałek. Wzrusza ramionami i bierze kolejny, większy kęs.

– No i? – Zanurzam frytkę w ketchupie, po czym wkładam ją do ust. –  
Werdykt?

– Całkiem jadalne.

Zanurza nuggetsa w pojemniczku ze swoim sosem BBQ, a ja w swoim słodko-kwaśnym. Po chwili dobiera się do mojego jedzenia, próbując wszystkiego, łącznie z sosem.

– Hmm, to jest jeszcze lepsze.

Bez słowa przesuwam sos w jej stronę i zjadam swojego ostatniego nuggetsa. Zaglądam do swojego pudełka... nie zostało nic, oprócz kawałków jabłka. Wyciągam paczuszkę i rzucam Avery.

– A to jedzenie dla królików, specjalnie dla ciebie.

Śmieje się głośno, ale zabiera jabłka.

– Co za troska.

– Właśnie, *troska* to moje drugie imię.

Dziwnie na mnie patrzy.

- Jakie masz drugie imię?
- Kłopot.
- Pytam poważnie – mówi, lekko kopiąc go pod stołem. – Jak ono brzmi?
- Nie chcę o tym rozmawiać.
- Och, daj spokój...
- Nie.
- Proooszę???

Waham się. Cholerna prosząca Avery.

- Trystan.
- Trystan?
- A od Alana, L od Loyda.
- Co?
- Mam w sumie trzy „drugie” imiona.
- Reece Trystan Alan Loyd Hatfield?

Przytakuję.

- Czwarty.
- Czwarty?
- A czytasz R H Y S, technicznie rzecz biorąc Rhys.

Gapi się na mnie, jakby myślała, że sobie z niej, kurwa, żartuję, ale jestem całkiem poważny. W moim akcie urodzenia dumnie wpisano Rhys Trystan Allan Loyd Hatfield IV, wszystko dzięki uprzejmości moich rodziców, ludzi pochodzących z grupy społecznej, wśród której ilość imion nadanych dzieci podnosi status społeczny.

- Co to za imię?

– Takie, które określa oczekiwana wobec dziecka. Przeznaczeniem Rhysa IV było zostanie wybitnym malarzem, tak jak da Vinci i Michał Anioł. Ale Reece? – śmieję się szorstko. – On jest, jak nazywa to moja matka, oszukaną kolorowanką... według niej moja sztuka wygląda jak rysunki pięciolatka.

Marszczy nieco czoło.

– Tak powiedziała twoja matka?

Kiwam głową.

– To jest po prostu... – Potrząsa głową. – Ja... uh...

Robi się zamieszanie, słysząc pijane odgłosy niosące się echem po restauracji, a to powoduje, że cholernie czuję się jak ktoś uratowany przez dzwonek.

Wstaję, zanim kończy to, co chce powiedzieć, odstawiam tacę obok kosza i kieruję Avery w stronę wyjścia. Ścisną swoją cokolwiek i zabiera ze stołu nasze zabawki. Gdy wychodzimy na zewnątrz, wsuwa różowy notatnik w tylną kieszeń moich spodni. Przytrzymuje przez chwilę swoją dłoń na moim tyłku, po czym wysuwa ją z mojej kieszeni.

– No więc, kolacja była... interesująca.

– Co ty nie powiesz? – mówię. – Następnym razem zabiorę cię do Burger Kinga. Wkładają tam różne dodatki.

– Trzymam cię za słowo.

Spacerujemy w ciszy, prawie nic nie mówiąc. Gdy tak idziemy, Avery żartobliwie jeździ swoją ciężarówką po moim ramieniu. Moje myśli dryfują, umysł jest gdzieś daleko, a ja gubię się w ciszy, to niebezpieczny dla mnie scenariusz. Mógłbym się napić. Może nawet zapalić papierosa. Jak tak o tym myślę, to jakaś cipka byłaby też niezłą opcją. Cokolwiek, byle uspokoić buzujące nerwy i odciągnąć myśli, od gówna, o którym nie lubię myśleć.

Na przykład... moi rodzice. Moja sztuka. Moja życiowa porażka. Miałem być kimś, ale spójrzcie na mnie.

– Rozumiem – mówi Avery po chwili.

Patrzę na nią zainteresowany, zastanawiając się, czy wie, co mam na myśli.

– Łapiesz?



– Tak – odpowiada. –Moi rodzice są w pewien sposób tacy sami. Dla nich liczy się jedynie klasyczny balet. Uważają, że każda inna forma tańca jest stratą czasu... marnowaniem talentu. Mama jest nieco bardziej wyrozumiała, ale mój ojciec zalicza się do twardogłowych typów. Więc rozumiem, wiesz... doskonale wiem, jak to jest z tymi oczekiwaniami.

– Czy wiesz, jak to jest być odrzuconym właśnie z tego powodu?

Mój ton jest ostrzejszy, niż zamierzałem, na tyle ostry, że na chwilę zwalnia swój krok. Idzie kok za mną, zwalniam, oglądając się na nią.

– Odrzucili cię?

Kiwam głową i odwracam się.

– Nie rozmawiałem z nimi od pięciu lat.

– Ale... co z Lexie?

Wzruszam ramionami.

– Co z nią?

– Nie chcą się z nią widywać?

– Nie, gdy wiąże się to z widywaniem mnie.

– To jest po prostu... to szaleństwo.

– Takie jest życie – odpowiadam. – W każdym razie, moje życie.

– Nie rozumiem tego. Nie rozumiem, jak ludzie... rodzice... jak ktoś może się odwrócić plecami od kogoś, kogo kocha.

Wtrącam się, zanim może kontynuować swoją myśl.

– Czy kiedykolwiek popełniłaś błąd, Afrodyto?

– Oczywiście.

– Dobra, ale czy kiedykolwiek spieprzyłaś coś tak bardzo, że to spowodowało twoje życie na złą drogę? Czy spowodowałaś, że rodzice sobie ciebie odpuścili, cholera, więcej... wszyscy, których znałaś, odwrócili się od ciebie... Czy kiedykolwiek zrobiłaś coś, co dręczy cię codziennie od wielu lat, a wszystko przez to, że wierzyłaś w swoją niezwyciężoną moc oraz brak

konieczności działania zgodnie z zasadami? Bo ja tak spieprzyłem. Zrobiłem to. Schrzańłem. W każdym razie pewne błędy, może nawet nieszkodliwe, mają moc namieszania w życiu. I gdy ludzie popełniają takiego rodzaju błędy, czasami muszą odejść, nawet jeżeli kochają swoich bliskich. To jest nazywane *twardą miłością*.

Waha się.

– Co zrobiłeś?

Wzdycham i kręcę głową.

– Myślałem, że jestem artystą, a byłem jedynie głupim dzieciakiem.

Zanim Avery może odpowiedzieć, wciągamy ją do małego sklepu na rogu ulicy i podchodzimy do lady.

– Potrzebuję paczkę Cameli w twardym opakowaniu.

Nadal wiszę Ellie kilka fajek.

Kasjer chwyta paczkę papierosów i rzuca ją na blat. Płacę, odwracam się, żeby wyjść, ale waham się przy drzwiach. Sięgam do kieszeni, wyciągam z niej garść bilonu. Obok drzwi, przy ścianie stoją automaty na monety.

– Lexie kocha te rzeczy – mówię, zatrzymując się przed nimi.

Wrzucam dwie ćwierćdolarówki do jednej z maszyn i pcham dźwignię, po czym w tunel wpada kartonowe pudełko. Zabieram je, otwieram i wyciągam z niego błyszczący, tymczasowy tatuaż. To jakiś prosty projekt z motywem serca, jestem przekonany, że już komuś coś takiego tatuowałem. Macham nim przed Avery.

– Dla ciebie.

– Fast food i sztuka na mojej skórze podczas jednej nocy? Zaczynam myśleć, że mogę ulec złym wpływom.

– Zaczynasz myśleć? No to muszę robić gównianą robotę, skoro teraz zorientowałaś się w moim planie.

– A jaki jest dokładnie twój plan?

– Nie wiesz?

– Nie. To znaczy, mogę się domyślać, jak sądzę, ale nie wiem... no wiesz.

Śmieję się, gdy wychodzimy ze sklepu i stajemy na chodniku pod latarnią. Nie odpowiadam na jej pytanie, ściągam zabezpieczenie z tatuażu, podwijam jej rękaw i przyciskam wzór do jej przedramienia. Kradnę kawałek lodu z kubka z colą, żeby go zwilżyć, przyciskam mocno przez minutę, po czym delikatnie odrywam.

– Hmm – mówi Avery, patrzą na wzór na swojej skórze. – Dobra robota.

Mrugam figlarnie.

– Nie na darmo nazywają mnie *Szalonym Rozbitkiem*<sup>11</sup>.

Patrzy na mnie.

– Tak na ciebie wołają?

– Tak.

Mruży lekko oczy.

– Interesujące.

Unoszę jej brodę, pochylam się i delikatnie całuję w usta. A potem szepczę tuż przy jej miękkich wargach.

– Ciekawość. Ach, ta ciekawość.

---

<sup>11</sup> Mad Tatter – Szalony rozbitek (ale to moje tłumaczenie)

## SZÓSTY

– Hej!

Patrzę w górę ponad moją puszką Genesee, gdy Avery wślizguje się na stołek obok mnie. Kiwam głową i patrzę na nią ponownie, gdy zauważam pot na jej czole, zaczerwienioną skórę i włosy spięte w kok. Ma na sobie czarny top i wyjątkowo skąpe spodenki.

*Czy ona ma świadomość, że jest zimno?*

Automatycznie moje oczy suną wzdłuż jej gołych nóg, zastanawiając się, jak bym się czuł, gdyby owinęła je wokół mnie, podczas gdy wchodziłbym w nią głęboko. Jeżeli kiedykolwiek do tego dojdzie. Minał już prawie miesiąc i nic. Zaczynam przez nią wątpić w swoje umiejętności.

– Cześć.

Barman podchodzi, pytając, czy podać jej to co zwykle, ale potrząsa głową.

– Dzisiaj poproszę tylko wodę.

Unoszę brew.

– Woda?

– Tak. Jestem spragniona – mówi, chwytając się za gardło, akcentując swój wybór.

– Cały wieczór mieliśmy próbę. Pracowaliśmy nad nową choreografią, ale to gównie nam za bardzo nie szło. Ludzie ciągle się mylili, więc choreograf kazał nam wszystko powtarzać od początku i tak w kółko i jeszcze raz i... – Milknie i bierze postawioną przed nią wodę, pijąc zachłannie, po czym posyła mi zakłopotany uśmiech. – Wybacz, gadam jak nakręcona... cóż, wiesz...

– Nie przeszkadza mi to – mówię, wzruszając ramionami. – Moja druga dziewczyna też tak ma. Niczym nie różnisz się od Lexie, jeżeli chodzi o gadanie.

Avery odstawia wodę, jej oczy stają się większe, gdy się na mnie gapi.

– Co powiedziałaś?

– Powiedziałem, że Lexie też tak robi.

– Nie, nie. Wcześniej.

– Powiedziałem, że to mi nie przeszkadza. – Patrzy na mnie przez chwilę, mrugając kilka razy. – Co? – pytam, zaskoczony jej wyrazem twarzy. – Co się stało?

Kręci głową i lekko się uśmiecha.

– Nie ważne. Nic takiego.

Wzruszam ramionami.

– Czyli właśnie skończyliście próbę?

Mruczy, potwierdzając.

– Dosłownie kilka minut temu. Przyszłam od razu tutaj. Prawdopodobnie wyglądam gównianie.

– Wcale nie – mówię, ponownie skanując ją wzrokiem. – Wyglądasz dobrze, gdy jesteś rozpalona i spocona.

Reaguje śmiechem.

– Robisz co możesz, żeby dzisiaj ściągnąć moje spodnie, prawda?

Marszczę czoło i niechętnie przenoszę wzrok z jej nóg, żeby spojrzeć w oczy.

– Nie staram się cię oczarować. To przychodzi naturalnie. Poza tym, nie wiem, czy masz tego świadomość, ale nie masz na sobie żadnych spodni.

Przewraca oczami.

– Mam na sobie szorty.

– Jeżeli chcesz to tak nazwać – odpowiadam, gdy mój wzrok ponownie dryfuje w dół.

Nie mogę oderwać od niej oczu.

– Jeezuuu, to nieprzyzwoite. Widziałem bieliznę, która zakrywała więcej.

– Jeżeli to ci przeszkadza, to wyjdę.

– Nie ma cholernej mowy, żebyś wyszła – mówię. – W każdym razie, nie beze mnie.

– Wiesz, jesteś strasznie zaborczy jak na faceta, który nawet nie widział mnie jeszcze nago.

*Jeszcze.*

Uśmiecham się w reakcji na to słowo. To cholernie piękne słowo, jedno z najpiękniejszych, które wyszło z jej wspaniałych ust.

– Trochę widziałem.

– Ale nie wszystko.

– Tak, ale nie dlatego, że się nie starałem.

– Jakoś nie zauważyłam, żebyś się ostatnio specjalnie mocno starał – stwierdza. – I z pewnością nie widzę, żebyś teraz próbował.

Obserwuję ją. Te słowa brzmią niesamowicie wyzywająco. Wpatruję się w nią intensywnie, co wywołuje jej rumieniec, gdy walczy, żeby utrzymać uśmiech. W milczeniu kończę piwo, cały czas patrzę na nią, przez co coraz bardziej się kręci. Zalażłem jej za skórę. Dobrze.

*Przynajmniej to, kurwa, jest odwzajemnione.*

Dopijam piwo, odstawiam pustą butelkę na barze i wstaję gotowy do wyjścia, cały czas nie spuszczać z niej wzroku.

– Idziesz, Afrodyto?

– Myślę, że to zależy od ciebie.

– Jeżeli to zależy ode mnie... – mówię, pochylając się i szepcząc jej do ucha. – Dojdiesz natychmiast, jak tylko będziemy sami.

Nie muszę mówić nic więcej. Avery wstaje rusza z rękoma w kieszeniach w stronę drzwi, a ja macham, żegnając się z barmanem. Gdy tylko wychodzimy na zewnątrz, Avery wsuwa dłoń w moją rękę.

– Do ciebie?

Tym razem się nie waham.

– Zdecydowanie.

Bez pośpiechu pokonujemy dystans do mojego mieszkania, ale gdy już do niego wchodzimy, zmiana nastroju wisi w powietrzu. Avery oplata moją szyję ramionami, staje na palcach i przysuwa usta do moich warg. Przesuwam językiem po jej dolnej wardze, a ona chętnie rozchyła dla mnie usta. Całuję ją głęboko, namiętnie, przesuwam dłonie z jej bioder na tyłek, przyciągając ją bliżej siebie. Jęczy, przesuwając palcami przez moje włosy z tyłu głowy. Prowadzę ją przez korytarz do sypialni i naciskam włącznik światła, gdy wchodzimy do środka, ale Avery szybko sięga i wyłącza oświetlenie. Chichoczę i dla niej zostawiam je wyłączone. Nie spieszę się z rozebraniem jej ze skąpych ubrań, odkładając każdą ich część na małym stosie na drewnianej podłodze. Odsuwam się nieco, przerywając pocałunek i patrzę na nią, zdeterminowany, żeby zobaczyć możliwie dużo jej ciała w miękkim blasku księżyca sączącym się przez okno sypialni. Nigdy więcej nie będzie mogła powiedzieć, że nie widziałem jej nago.

Avery wspina się na łóżko, a ja unoszę się nad nią. Uwalniam jej usta i przesuwam swoimi w dół jej szyi, pieszcząc szyję i odkrywając piersi. Jej skórę pokrywa odrobina potu. Zrywam z siebie ciuchy, niedbale rzucają je przez pokój, po czym zakładam prezerwatywę i wspinam się między jej uda. Pierwsze powolne i głębokie pchnięcie wywołuje zduszony okrzyk Avery. Jęczę z przyjemności, rozkoszując się ciepłem, które czuję, wypełniając ją po raz

pierwszy. Zatrzymuję się głęboko w jej wnętrzu, dając jej chwilę, żeby się przyzwyczaiła. Jest tak cholernie ciasna, że ledwo się powstrzymuję. Niebiańsko. Czyste, cholerne piękno i to jest, do diabła, najwspanialsza tortura, zwinięta razem w burzę uczuć... cholera, nawet nie mogę tego nazwać.

Seks jest dobry. Nie, seks jest *wspaniały*. Ale seks, gdy się go nie miało przez jakiś czas? To jest pieprzone *wszystko*.

– Czuję się tak dobrze – jęczę, wysuwając się niemal cały przed ponownym jej wypełnieniem, moje usta odnajdują ponownie drogę do jej szyi.

Nigdy wcześniej tak bardzo nie chciałem być wewnątrz kobiety. Nigdy wcześniej nie pragnąłem tak obsesyjnie spróbować cipki, posiąść ciała i zamierzam w pełni wykorzystać każdą chwilę, gdy mam ją w swoim łóżku. Avery otula mnie swoimi ramionami, przechyla głowę lekko w bok i rozsuwa nogi, chętnie mnie witając. Z przyjemnością przyjmuję to zaproszenie. Zwiększam tempo, wbijając się w nią mocno i głęboko, dając jej każdą cząstkę siebie, którą jestem w stanie. Przygryzam i ssę jej skórę, spijając jej każde westchnienie, jęk i szloch. Gdy po raz pierwszy łkając mówi moje imię czuję dreszcz przebiegający wzdłuż mojego kręgosłupa.

– Reece. – Szlocha, przytulając mnie mocniej i wbijając paznokcie w skórę górnej części moich pleców. – O Boże... Reece.

Śledzę językiem drogę wzdłuż jej szczęki, po czym całuję jej ucho.

– O co chodzi, Afrodyto?

– Zaraz...

Wstrzymuje oddech, połykając resztę słów, gdy sięgam między nasze ciała i drażnię jej lechtaczkę. W ciągu kilku sekund jej ciało się spina, po czym eksploduje. Odchyła głowę i wygina plecy, gdy orgazm przejmuje kontrolę nad jej ciałem.

*Piękna.*



Walczę, żeby nie zamknąć oczu, przyjemność narasta, gdy czuję wokół fiuta konwulsje jej orgazmu. Zmuszam się do utrzymania otwartych oczu i patrzę jak Avery drży w świetle księżyca, bierze w dłonie swoje piersi, ugniata je i ściska sutki między palcami. Na ten widok niemal dochodzę. Gdy jej przyjemność ustępuje, relaksuje się i patrzy na mnie w ciemności swoim dzikim wzrokiem.

Uśmiecham się, łapię ją za biodra i wciągam na mnie. Leżę na łóżku, oddając jej kontrolę, a ona z jękiem osuwa się na mojego fiuta. Chcę na nią patrzeć. Ujeżdża mnie, poruszając biodrami. Wie, co robi... podejrzewałem, że tak będzie od pierwszego spotkania z nią. Ściskam jej uda, przesuwam palce na jej brzuch i piersi, zaczynam je pieścić, ściskając sutki, tak jak sama wcześniej to zrobiła. Czuję, że jej ciało się napina, gdy to robię.

Uśmiecham się.

Uwielbiam, gdy kobieta wie, co lubi i nie boi się tego pokazać. Avery kładzie dłonie na moich rękach, przesuwałac nimi po moich starych tatuażach, po czym splata nasze palce i ściska. Pochyla się, delikatnie mnie całuje, językiem przeciągając po piercingu w kąciaku moich ust. To nie zajmie mi dużo czasu. Wiem to. Czuję, jak buduje się we mnie. Powstrzymuję się, ponieważ nie chcę jej powstrzymywać. Jestem zbyt urzeczony patrzeniem jak porusza biodrami, kręcąc nimi i przesuwałac jak w tańcu do muzyki, której nikt nie słyszy. Przyjemność w końcu sięga punktu, w którym nie mogę go już dłużej kontrolować. Łapię ją za biodra, zamykam oczy i zaciskam zęby. Trzymam ją w miejscu, tuż przy łóżku, zatapiając się w niej mocno kilka razy. Dochodzę, zatracając się w doznaniach, jak przez mgłę słyszę jej krzyki, gdy moje pchnięcia doprowadzają ją na krawędź i spada z niej. Dysząc, Avery kładzie się na mnie, opierając głowę na mojej piersi.

– Jasna cholera... to było... wow.

Odsuwam jej włosy z twarzy, gdy kciukami głaszczę policzek.

– Tak, takie było.

*Wow.*

Avery szybko odpływa w sen, ale ja całą noc nie mogę zasnąć. Gdy nadchodzi poranek i słońce wschodzi za oknem, ja gapię się w sufit i od czasu do czasu głaszczę plecy Avery. Leży spokojnie przytulona do mnie, dzięki czemu czuję każdy jej oddech. Nadchodzi czas, kiedy zazwyczaj wymykam się, żeby uniknąć jakichkolwiek pozorów związku. Ale cokolwiek to jest, nie ma od tego ucieczki. Wzdycham i odsuwam Avery, żeby wstać z łóżka. Zakładam spodnie od dresu i idę do kuchni. Cicho, cichutko przemierzam drewnianą podłogę mieszkania, wyciągam wszystkie produkty, żeby przygotować ciasto na naleśniki i rozpocząć ich smażenie. Opieram się o blat przy kuchence, kładąc łypatkę na marmurowym blacie. Mój umysł odpływa do wspomnień o minionej nocy.

– Ładnie pachnie.

Zaskakuje mnie jej cichy głos. Uśmiecham się na jego dźwięk, prostuję się i odwracam w jej stronę. Łapię stos naleśników, stawiam na stole.

– Częstuj się.

Podąża za tą wskazówką i siada na stołku.

– Bananowo-orzechowe?

– Oczywiście.

Uśmiecha się, łapie widelec i bierze kęs, wypuszczając z ust przesadny jęk.

– No dobra, to jest niesamowite.

– Dzięki.

– Nie, to ja dziękuję – mówi ze wzrokiem skupionym na naleśniku, gdy z apetytem bierze kolejny kęs. – Myślałam, że nigdy nie spotka mnie nic lepszego niż ostatnia noc, ale wow... te naleśniki. Najlepsze pod słońcem.

– Nie jestem pewien, czy to mi schlebia czy obraża.

– Zdecydowanie schlebia – mówi, kiwając twierdząco głową. – Nic dziwnego, że to są twoje naleśniki na specjalne okazje. Są jak tajna broń. Prawdopodobnie ciągnie się za nimi niezła legenda i całe mnóstwo kobiet wraca po więcej. Twoja własna mała, naleśnikowa ekipa. Bananowo – orzechowe laski, czy coś w tym stylu.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale nie mam pojęcia, do cholery, jak na to zareagować. Zamiast tego zaczynam się śmiać, nie mając serca powiedzieć jej prawdy... czyli, że jedyną kobietą, dla której kiedykolwiek zrobiłem śniadanie, metrowego wzrostu miłośniczka dinozaurów.

Biorę prysznic, stoję kilka minut pod strumieniem gorącej wody, ale gdy kończę, Avery już nie ma. Zniknęła z mieszkania, zostawiając pusty talerz w zlewie i kartkę na blacie z napisanym jednym słowem...

*Dzięki.*

Gapię się na nią przez chwilę, po czym zgniatam kartkę i wrzucam prosto do kosza,

*Dzięki.*

Co to w ogóle znaczy? Za co dziękuje?

Dzięki za śniadanie?

Dzięki za seks?

Dzięki za nic, ty krzywy skurwysynu?

Jestem w nowej sytuacji, na nieznanach wodach i nie podoba mi się fakt, że znany łąd wydaje się być coraz dalej i dalej. Uświadamiam sobie, że zaczynam odczuwać. Prawdziwe uczucia.

*Wolałbym złapać dżumę.*

Dni mijają.

Dni, podczas których nie widzę bogini. Dni, gdy czuję, że mnie skręca i nie mam pewności, co zrobić. Sądzę, że to karma. Teraz to ja zostałem przeleciany i zapomniany. Przeszłość mnie dopada.

Tydzień później siedzę w studio, kończąc drugą sesję z Jimmym, facetem ze *Starry Night*, któremu tatuuję plecy. Dodaję nieco cieniowania, mieszając niebieski z czarnym, gdy Ellie wchodzi przez drzwi.

– Ktoś chciałby z tobą porozmawiać.

– Odbierz wiadomość.

– Jest tu, w salonie.

– Odbierz wiadomość.

Ellie śmieje się.

– Jesteś pewien?

Kiwam głową.

– Odbierz wiadomość.

Ellie odchodzi, wzruszając ramionami, zostawiając mnie z moją pracą. Kończę i raz jeszcze patrzę na projekt, zanim wyłączam maszynkę.

– Gotowe.

– Tak? – Jimmy podskakuje z ekscytacji, patrzy w lustro i się uśmiecha. – Niesamowite!

Zabezpieczam świeży tatuaż, wsuwam pieniądze do kieszeni. Dzisiaj nie mam czasu na żadne bzdury. Po tym jak Jimmy opuszcza mój gabinet, sprzątam stanowisko i patrzę na zegarek. Piętnaście minut do dziesiątej. Zamykam pokój i zmierzam do biurka recepcjonistki.

– Macie z Lexie plany na weekend? – pyta Ellie od niechcienia, gdy podchodzę bliżej.

– Standardowe – odpowiadam. – Może skoczmy do muzeum. Wpadnę jutro dokończyć papierkową robotę.

– Brzmi świetnie – mówi Ellie, notując coś w kalendarzu spotkań.

Zamierzam wyjść, gdy Ellie podaje mi wydartą z notesu kartkę.

– O... masz.

Biorę kartkę.

– Co to?

– Powiedziałeś, żebym przyjęła wiadomości dla ciebie.

*Ach.*

Rozwijam kartkę i widzę prawie nierozpoznawalne bazgroły.

*Spotkamy się po drugiej stronie ulicy? ~A*

Avery.

Wzdycham, życząc wszystkim dobrej nocy i opuszczam salon. Zatrzymuję się na chodniku i zerkam na zegarek, chociaż wiem, że na mnie już czas. W ciągu kilku minut powinienem odebrać Lexie. Waham się, wsuwam notatkę od Avery do kieszeni i biegnę na drugą stronę ulicy. Avery siedzi na swoim standardowym stołku, rozmawiając z barmanem i śmiejąc się z czegoś, co on mówi. Czuję, że gotuję się w środku, nie lubię uczucia zaborczości. Ukrywam to, gdy podchodzę, kiwam głową mężczyźnie i patrzę na Avery. Nie siadam, nie robię żadnego ruchu, żeby zamówić drinka.

– Nie mogę zostać.

Marszczy czoło, zawiesza się na chwilę, po czym doznaje olśnienia.

– O cholera... to twój weekend, prawda?

Kiwam głową.

– Dokładnie.

– Przepraszam – mówi szybko. – Byłam dzisiaj tak podekscytowana, że wypadło mi to z głowy. Po prostu przyszłam tu automatycznie.

– Podekscytowana? Z jakiego powodu?

Rumieni się.

– To nic takiego, naprawdę.

– Powiedz mi.

– Cóż, wiesz, że mamy próby do naszych wiosennych występów? No, więc, seniorzy mają też szansę, żeby zaprezentować własny układ i zostałam do takiego wybrana. Dostałam się to grupy prezentującej choreografię, która zostanie wyprodukowana. – Uśmiecha się nieśmiało, próbując ukryć emocje. – To znaczy, wiesz... to w sumie nic wielkiego, nie za bardzo... nie takie super jak *prawdziwy* występ...

– To wspaniale – mówię, sięgając i unosząc jej podbródek, gdy nieśmiało przekrzywia głowę.

Uśmiecha się promiennie, jej usta kuszą, żebym je dotknął, ale nie robię żadnego ruchu, żeby ją pocałować, chociaż tak naprawdę cholernie tego chcę.

– Pamiętam, że czułem się niezwykle, gdy zobaczyłem swoje prace na wystawie. To jest inne. Oryginalne. To wyeksponowany kawałek siebie, wystawiony na widok publiczny, więc każdy może cię zobaczyć. To jest... wspaniale.

Oj ludzie, tęsknię za tym... to już się nigdy więcej nie zdarzy. Cholera, nawet nie pamiętam, kiedy to miało miejsce po raz ostatni. Teraz wszyscy wiedzą dokładnie, czego ode mnie oczekują. Bezgranicznym zaufaniem trzeba obdarzyć kogoś, komu pozwalasz trwale oznaczyć swoje ciało, ale jednocześnie ta osoba nie ma w tym wystarczająco dużo zaufania do świata, żeby pozwolić komukolwiek nadawać kierunek swojej sztuki. Tak, znam to uczucie, gdy masz pełną kontrolę nad swoją pasją. I to jest wielka rzecz.

– Dziękuję – szepcze, zbliżając się i łapiąc mnie za ramię.

Powoli odsuwam się od niej, uwalniam jej podbródek, a jej dłoń ześlizguje się po moim ramieniu.

– Będę się zbierał.

– Och, tak, oczywiście.

Odwraca wzrok, przygryza dolną wargę i sięga po swojego drinka.

– Miłego weekendu. Pewnie zobaczymy się w przyszłym tygodniu.

Kiwam głową, odwracam się do wyjścia, ale waham się po kilku krokach i ponownie patrzę w jej stronę.

– Afrodyto?

Zerka na mnie częściowo rozbawiona, a częściowo zmieszana faktem, że nadal używam tego przezwiska.

– Co tam?

– Jesteś jutro zajęta?

– Nie. – Kręci głową. – Nie mamy żadnej próby w ciągu weekendu.

– Rano zabieram małą księżniczkę do Muzeum Historii Naturalnej – mówię. – Prawdopodobnie będziemy wychodzić około dziesiątej rano. Zatem, jeżeli nie masz nic innego do roboty, to wiesz...

Avery patrzy na mnie z otwartymi ustami, ale nie wychodzi z nich żadne słowo. Odebrałem jej mowę.

*Nieźle.*

Nie czekam na jej odpowiedź. Posyłam jej mały uśmiech, ponownie kiwam głową na pożegnanie i wychodzę z baru.

Potrzebuję około dwunastu minut, żeby dotrzeć po Lexie. Oddycham głęboko i wbiegam po kamiennych schodach prowadzących do drzwi ekskluzywnej kamienicy z czerwono-brunatnego piaskowca<sup>12</sup> na Upper Westside. Pukam, wsuwam rękę w kieszenie i kołyszę się na piętach, czekając nerwowo. To jest jak na kolejce górskiej. Ten moment, gdy wiesz, że nic złego ci się nie stanie, ale nie jesteś w stanie uspokoić galopującego serca przed wjazdem na kolejne wzniesienie.

---

<sup>12</sup>To są budynki charakterystyczne dla Nowego Yorku

Słyszę kroki rozbrzmiewające w środku, wysokie obcasy stukają, zbliżając się do drzwi, co popycha mnie coraz bliżej na skraj przepaści. Nienawidzę tego gówna... nienawidzę tych chwil. Prowadzą one do najlepszych momentów mojego życia, moich dni z Lexie, ale to co jej poprzedza, jest suką.

*Dosłownie.*

Dzwonią otwierane zamki, drzwi otwierają się energicznie i pojawia się w nich blondynka. Patrzę w dół na jej krwistoczerwone szpilki, po czym przesuwam wzrok, żeby spojrzeć jej w lodowo-niebieskie oczy... oczy, które nigdy nie obdarzą mnie nawet odrobiną ciepła.

– Rebecca.

– Rhys. – Jej głos jest twardy. – Spóźniłeś się.

– Zaledwie jakieś dziesięć minut.

– Nie zadzwoniłeś – stwierdza. – Sądziłam, że nie przyjdiesz.

– Cóż, jestem.

Skanuje mnie oceniającym spojrzeniem z absolutną dezaprobatą. Rebecca wzdycha głęboko, marszczy z obrzydzeniem nos i odwraca się.

– Alexis! Twój ojciec postanowił się jednak mimo wszystko pojawić.

Nienawidzę sposobu w jaki dobiera słowa, sugerując, że była jakakolwiek cholerna szansa, że nie przyszedłbym, gdy mam swój weekend z moją książniczką. Przez pięć lat nigdy nie opuściłem dnia, który miałem przydzielony z Lexie... *nigdy*. Ani deszcz, ani grad, żadna zamieć, zaraza czy laska... nic nie stanęło między mną a małą książniczką, niezależnie od tego, co o tym sądzi Rebecca. Staram się nie robić nic przeciwko tej kobiecie. W końcu facet, którym się stałem, odbiega bardzo od genialnego artysty, którego pieprzyła po imprezie na Columbi. Jesteśmy sobie w zasadzie obcy i w tym całe sedno. Zupełnie mnie nie zna, kurwa... nigdy nawet nie próbowała mnie poznać.

Zobaczyła postrzępioną okładkę książki i doszła do wniosku, że to klasyka i nigdy nie pytała o prawdziwą historię, jaka za tym stała. Ciężko



walczyła, żeby utrzymać mnie z dala od Lexie. Wydała dziesiątki tysięcy dolarów na najlepszych prawników, do walki ze mną, ale nie jest łatwo się mnie pozbyć i przez to jeszcze bardziej mnie nienawidzi. Nienawidzi tego, że jej idealne życie jest zakłócanie przez kogoś takiego jak ja.

Małe stópki biegną po domu, gdy Lexie zmierza prosto do drzwi. Nie zatrzymuje się, nie waha, tylko prześlizguje się obok swojej matki. Kucam, otwieram ramiona, a ona wpada prosto w mój uścisk.

– Tatuś!

– Hej, mała księżniczko.

Rebecca podaje mi różowy plecak.

– Spakowałam jej trochę zabawek, no wiesz... żeby miała się czym zająć.

Kręcę głową, ale zabieram plecak.

– Ma mnóstwo rzeczy do robienia w moim domu.

– Och, z pewnością. – Jej słowa ociekają sarkazmem. – Udowadniasz to za każdym razem, gdy przyprowadzasz ją i ma na skórze wyrysowane historie opowiedziane przez te podejrzane typy z tego salonu. To nie....

– To nie jest miejsce dla dziecka. – Kończę, przerywając jej wywód. – Rozumiem.

Słyszałem te argumenty bez przerwy.

– Jesteś gotowa? – pytam, patrząc na Lexie. – Zbierajmy się stąd.

Lexie ledwo rzuca matce spojrzenie i zaczyna mnie ciągnąć w dół po schodach. Łapię ją za rękę, różowy plecak przewieszam przez swoje ramię i ruszamy chodnikiem w stronę mojego mieszkania.

– Spóźniłeś się, tato – mówi Lexie.

– Wiem. – Odpowiadam. – Przepraszam.

– Spoko. – Wzrusza ramionami. – Mama powiedziała, że jesteś w pracy i zostaniesz tam całą noc.

– Brzmi dokładnie, jak twoja mamusia.

– Powiedziała, że zawsze tylko to robisz.  
– Znowu brzmi, jak słowa twojej mamy.  
– Powiedziała, że nie chcesz zostawiać z mojego powodu swoich przyjaciół.

Nagle zatrzymuję się i ciągnę ją za rękę na dźwięk tego gówna.

– Wiesz, że tak nie jest, prawda? Nikt nie jest dla mnie ważniejszy od ciebie, Lexie. *Nikt.*

– Wiem, tato – odpowiada. – Ale mama mówi...

– Wiem, co mówi twoja mama – potwierdzam. Wiem to, a nic z tego, co słyszałem, nie było przyjemne. – Ale co powiedział tatuś? No. Co ci mówiłem o opinii innych ludzi?

– Nie słuchać tego, co mówią i mieć swoje zdanie.

– Za wyjątkiem...?

– Za wyjątkiem obcych z cukierkami, pogodynek w telewizji i policjantów, którzy nie pokazują swoich odznak no i ludzi, którzy nie lubią muzyki, bo takim ludziom nie można ufać.

Śmieję się.

– Zapomniałaś o chłopcach, którzy chcą się z tobą umówić. W tej kwestii zawsze powinnaś wierzyć w opinię tatusia o *chłopakach*.

Stoję przy zlewie w kuchni, szorując syrop z talerzy po naszym śniadaniu. Niedaleko, w salonie, Lexie leży na brzuchu, bawiąc się pudłem starych zabawek, w tym małymi dinozaurami, plastikowymi żołnierzami i samochodzikami Hot Wheels. Wszystko jest rozłożone na podłodze, tworząc jej małą wersję Parku Jurajskiego. Swój plecak rzuciła gdzieś w salonie, a lalek zapakowanych do niego, nawet nie tknęła.

Obserwuję ją, gdy sprzątam. Właśnie kończę i wycieram dłonie ręcznikiem, gdy słyszę delikatne pukanie do drzwi. Wzdycham, wychodzę z kuchni, przechodzę nad swoją córką, starając się nie przewrócić żadnej z jej zabawek i podchodzę do drzwi wejściowych. Patrząc przez wizjer w drzwiach i widzę Avery, stojącą na korytarzu.

*A niech mnie... naprawdę przyszła.*

– Lexie, pamiętasz jak obiecałem, że pójdziemy dzisiaj do muzeum?

Podnosi głowę, patrząc na mnie i przestaje robić to, czym się zajmowała.

– Tak.

– No, więc, tatuś zaprosił na tą wycieczkę swoją przyjaciółkę i pójdzie z nami.

Lexie mruży oczy i mocno ściska w dłoni metalowy samochodzik. Przez chwilę nawet mi się wydaje, że rzuci nim we mnie.

– Zatem zależy mi, żebyś była grzeczna, dobrze? Czy możesz to dla mnie zrobić?

Lexie nie odpowiada, wraca do swoich zabawek i zabawy, którą wcześniej przerwała.

Avery ponownie puka. Wzdycham, otwieram drzwi, zaskakując ją i zastając z uniesioną nadal pięścią. Opuszcza ją szybko i się uśmiecha.

– Hej.

– Hej – odpowiadam, gestem zapraszając ją do środka. – Wejź.

Wchodzi, nerwowo rozgląda się po mieszkaniu i zauważa Lexie stojącą na korytarzu.

– Lexie, pamiętasz Avery?

Lexie ostrożnie wita się z Avery, kiwa głową, po czym patrzy podejrzliwie na mnie. Nigdy wcześniej nie przyprowadziłem do domu kobiety, nigdy nie zaprosiłem żadnej na nasze wspólne wycieczki. Nie winię jej, że jest sceptycznie nastawiona. Cholera, sam jestem tym wszystkim zaskoczony.

Avery powoli podchodzi do mojej córki.

– Cześć.

Lexie ponownie zaciska pięść na samochodziku. Spina się.

*O kurwa, proszę, nie rzucaj tym w nią.*

Lexie odpowiada po chwili i wypuszcza z dłoni zabawkę. Jej głos jest nieśmiały, bardziej powściągliwy, niż kiedykolwiek wcześniej słyszałem u mojej temperamentnej córki.

– Cześć.

Avery kuca i rozgląda się dookoła.

– Go robisz?

– Bawię się – odpowiada Lexie, tym razem trzymając w dłoni pomarańczowego dinozaura. – Ludzie starają się wrócić do domów, ale dinozaury zjadają wszystkich, którzy są w samochodach.

– Och, nie! – Avery wstrzymuje oddech i udaje przerażenie. – No i co oni mają zrobić?

Mały uśmiech pojawia się na ustach Lexie, po czym zmienia się w niepochamowany, pełnowymiarowy uśmiech.

– Wszystko będzie dobrze, ponieważ wojsko je powstrzyma!

– Ufff – Avery się relaksuje. – Przez chwilę naprawdę mnie przestraszyłaś.

Lexie chichocze.

– Nie musisz się bać. Nie zjedzą nas, ponieważ mój tatuś im na to nie pozwoli. Prawda, tatusiu?<sup>13</sup>

– Prawda – odpowiadam. – Możecie na mnie liczyć.

– No cóż – mówi Avery wstając i podnosząc z podłogi jednego z zielonych żołnierzyków. – W takim razie to dobrze, że tu jest, co?

---

<sup>13</sup> Pierwszy bohater córeczki... tatuś©

Chichoczę i przechodzę obok nich, pochylam się i mierzwię włosy Lexie, przechodząc przez labirynt zabawek.

– Uszykuję się i będziemy gotowi do wyjścia.

– Pospiesz się – mówi Lexie, odtrącając moją dłoń. – Cały dzień czekam na ciebie.

– Właśnie – rzuca żartobliwie Avery. – Pospiesz się, ślamazaro.

Pomimo ich oczekiwań nie spieszę się, zostawiam uchylone drzwi do sypialni, więc mogę przysłuchiwać się ich rozmowie. Pozwalam Lexie na przyzwyczajenie się do obecności Avery, zanim wyjdziemy z domu. Dwadzieścia minut później zakładam buty i w końcu dołączam do nich.

– Zęby umyte, mała księżniczko?

– Tak.

– Włosy uczesane?

– Tak.

– Tego akurat nie mogę potwierdzić.

Lexie przewraca oczami, łapie szczotkę i machając nią w moją stronę, siada na kanapie. Byle jak przesuwam raz za razem szczotką przez jej włosy. Avery stoi w salonie i przygląda nam się nieufnie.

– Co ty robisz z jej włosami?

– Czeszę.

– To raczej wygląda jakbyś torturował dziecko.

Zanim mogę cokolwiek odpowiedzieć Avery przejmuję dowodzenie, siadając obok mnie i przesuwając Lexie między swoje nogi. Lexie nie protestuje. Stoi grzecznie, gdy Avery przeczesuje palcami płataninę jej loków.

– Co lubisz? Kucyk? Koński ogon? Warkocz? Kok? Francuz?

– Umiesz zaplatać warkocz? – pyta podekscytowana Lexie. – Bo tatuś nie umie.

– Jakoś się nie dziwię – żartuje Avery i zaczyna zaplatać warkocz. –

Spójrz tylko na jego włosy.

Instynktownie przesuwam ręką przez włosy.

– A co jest nie tak z moimi włosami?

Lexi chichocze.

– Są szalone.

Avery szybko kończy zaplatać francuski warkocz i zabezpiecza go na końcu czarną gumką.

– Proszę bardzo.

Lexie natychmiast biegnie do łazienki, przejrzeć się w lustrze, potykając się po drodze o rozrzucone zabawki. Łapię swój jankeski kapelusz, zakładam go i zgarniam klucze. Patrzę na obserwującą mnie Avery i uśmiecham się do niej z wdzięcznością, gdy Lexie wybiega z łazienki.

– Chodźmy... chodźmy... chodźmy!

– Idziemy – mówię, wskazując na drzwi. – Panie przodem.

Byliśmy w Amerykańskim Muzeum Historii Naturalnej tak wiele razy, że pracownicy już nas rozpoznają i gdy tam docieramy witają Lexie, zwracając się do niej po imieniu. Gdy tylko wchodzimy do środka, możemy w zasadzie odpuścić sobie większość ekspozycji i udać się od razu na czwarte piętro.

Dinozaury.

Idę z tyłu, pozwalając Lexie przejąć rolę przewodnika Avery i pokierować w odpowiednią stronę.

Zajmujemy miejsca przed samą sceną i Lexie cytuje teksty zgodnie z wyświetlanym obrazem. Pomimo tego, że widziała to setki razy, wygląda na urzeczoną, jakby oglądała to pierwszy raz z szeroko otwartymi oczami. Avery też wygląda na zachwyconą, a ja nie mogę od nich obu oderwać wzroku.

*Fascynujące.*

Spędzamy większość poranka zwiedzając wystawy skamieniałości, wielokrotnie oglądając te same eksponaty, a Lexie rzuca faktami i opowiada Avery wszystko, czego wcześniej dowiedziała się o dinozaurach.

Czy wiesz, że dinozaur oznacza straszego jaszczura?

Czy wiesz, że Stegozaur miał mózg wielkości orzecha włoskiego?

Czy wiesz, że Velociraptor był wielkości indyka?

*Jazgot, cholerny jazgot.*

Zawsze zaskakuje mnie, że pamięta te wszystkie szczegóły. Przechodzimy przez salę ze szkieletami, nie rozwodząc się nad nimi, jak pozostali zwiedzający, ale Avery zatrzymuje się niedaleko drzwi.

– O, popatrz! – Wskazuje na sufit. – To pterodaktyl!

– To jest Pepterozaur – poprawia ją Lexie, a ja nie odzywam się, żeby skorygować jej wymowę.

– Naprawdę? – pyta Avery. – Hmm, nie wiedziałam. A to mój ulubiony dinozaur.

Lexie chichocze.

– To nie jest dinozaur!

– Nie?

– Nie – mówi Lexie, przesadnie kręcąc głową. – Głuptas z ciebie.

Lexie odchodzi od nas kawałek, a Avery odwraca się do mnie, unosząc brwi.

– To naprawdę nie jest dinozaur?

– Wygląda na to, że to jest latający gad – wyjaśniam. – Nie przejmuj się... popełniłem ten sam błąd.

Popołudnie upływa nam na zwiedzaniu wystaw na poszczególnych piętrach, przyglądaniu się niektórym eksponatom, po czym idziemy do części restauracyjnej, żeby coś zjeść. Lexie wybiera nuggetsy w kształcie dinozaurów,

a ja i Avery dzielimy się małą pizzą. Jemy spokojnie do momentu, w którym Lexie zadaje pytanie.

– Czy ona jest teraz twoją dziewczyną, tato?

Dławię się pepperoni i kaszląc biorę łyka swojego napoju. Zwlekam z odpowiedzią, bo nie wiem, co mam jej powiedzieć.

– No cóż, jestem dziewczyną – przyznaje Avery. – I jesteśmy przyjaciółmi.

– Właśnie – potwierdzam. – Przyjaciele.

Oczy Lexie przeskakują między nami, posyła nam sceptyczne spojrzenie, ale nie drąży więcej tematu.

Ta dziewczynka jest zbyt mądra jak na swój wiek.



## SIÓDMY

Lexie ma w moim mieszkaniu swój własny pokój. Niewiele w nim jest, łóżko, komoda i pudła z zabawkami. Obrazki pokrywają całe ściany, chociaż są dość niechlujnie przyklejone taśmą klejącą, przeważają rysunki dinozaurów. Naprzeciwko jej pokoju jest kolejne pomieszczenie, niewiele większe od garderoby, ale w sumie nie ma to znaczenia. Nikt tam nie wchodzi. Od dłuższego czasu nie wchodziłem do tego pokoju, ale ponowne wejście tam wydaje mi się tak naturalne i proste jak oddychanie. Zniszczone płótno nadal zawieszono jest na drewnianej sztaludze, szeroki wybór farb i pędzli leży rozrzucony na niewielkim biurku. Krople zaschniętej, popękanej farby pokryły skorupą pospiesznie rzuconą białą paletę.

Wciąż pamiętam dzień, gdy stałem tu po raz ostatni. Starłem się malować, ale byłem pusty... tak bardzo pusty... zawsze pusty, płótno miałem tak samo czyste jak umysł. Patrzyłem na nie... i patrzyłem... i jeszcze dłużej patrzyłem... po czym rozwaliłem wszystkie rzeczy i wyszedłem. Od tego czasu już więcej nie próbowałem.

To było dawno temu. Kiedyś mogłem godzinami siedzieć zamknięty w tym pokoju, czasami zmieniało się to w dni, gdy byłem zmęczony i opuszczała mnie wena kładłem się na materacu położonym w rogu pomieszczenia, żeby odpocząć. Ale teraz? Tamte dni są tylko wspomnieniem. To było moje sanktuarium, zresztą to widać. Podłogę pokrywa warstwa starej farby, białe ściany są pochłapane i poplamione.

*Na bank nie dostanę z powrotem kaucji za wynajęcie tego mieszkania.*

Wdycham powietrze i marszczę nos, kurz drażni nozdrza. Rozglądam się dookoła po dobrze znanym pokoju, w którym kiedyś czułem się bardziej jak w

domu, niż gdziekolwiek indziej. Wzdycham, otwieram czarny worek na śmieci i zaczynam wrzucać do niego rzeczy. Wyschnięte farby, zniszczone pędzle, uszkodzone płótna... wszystko, co odrzuciłem i zniszczyłem. Czyszczę pokój ze wspomnień. Gdy jest już posprzątny, zostają w nim tylko niezbędne rzeczy, szkielet tego, czym był w przeszłości. Wyłączam światło i wychodzę.

Nie dzisiaj. Nie, nie dzisiaj. Ale pewnego dnia... tak myślę. Pewnego dnia to do mnie wróci.

– Wow... masz swoją własną pracownię artystyczną?

Avery stoi na środku pokoju i nerwowo spleta dłonie. Oświetlenie jest słabe, rzuca na nią tylko subtelny, niewyraźny blask. Nie włączam światła, pamiętam, że z jakiegoś powodu woli półmrok.

– Mam – odpowiadam. – Albo *miałem*.

Staję przed nią, wzrokiem skanuję jej ciało. Ma na sobie tą samą różową sukienkę, którą miała na sobie w nocy, gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się w salonie. Ten widok coś ze mną robi, miesza moje wnętrza. Łapię za dolną część sukienki i robię to, co chciałem zrobić tamtego dnia... ściągam z niej to cholerstwo.

– Mogę?

Avery sprawia wrażenie zakłopotanej, przygląda mi się ostrożnie, ale powoli kiwa twierdząco głową. Odpuściliśmy dzisiaj bar i drinki. Gdy powiedziała, że rano nie musi się wcześnie zrywać, przyszedliśmy od razu do mnie. Ściągam jej sukienkę przez głowę, a ona automatycznie unosi w górę rękę. Odrzucam różowy materiał na bok. Stoi przede mną tylko w czarnym staniku bez ramiączek oraz pasujących do niego majtkach. Ciemna bielizna sprawia, że w świetle księżyca jej skóra wygląda na bladą jak nowe, puste płótno.

*Idealnie.*

Powoli pochylam się w jej stronę i szepczę.

– Nie ruszaj się.

Potem przechodzę na drugą stronę pokoju. Rozglądam się po moich starych resztkach, które zostały po malowaniu i łapię pustą paletę, wyciskam na nią różne kolory, po czym odwracam się w jej stronę.

Nie ruszyła się. Nawet o cal.

Przepływa przeze mnie zapach farby. Człowieku... minęło już trochę czasu, od kiedy po raz ostatni to czułem. Nawet nie potrafię tego wyjaśnić... to jak próba opisanie smaku wody lub dotyku powietrza. To subtelne szczegóły, których większość ludzi nawet nie zauważa, ale dla mnie jest to jak afrodyzjak. Jest zupełnie nieporównywalny z zapachem tuszu do tatuażu, z którym mam do czynienia na co dzień. Sterylny zapach sprawia, że czuję się, jakbym funkcjonował w gigantycznej butelce z płynem do dezynfekcji rąk.

– Mam pewne zasady, jeżeli chodzi o tatuaże – mówię i zatrzymuję się przed Avery. – Czasami, dla odpowiednich ludzi, zdarza mi się je nagiąć, ale to nie zdarza się zbyt często. Nazywają mnie czasami snobem, ponieważ nie daję klientom tego, czego chcą, ale ja po prostu nie mogę. Bo tatuaże są sztuką... są moją sztuką... jedyną, jaka mi jeszcze została... i nie chcę dzielić się publicznie z czymś, z czego nie jestem dumny.

– Jak z tatuażem Bridgette – cicho mówi Avery.

– Dokładnie – odpowiadam. – Złamałem wiele swoich zasad dla tego paskudztwa.

– Dlaczego?

– *Dlaczego?* Myślałem o tym wiele razy i jestem w stanie wyciągnąć tylko jeden logiczny wniosek: *Bridgette nie walczyła fair*. Weszła do salonu uzbrojona, a ja nie dorastałem do jej tajnej broni.

– Co to takiego?

– Nie co... tylko kto. A tym kimś jesteś ty, Afrodyto.

– Ja? – drżał jej głos. – Ale jak?

– Twoje przypuszczenie są tak samo trafne jak moje – odpowiadam. – Ale weszłaś tam i natychmiast wszystkie moje zasady runęły z hukiem.

Avery rumieni się, spuszcza głowę i zerka na mnie przez swoje długie rzęsy.

– Niezależnie od tego zasady są zasadami z jakiegoś powodu – mówię dalej. – Jest kilka rzeczy, których po prostu wolałbym nie robić. A przynajmniej ich nie tatuować.

Wkładam palec wskazujący w czerwoną farbę i przeciągam nim delikatnie wzdłuż jej policzka, zostawiając na nim mokrą plamę farby.

– Na przykład twarze – przesuвам palec w dół. – I szyje.

Bez słowa ponownie zanurzam palec w farbie i robię podobny znak na jej drugim policzku. Avery z trudem przełyka, gdy sunę palcem wzdłuż jej szyi. Powoli pochylam się w jej kierunku i całuję jej zagłębienie.

– I gardła.

Łapię jej rękę, przytrzymuje w swojej dłoni, a palec drugiej zanurzam w zielonej farbie. Rysuję znak X na wewnętrznej stronie każdej z nich, obracam i maluję dłonie.

– Dłonie są kolejnym elementem na zakazanej liście.

– Twoje dłonie są wytatuowane – zauważa.

Instynktownie zerkam w dół na swoje dłonie. Słowa „*rise*<sup>14</sup>” i „*fall*<sup>15</sup>” zdobią moje kostki. Są już wyblakłe i bardzo potrzebują kolejnej korekty.

– To prawda.

– Co to znaczy? – pyta. – Dlaczego akurat te słowa?

---

<sup>14</sup> Rise – ma wiele znaczeń, ale tutaj chodzi o umacnianie się, stawanie się silniejszym

<sup>15</sup> Fall – w tym kontekście chodzi o upadek

– Przypominają mi, że zawsze gdy coś osiągniesz, w końcu spadniesz w dół – odpowiadam. – A gdy już jesteś na dole, możesz pójść tylko w górę. To daje mi perspektywę na różne rzeczy.

– To jest genialne.

– To jest głupie – koryguję ją. – Ręce, twarz, szyja... okropnie się goją, a tusz może wyblaknąć i się rozmazać. To co zostaje z takich tatuaży zazwyczaj nie jest tym, pod czym się podpisałeś.

– Czy o to chodzi?

– Nie – odpowiadam ze śmiechem. – W żadnym wypadku.

Zanurzam palce w pomarańczowej farbie, mieszam kolory i klękam przed nią. Łapie mnie za ramiona, przytrzymuje się ich, gdy uderzam farbą wzdłuż jej nogi.

– Nienawidzę tatuować stóp, a zwłaszcza podeszwy. Zdecydowane i kategoryczne nie.

Podwija palce u stopy i próbuje mi się wymknąć.

– Kto w ogóle robi sobie tatuaż na podeszwie stopy?

– Byłabyś zaskoczona, ale ja tego nie robię – odpowiadam.

Moje dłonie suną po jej nogach, wstaję i zaskakuję ją tym. W następnym ruchu przykrywam dłonią jej cipkę.

– Tam też tego nie zrobię. – Avery wstrzymuje oddech, gdy przez cienki materiał bielizny zaczynam kciukiem głaskać jej łechtaczkę. Jęczy, a ja całuję ją głęboko. – Ani ust. – Szepczę tuż przy jej wargach. – To chyba najgłupszy tatuaż, o który, kurwa, zostałem poproszony.

Ponownie ją całuję... i jeszcze raz. Zanim się odsuwam, daję jej serię słodkich całusów. Zanurzam palce w niebieskiej farbie.

– Są inne miejsca, których osobiście wolę nie tatuować – mówię, pozwalając, by krople farby kapąły z moich palców na jej skórę. – Ale to są popularne tatuaże.

– Gdzie jeszcze? – pyta ochrypłym głosem. – Pokaż mi.

Ciągle maluję, rozsmazuję kolorowe smugi wzdłuż jej ciała i zwracam uwagę na miejsca, które najbardziej bolą przy tatuowaniu. Maluję jej kostki, biodra, łokcie, kolana i pachy, a na końcu nakładam farbę wzdłuż jej żeber, całego obojczyka. Odsuwam się o krok. Drży, a ja spokojnie maluję palcami tęczę wzdłuż jej kręgosłupa. Zatrzymuję dłoń na jej plecach i pochylam się, żeby pocałować jej ramię. Przechodzę wokół niej, obserwuję, sięgam w dół i rozsmazuję resztki farby wzdłuż jej ud, wsuwając palce za linię jej majtek.

– Oczywiście zrobię to, ale to nie jest przyjemne. Na moim stole ludzie niejednokrotnie płakali, a dorośli mężczyźni tracili przytomność z bólu. Ale gdy kończę, to zawsze jest kurewsko piękne. Efekt końcowy musi być warty tej agonii.

– Skąd wiesz? – pyta Avery. – Skąd wiesz, że było warte bólu?

– Po prostu to czuję – odpowiadam, rozsmazując farby na jej skórze, pokrywając kolorami miejsca, które do mnie przemawiają. – Wiesz, że to jest dobre, że warto, gdy go sobie wyobrażasz, ale jeszcze go nie masz. Ludzie robią sobie tatuaże, ponieważ są fajne, seksowne... no bo, kurwa... takie są, ale one mają też coś znaczyć. I nie ma znaczenia, co inni o tym myślą ani jak się z tym czują... to ty jesteś osobą, która ma z tym żyć. Gdy do salonu wejdzie facet i będzie chciał tatuaż Chihuahua na lewym pośladku, nie będę się tym przejmował. Gwarantuję, że mi się nie spodoba, ale zrobię to, jeżeli będę wiedział, że będzie szczęśliwy, bo to dla niego coś specjalnego. Ma sens. Bo sztuka powinna go mieć. – Maluję czerwoną, krętą linię w dolnej części brzucha Avery, otaczając palcem jej pępek. – Klienci proszą, żeby wytatuować im jakies

imiona, a ja zawsze zastanawiam się, co będą czuć do tej osoby za pięć, dziesięć czy piętnaście lat. Co będą o tym myśleć, gdy skończą trzydzieści, czterdzieści czy pięćdziesiąt lat, a to imię cały czas będą mieć wytatuowane nad swoim sercem. Ludzie się zmieniają, rosną i pieprzą, a czasem odchodzą, bez żadnego, cholernego powodu. Stwierdzają, że nie jesteś wystarczająco dobry, za mało bystry... osądzają cię na podstawie wyglądu, tego czym się zajmujesz... jedyną pewną rzeczą w twoim życiu jesteś ty sam, ale niewiele osób chce mieć na skórze wytatuowane własne imię. Chcą Joey'a, Vinnie'go i pieprzonego *Johnny'ego*.

Avery parska śmiechem i przesuwa się nieco, co powoduje zamieszanie w moim dziele przez przypadkowe połączenie linii niebieskiej z czerwoną i żółtą. Tworzy się brzydki, brązowy pas.

– Pierwsza zasada tatuazu – mówię, unosząc brew. – Nie ruszaj się.

Uśmiecha się z zakłopotaniem. Cofam się o krok i wzrokiem skanuję jej ciało, moje prowizoryczne płótno zrobione ze skóry, kości i krzywizn, gładkich mięśni i miękkiego ciała, które niezaprzeczalnie składają się na kobietę. W przeciwieństwie do mnie, nie ma dziur. Nie została rozbita i niechlujnie posklejana w całość. Ja jednak je mam. Moje pęknięcia nadal wychodzą na wierzch.

– Idealnie – mówię, patrząc na smugi spowodowane jej ruchem. – Prawie.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj.

Ściągam koszulę i rzucam ją na podłogę, tuż obok sukienki Avery. Dłoniami odnajduję jej biodra, przyciągam do siebie. Nasze usta się spotykają. Całuję ją namiętnie, łapię za uda i unoszę. Owija nogi wokół mojej talii i zabawnie piszczy, gdy niosę ją na mały futon stojący w rogu.

– Narobimy bałaganu – mówi Avery i zaplata ramiona na mojej szyi, odbijając mokrą farbę ze swojego ciała na mojej skórze.

Skubię zębami jej dolną wargę.

– Właśnie tak lubisz, prawda? Brudno? Brzydko?

– Niegrzecznie – szepcze zawadiacko. – Szorstko.

– Szorstko?

– O Boże, tak – mówi. – *Zdecydowanie szorstko.*

Ta kobieta... ona próbuje mnie zabić. Jestem o tym przekonany.

*Jest moją pokutą.*

*Moją zdrowaśką.*

*Moim odkupieniem.*

W mgnieniu oka stajemy się plataniną śliskiej farby i nagiej, pokrytej potem skóry oraz grzechu, daję Avery dokładnie to, o co mnie prosi. Wyciągam ostatnią prezerwatywę z portfela, szybko ją zakładam. Wbijam się w nią mocno i szorstko, nasze biodra łączą się cholernie boleśnie, gdy wsuwam się w nią raz za razem. Jęki wypełniają ciemność, ekstaza rośnie aż do punktu kulminacyjnego i łączy się w coś, co jestem w stanie wyartykułować jedynie ciągiem pomruków i zduszonych przekleństw.

*Kurwa.*

*Kurwa.*

*Kurwa.*

Avery oplata mnie nogami, elegancko manewruje swoim elastycznym ciałem. Nawet nie wiedziałem, że kobieta jest w stanie się tak wyginać. Pchamy i ciągniemy, dajemy i bierzemy, oddajemy się drugiemu, po czym żądamy kontroli, bez przerwy, aż nie jesteśmy w stanie wziąć więcej. Dochodzę mocno, siła orgazmu prawie odbiera mi oddech. Tłumię jej krzyki pocałunkami. Leżę pod nią, a ona mnie ujeżdża, całuję ją i kładę dłoń na jej karku. Avery uspokaja się gdy rozluźniam swój uścisk. Opada na mnie, walczy, by złapać oddech, a jej



klatka piersiowa unosi się szybko. Leżę przez chwilę w milczeniu i wpatruję się w sufit.

– Reece? – w końcu szepcze Avery.

– Tak?

– Czuję się obrzydliwie.

Śmieję się, wysuwam spod jej ciała i wstaję. Moje nogi drżą, a kolana się uginają.

*Cholera. Nie jestem w formie.*

– Chodź – mówię, podając jej rękę. – Pójdziemy to zmyć.

Prowadzę ją przez ciche mieszkanie do łazienki. Odkręcam wodę, ustawiam temperaturę, po czym odwracam się do Avery. Dzisiaj po raz pierwszy, mogę ją całą dokładnie zobaczyć, nigdy wcześniej nie widziałem jej nagiej, gdy światło było włączone. Instynktownie skanuję ją wzrokiem, jej ciało pokrywają szaro–bure smugi i plamy kolorowych, wysuszonych już farb. Wierci się pod wpływem mojego spojrzenia, zasłania piersi i staje bokiem, onieśmielona uwagą, jaką jej poświęcam.

– Oj, nie bądź taka – mówię, odsuwając jej rękę od piersi. – Jesteś piękna.

– Próbujesz mnie ponownie zauroczyć?

– Nie – odpowiadam. – Po prostu doceniam piękno, które widzę.

Ma wspaniałe ciało, chociaż nieco poobijane. Jej stopy są wyjątkowo z maltretowane, gdy patrzę w dół, stara się je ukryć. To wszystko od tańca, rany wojenne odniesione podczas walki z jej sztuką, więc w moich oczach to czyni ją jeszcze piękniejszą. Jest cholerną wojowniczką. Twardzielką tańczącą na palcach swój wojenny taniec.

Zabieram ją ze sobą pod prysznic, nie spieszę się ze zmywaniem farby z jej skóry. Topnieje pod moim dotykiem, odpręża się, zamyka oczy, a ja czuję ucisk w piersi na widok jej skóry, z której spływa farba. W ciemności seksowna złoźnica, w świetle zarumieniony anioł, te sprzeczności bardzo mnie nakręcają.

Chcę wiedzieć o niej wszystko, czego tylko mogę się dowiedzieć, zobaczyć wszystko, co jest to zobaczenia, zakopać się w głąb jej duszy i zrozumieć, co sprawia jej puk... puk... puk. Sądzę, że to może być to samo cholerstwo, które wbija we mnie swoje pazury. Ponownie naciska na moje plecy, łaskocze i wręcz niewygodnie się w nie wtula.

Siedzę tak nieruchomo jak to tylko możliwe. Krzywię się patrząc na biurko. Staram się uporządkować dokumenty do inwentaryzacji.

– Tato, nie lubię tych piosenek – skomle Lexie, zmniejszając nacisk na moje plecy.

– To ja tu jestem tatuowany – mówię, studiując stos papierów. – Wybieram muzykę, pamiętasz?

– Ale te piosenki nie mają słów.

– Jeżeli ja mogę pracować przy bzdurach typu Bum... Bumm...Bummm, ty wytrzymasz muzykę instrumentalną.

– Fuuuj! To jest taaakie nudne!

– Hej, ja nie oceniam twoich wyborów.

– Ale powiedziałeś, żebym wzięła swoje kasety.

– I według ciebie, moja muzyka jest do bani?

– Tak!– piszczy i wraca do tatuowania moich pleców, boleśnie dociskając do nich flamaster.

Zastraszony, zamykam oczy i zaciskam zęby. Wolę cholerną igłę niż to. Nawet nie mogę sobie wyobrazić, co ona tam rysuje. Nie ma szans, żeby moja dziewczynka w takim nastroju puściła parę z ust.

Ostry kobiecy śmiech rozchodzi się po pokoju, gdy Ellie staje w drzwiach. Otwieram oczy, a ona przechodzi przez pomieszczenie i staje za mną.

– Skończyłeś już wypełnianie tych arkuszy zamówień, Reece?

Patrzę w dół, podpisuję się pod dwoma ostatnimi dokumentami i oddaję je Ellie. Zabiera je i ponownie zaczyna się śmiać.

– Ten tatuaż wymiata, maleńka – mówi Ellie. – Może powinnam umówić się z tobą na sesję.

Śmieję się szorstko.

– Jestem przekonany, że możesz jej pozwolić, popracować z twoją twarzą.

Niemal każdy cal skóry Ellie pokryty jest tatuażem, z wyjątkiem tych miejsc, których nie tatuuję. Błagała, żebym wydziarał jej rzędy gwiazd na skroniach, ale odmówiłem. Zasugerowałem, żeby zapytała Kevina albo Martina, ale nie chciała. Wie, że też by tego nie zrobili.

– Pewnie! Dam radę! – mówi podekscytowana Lexie. – Zrobię to!

– Opuść – mruczy Ellie. – Na razie.

– Lubię tatuaże – woła Lexie. – Tato, czy mogę zrobić tatuaż Avery?

– Nie, dopóki ja jej jakiegoś nie zrobię – mruczę, skupiając się na papierach i upewniając się, że wszystko jest gotowe do oddania.

– Avery? – pyta Ellie, zostając w pokoju. – Kto to jest?

Lexie szybko się wtrąca.

– Jest przyjaciółką tatusia, to dziewczyna.

– Czeka, dziewczyna, *dziewczyna*? – dopytuje Ellie, lekko podnosząc głos. – Spotykasz się z kimś, Reece?

Nie odpowiadam, ale nie muszę, ponieważ Lexie robi to za mnie.

– Ona nie jest dziewczyną taty, głuptasie! Jest jego przyjaciółką, ale jest dziewczyną! Spotykamy się z nią czasami. Poszła z nami do muzeum i też lubi dinozaury, ale nie wie o nich tyle co ja.

– Acha – mówi Ellie.

To jedno słowo zawiera wiele cholernych pytań i wiem, że niedługo zostaną zadane.

– Hej, mała księżniczko – mówię, trzymając w dłoni kawałek papieru z umową, którą jeden z chłopaków musi podpisać. – Idź z tym do Kevina i powiedz, że potrzebuję jego podpisu John’a Hancocka<sup>16</sup>.

Lexie łapie kartkę, rzuca na podłogę flamaster, po czym biegnie przez salon. Odsuwam swój stołek, wstaję i podchodzę do lustra, żeby spojrzeć na swoje plecy. Ciężko odgadnąć co to w ogóle ma być, po prostu połączone razem, duże, czarne kształty. Kręcę głową i zakładam koszulę. Odwracam się do Ellie w chwili gdy zaczyna.

– Poważnie, Reece? Zabierasz teraz swoje lalunie na spotkania z córką?

– A – mówię, unosząc palec. – Nie potrzebuję, żebyś mówiła mi jak powinienem wychowywać moje dziecko. Inni robią to wystarczająco często. *B*, Avery nie jest żadną lalunią.

– Czyli jest twoją dziewczyną?

– Nie wiem – mówię szczerze. – Dlaczego wszyscy muszą do wszystkiego zawsze przyczepić jakąś etykietę?

– Bo takie jest życie – odpowiada Ellie. – Wszystko ma etykietę, nawet jeśli jej nie ma. Jeśli nie jest twoją dziewczyną, to kim jest? Twoją kumpelą do pieprzenia?

– Jest moją przyjaciółką.

– Taką, którą pieprzysz, prawda? – Pyta Ellie. – Ponieważ nigdy nie widziałam, żeby Reece Hatfield miał przyjaciółkę, której nie pieprzył.

---

<sup>16</sup> John Hancock – Amerykanin, działał w XVIII i XIX wieku, zajmował się wieloma rzeczami, ale tutaj dotyczy podpisu. John Hancock był jedną z osób, które podpisały się pod amerykańską Deklaracją Niepodległości, to duży, wyraźny, zamazysty, ekstrawagancki podpis, dlatego Amerykanie używają jego imienia i nazwiska jako synonimu podpisu... więcej wujek Google ☺

– A ty? – Mówię. – Nigdy się z tobą nie pieprzyłem.

– To dlatego, że jestem lesbijką, durna cipo, ale dobrze pamiętam jak parę lat temu próbowałeś każdego cholernego sposobu.

Śmieję się lekko.

– Więc może ja i Avery jesteśmy przyjaciółmi, ale to nie robi z niej mojej kupeli do pieprzenia.

– Zatem kogo z niej robi?

– Wyjątkową przyjaciółkę.

– Jezu Chryste, Reece. Czy ty się słyszysz? To samo mówiłam mamie, zanim wyznałam, że jestem lesbijką. Mówiłam jej, że mam wyjątkową przyjaciółkę.

– No i co z tego?

– No to, że tak nazywasz dziewczynę, gdy jesteś za dużym tchórzem, żeby przyznać, że ona jest twoją *dziewczyną*.

– *C* – mówię unosząc trzy palce. – Nie jestem i nigdy nie byłem pieprzonym tchórzem. I *D*, nie pamiętam, żebym prosił cię o radę w sprawach sercowych, więc zachowaj to dla siebie, *Dear Abby*<sup>17</sup>.

Lexie wraca biegiem do pokoju dokładnie w momencie, gdy Ellie wychodzi.

– Jasne, Reece. A co powiesz na to *E*... jak ewentualnie ugryź mnie.

– *F* – krzyczę za nią, ale Lexie piszczy tuż obok mnie. – Eff... się<sup>18</sup>.

– Ojej, chcę zagrać! – mówi podekscytowana Lexie. – *G*... jak Garfield!

Kręcę głową.

---

<sup>17</sup> Dear Abby – tłum. Droga Abby; jest to kolumna z poradami w amerykańskiej prasie, założona została w 1956 roku przez Pauline Phillips, która pisała pod pseudonimem Abigale van Buren, Dear Abby ma nawet swoją gwiazdę na Bulwarze Gwiazd w Hollywood.

<sup>18</sup> No tutaj chodzi o fuck you, ale przecież tatuś przy córce nie przeklina;)

- Hm, *H* jak Hatfield.
- *J* – krzyczy Lexie. – Jak jabłko!
- Kolejną literą jest *I* – poprawiam ją. – Nie *J*.
- Och. *I*. – Marszczy czoło, ale po chwili jej twarz jaśnieje i patrzy na mnie. – Igła!
- Chichoczę. *Całkiem nieźle.*
- A co z *J*? – pytam, wskazując na siebie. – Może *Ja* zabiorę cię do parku i nie będziemy się tu kręcić cały dzień?
- *K* – mówi Lexie i klaszcze w dłonie, jakbyśmy nadal grali. – O... Kej? Czy Avery też z nami pójdzie?
- Och, nie tym razem.
- Dlaczego nie?
- Ponieważ nie wiem jak się z nią skontaktować.
- Zadzwoń do niej!
- Nie mam do niej numeru – mówię. – Poza tym prawdopodobne jest zbyt zajęta na próbie tańca, żeby iść dzisiaj do parku.
- Czy możemy iść obejrzeć jak tańczy? – pyta Lexie. – Ja też chcę tańczyć!
- Obawiam się, że to niemożliwe, mała księżniczko – odpowiadam, marszcząc brwi. – Może innym razem, ale dzisiaj będziemy tylko ty i ja.
- W porządku, tato – mówi Lexie z uśmiechem i sięgając po moją dłoń. – Nie bądź smutny. Nadal lubię się też z tobą bawić.

## ÓSMY

Artysta na wakacjach... recepcjonistka z kacem... dwie anulowane sesje, jedna po drugiej. Zapowiada się piekielny poniedziałek w studio. Siadam od niechcienia na krześle w poczekalni, opierając nogi o biurko recepcjonistki. Ellie gwałtownie przerzuca strony zniszczonego terminarza, a telefon trzyma w zgięciu szyi. Wygląda gównianie.

– Uhm... mamy wolną krótką chwilę po otwarciu, w środę, u Kevina, ale prawdopodobnie udałoby mi się wcisnąć ciebie na konsultacje do Martina po jego powrocie z urlopu, czyli w poniedziałek. Natomiast na spotkanie u Hatfielda mogłabym cię umówić na któryś z najbliższych dni.

Zerkam na zegar. Jest dopiero 09:30, a dzięki anulowanym sesjom aż do drugiej po południu nie mam nic do roboty. Ledwo zwracam uwagę na Ellie szczebioczącą do słuchawki, jej słowa mnie wyciszają.

– Mówiłaś że to ma być pnącze z kwiatami wzdłuż kręgosłupa, prawda? I masz zdjęcie, które znalazłaś w internecie? Tak... ponieważ masz już wzór, konsultacja zajmie tylko kilka minut, a potem prawdopodobnie Kevin mógłby zrobić tatuaż jeszcze tego samego dnia... powiedzmy... trzydziestego.

*Błagam, zapisz się do Kevina.*

– Martin. Sądzę, że do niego też mogłabym cię umówić.

*Albo do Martina.*

– Jeżeli nie chcesz czekać, to w kalendarzu Hefielda mam jeszcze wolny cały dwudziesty drugi.

*Nie, nie ja.*

– Świetnie – mówi Elle notując coś w zeszycie.

*Kurwa.*

– W takim razie do zobaczenia.

Odkłada słuchawkę, przygląda mi się uważnie, a ja melodramatycznie wypuszczam powietrze z płuc. Moja reakcja wywołuje jej śmiech, gdy wraca do notatek w terminarzu.

– Ona jest całkiem jak lalka Barbie, prawda? – pyta Ellie.

– Nie.

Odkąd trzydzieści minut temu otworzyliśmy salon Ellie zarzuca mnie pytaniami, próbując się dowiedzieć więcej o Avery, a ja odrzucam jej absurdalne wnioski.

– Pewnie jest bibliotekarką – mówi. – Wy, faceci, leciecie na te pruderyjne laski w rogowych okularach i ołówkowych spódnicach.

– Brzmi nieźle – odpowiadam. – Ale nie. Pudło.

– Chociaż mogę się założyć, że jest kuguarzycą.

Śmieję się.

– Kuguarzyce polują na młodych chłopaków, Ellie. Ja zbliżam się do trzydziestki.

– Więc nie jest starą rurą?

– Nie, jest młodziutka.

– O Boże, ale nie jest młodą licealistką, prawda? – Ellie patrzy na mnie z przerażeniem. – Błagam, powiedz, że nie jest nastolatką.

– Nie. Nie jest nastolatką – odpowiadam. – Chociaż nadal się uczy.

Ellie przygląda mi się przez chwilę.

– Uhm

– Co?

– Wygląda mi na całkiem normalną – oznajmia Ellie. – Co z nią jest nie tak?



– Nic. – Spuszczam nogi na podłogę. – Absolutnie nic.

Ellie ostrożnie draży dalej.

– Gdzie ją poznałeś?

– Tutaj, w salonie – mówię. – Przyszła z przyjaciółką.

– Ha, założę się, że to ta laska, która miała zakładany kolczyk w przegrodzie nosowej. Och, albo ta z kokardkami na udach! Była na ciebie nieźle nakręcona... nie, czekaj... Lexie jej nie lubi, prawda? Hmm... cholera, kogo lubi Lexie? – Ellie robi wielkie oczy. – Nie ma mowy, dziewczyna w różowej sukience? Ta, która się tutaj pojawiła i powiedziała, że nie wie, czego od ciebie chce?

Lekko się uśmiecham.

– Ty skurwysynu! To ona! – Ellie robi kulkę z papieru i rzuca nią we mnie. – Jak udało ci się przyciągnąć kogoś *takiego*?

Łapię się za pierś, udając rannego.

– Zraniłaś mnie.

– No teraz jestem w szoku – odpowiada. – To znaczy... że ty to ty, a ona... no... bądźmy szczerzy. Panna ślicznotka w różowym? Bez obrazy Reece, ale to zupełnie nie twoja liga.

Przestaję się uśmiechać. Tym razem jestem w pewien sposób zraniony. Dzwoni telefon i całkowicie przyciąga uwagę Ellie. Wzdycham, wstaję i zabieram papierosa z jej biurka, po czym wychodzę. Odpalam fajkę gdy tylko wychodzę na zewnątrz. Zaciągam się głęboko dymem, który wypala moje płuca. Wypuszczam powoli powietrze, rozglądam się po okolicy i zamieram, gdy widzę ją stojącą cholernie blisko mnie.

– Naprawdę musimy przestać spotykać się w ten sposób, Afrodyto.

– Co ty nie powiesz? – Macha ręką, podchodzi bliżej i marszczy nos. – Myślałam, że nie palisz.

– Nie palę – odpowiadam, biorąc kolejnego, kojącego nerwy, macha. – Myślałem, że masz od rana zajęcia.

– Owszem – przyznaje. – Ale dzisiaj zaczyna się śródsemestralna przerwa.

– Ach, coś jak przerwa wiosenna?

– Coś w tym stylu, ale trwa dwa tygodnie.

Dwa tygodnie?

– Wybierasz się gdzieś?

– Nie – mówi. – Chyba, że liczy się wizyta tutaj. Zostaję w mieście, żeby popracować nad choreografią do występu, więc pomyślałam, że przyjdę i być może... no wiesz... popatrzę.

– Chcesz popatrzeć?

– Tak – odpowiada, wzruszając ramionami.

Uśmiecham się półgębkiem i zaciągam papierosem.

– Brzmi perwersyjnie.

– To całkiem możliwe – żartuje. – Pokażę ci moje, jeżeli pokażesz mi swoją.

– To nie fair. Już widziałas jak tatuuję. Ja nie widziałem jak tańczysz.

– Nie, ale widziałeś mnie jak... się kręcę, zginam, ślizgam i podskakuję...

– Nie liczy się. Światło było zgaszone.

Przewraca oczami, rumieni się, po czym podrywa do leniwego tańca, zaczyna obracać i potrząsać tyłkiem. Śmieję się, biorę ostatniego macha, rzucam papierosa na ziemię i przydeptuję.

– Niezła próba, ale nie tędy droga. Muszę zobaczyć jakieś pointy i piruety oraz coś w stylu *nikt nie upchnie Baby w kącie*<sup>19</sup>.

– W ubraniu czy bez?

– Hmm. – Zbija mnie z tropu tym pytaniem. – Pozwól, że się zastanowię i nieco później odpowiem na to pytanie.

Słyszę dzwonek otwieranych za mną drzwi, odwracam się i widzę Ellie, która marszczy nos nad terminarzem.

– Reece, dzwonił twój klient umówiony na 14:00 i... – Ellie patrzy w górę i gdy zauważa stojącą obok mnie Avery, urywa w pół zdania. Szeroki uśmiech rozciąga jej twarz. – Cześć.

Avery uśmiecha się uprzejmie.

– Cześć.

– Klient umówiony na 14:00 dzwonił i? – Unoszę brwi i wskazuję na nią palcem, żeby zwróciła na mnie uwagę. – No i? Proszę, nie mów mi tylko, że odwołał sesję.

– Nie, nie. Pytał, czy uda mi się go wcisnąć trochę wcześniej – odpowiada, marszcząc twarz i zapisując coś w terminarzu. – Powiedziałam mu, że bez problemu może przyjść wcześniej. No wiesz... przecież nic w tej chwili nie robisz, ale jak chcesz mogę do niego zadzwonić i powiedzieć, że zmiana nie jest możliwa.

<sup>19</sup> Kto oglądał Dirty Dancing??? O co chodzi ze zdaniem: *nikt nie upchnie Baby w kącie*... otóż te słowa powiedział Johny Castle (Patrick Swayze).. wchodzi do Sali, w której trwa finałowa impreza turnusu... w czarnej, opiętej na klacie koszulce, czarnych, dopasowanych dżinsach i fryzurze, której nie powstydziliby się czeski piłkarz... macho pełną gębą. Rusza w stronę Baby (Jennifer Gray) i jej rodziny. Johny chce, żeby Baby z nim zatańczyła, tatuś chce zaprotestować, ale słyszy od macho: *Nobody puts Baby in the corner*. No i oczywiście tańczą... i to jak!). To zdanie zajmuje 98 miejsce najpopularniejszych kwestii filmowych świata w rankingu prowadzonym przez Amerykański Instytut Filmowy.

– Nie, daj spokój. Jest dobrze. Niech przyjdzie wcześniej – mówię i odwracam się do Avery. – Wygląda na to, że masz szczęście, podglądaczko. Tak czy inaczej, będziesz mogła popatrzeć.

Jay Brandon, ma ponad metr osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i jest zbudowany jak niedźwiedź. Tęgi, owłosiony i wręcz cholernie brutalny jest żywą reklamą tego, czego *nigdy* nie należy robić. Tusz i piercing pokrywają całe jego ciało, od łysej głowy, aż po czubki palców u stóp, chodząca katastrofa pomyłek. Pracuję nad nim przez jakiś czas, zakrywając stopniowo stare, amatorskie, więzienne tatuaże czymś, z czego mężczyzna może być dumny. To nie jest łatwe, ale jest wyzwaniem, które uwielbiam. Myślę, że dziewczyna siedząca w pokoju jest na to najlepszym dowodem.

Avery siedzi na krześle z boku, wyraźnie wzdryga się, gdy wchodzi Jay. Pozdrawiam mężczyznę skinieniem głowy i kończę pracę nad wzorem. Zaczynam pracę od przygotowania skóry, nie pokazując po sobie niechęci do konieczności ogolenia krzepkiej piersi. Przykładam wzór z zakapturzoną sylwetką kostuchy na wyblakłe, niebieskie symbole dolara.

– Wiesz jaki jest układ – mówię, przygotowując tusz i kopiąc nogą w pudło z kasetami. – Wybierz swoją truciznę.

Dosłownie. *Poison*<sup>20</sup>.

Wsuwam taśmę do kieszeni magnetofonu i naciskam *START*. Z głośników od razu ryczy głos Bertta Michaela. Siadam na swoim stołku, przysuwam się do stołu, na którym czeka Jay i zaczynam pracę. Brzęczenie maszynki miesza się z głośną, rockową muzyką, otaczając mnie i wprowadzając mnie w trans, gdy

---

<sup>20</sup> Poison – z ang. trucizna, ale też amerykańska grupa heavymetalowa ☺ taka gra słów;

koncentruję się na tatuażu. Prawie zapominam o Avery, która siedzi cicho w kącie, aż Jay chrząka.

– Więc kim jest ta damulka?

– Patrzę na nią, gdy Jay mówi o niej w ten sposób i widzę, że się krzywi na to określenie.

– Tą *damulką* jest Panna Avery Moore.

– Śliczna mała istota, prawda?

– Och, z całą pewnością – zgadzam się.

*Wspaniała.*

– Nigdy wcześniej jej tu nie widziałem.

– Tak, to coś w rodzaju nowości z potencjałem.

Avery macha rękoma przed swoją twarzą, starając się przykuć naszą uwagę.

– Ja tu siedzę, chłopcy.

Uśmiecham się, a Jay śmieje się serdecznie, chociaż udaje mu się jakimś cudem wcale nie ruszyć.

– Wiem, kochanie i nie martw się... nie mam nic złego do powiedzenia o tobie. Pracujesz z nim teraz? – Jay przenosi swoją uwagę na mnie. – Dostałeś uczennicę?

Zanim odpowiadam, ostry śmiech dochodzi z korytarza. W progu staje Ellie, opiera się o futrynę. Oczywiście podsłuchiwała.

*Wścibska cholera.*

– Zdecydowanie nie. Ona jest bardziej partnerką niż stażystką, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Mniej pracy, więcej zabawy.

Odsuwam igłę od jego skóry i krzywiąc się, unoszę wzrok prosto na recepcjonistkę.

– Ach! – mówi Jay, odwracając się do mnie. – Nie wiedziałem, że masz dziewczynę, stary.

Ellie uśmiecha się z satysfakcją, patrząc na mnie i powtarzając jak echo jego słowa.

– Dziewczyna.

– Uhh, panowie, ponownie... jestem tutaj. – Odrobina zniecierpliwienia wkrada się w głos Avery, ponieważ podnosi go o oktawę. – Wiecie, ja słyszę każde wypowiedziane przez was słowo.

Nie mogę się do niej odwrócić, spojrzeć na nią, ponieważ czuję, że właśnie robię się czerwony jak burak.

*Jezu Chryste, rumienię się jak mała suka.*

Rzucam Ellie surowe spojrzenie.

– Potrzebujesz czegoś, Eleanor?

– Nie.

– No to idź stąd.

Ellie marszczy oczy, pokazuje mi język, odwraca się i odchodzi.

Wypuszczam głośno powietrze z płuc i wracając do pracy, kręcę głową.

– No więc – mówi Jay. – Jak długo jesteście...

– A co powiesz na krótką przerwę? – proponuję, zanim może dokończyć swoje pytanie.

Wyłączam maszynkę i odsuwam swoje krzesło. Nie jesteśmy nawet w połowie sesji, zdecydowanie jest za wcześnie na przerwę, ale potrzebuję chwili, żeby oczyścić umysł i ponownie się skupić. Jay nie protestuje, wstaje i wychodzi z pokoju.

– Przepraszam – mruczę, gdy zostajemy sami. – Przysięgam, że ci ludzie plotkują, jak na szkolnej stołówce.

– W porządku – odpowiada. – Nie wiedziałam, że powiedziałeś im o nas.

– Nie powiedziałem. – Odwracam się, patrzę na nią i zauważam pytanie wymalowane na jej twarzy. – Po prostu zrobili swoje założenia i nie mają pojęcia o czym mówią. – Podchodzę do niej i uśmiecham się łagodnie. – No poza Jay'em. On zdecydowanie miał rację.

– W czym?

– Gdy powiedział, że jesteś piękna.

Staję przed nią, jedną ręką opieram na stoliku, pochylam się i drugą ręką unoszę jej brodę i delikatnie całuję jej usta. Lubię ją całować.

– Wcale tego nie powiedział – mruczy prosto w moje usta. – Nazwał mnie śliczną, małą rzeczą.

Ponownie ją całuję.

– Bo taka jesteś.

– Nazwał mnie damulką.

Kolejny pocałunek.

– Owszem, zrobił to.

– Powiedział, że jestem twoją dziewczyną.

Całuję ją raz jeszcze, tym razem głębiej.

– Słyszałem.

Zaczynam się prostować, ale Avery łapie mnie za ramię i zatrzymuje.

– A jestem?

Patrzę na nią przez chwilę.

– Chcesz nią być?

Nie odpowiada od razu, jej spojrzenie spala mnie, gdy sprawa wisi w powietrzu między nami. Nie wiem, co powiedzieć, więc się nie odzywam. W ciągu kilku chwil wraca Jay, a Avery szelmowsko się uśmiecha, gdy facet zajmuje swoje miejsce na stole.

– Hmm – odpowiada niskim głosem, puszczać moją rękę. – Pozwól, że się zastanowię i nieco później odpowiem na to pytanie.

Śmieję się głośno, gdy wykorzystuje moje własne słowa przeciwko mnie. Dzień mija, godziny płyną. Zatracam się w pracy, zapominając o obecności Avery w pokoju, dopóki się nie porusza, wstaje i przygląda bliżej, zapach jej perfum wypełnia otaczające mnie powietrze. W takich chwilach czas się zatrzymuje, każda sekunda jest wiecznością, a ja oddycham głęboko, nagle bardzo świadomy każdego jej ruchu, dźwięku, *oddechu*, to trwa dopóki nie siada z powrotem na swoim miejscu.

Z precyzyjną dokładnością pracuję nad konturami, fachowo zasłaniam to, co musi być zakryte, wypełniam tuszem przestrzeń między liniami, ale nie czuję nawet odrobiny tego, co od niej emanuje.

Ekscytacja.

Pasja.

Żądza.

Brakuje mi tych doznań. Malowanie zazwyczaj mieszało je wszystkie wewnątrz mnie.

Klienci przychodzą i odchodzą, monotony harmonogram... po żniwiarza na klacie, rewolwer za koronką pończoch na udach, kwiatowe girlandy i na drugą sesję z węzem zaciśniętym wokół masywnego bicepsa, z którego zębów ściekają krople jadu. Między sesjami mam kilka chwil dla siebie, zamawiam pizzę, żeby Avery mogła coś zjeść, a ja łapię kawałek w czasie krótkich przerw w pracy.

Zapada wieczór, powoli zbliżamy się do godziny zamknięcia salonu, więc definitywnie wyłączam maszynkę. Palce mnie bołą, gdy je wyginam, a po



całodziennym garbieniu się czuję też ból w plecach. Po tym jak płaci i wychodzi wyłączam głośną i ciężką muzykę, która przyprawiła mnie o tępy ból głowy.

– Dzięki Bogu – mruży Avery, wyciągając się na krześle i prostując nogi przed sobą. – Nie wiem jak możesz pracować w takim hałasie.

– Nie jest tak źle – mówię, wzruszając ramionami i wyrzucając rękawiczki. – Można nauczyć się wiele o człowieku, jeżeli zwracasz uwagę jakiej muzyki słucha.

– To dlatego pozwalasz im zawsze wybrać?

Przytakuję.

– Zazwyczaj spotykam ich tylko raz nawet wtedy trudno jest poznać ich osobowość przed rozpoczęciem pracy. Ale muzyka... wiesz... muzyka mówi mi jacy nie są. Gdy wybierają mocną, głośną i gniewną muzykę, to powoduje, że tatuaż jest groźny, ich wybór wpływa na pracę, jaką mogę im dać.

– Czy to nie ty powinieneś wybierać muzykę, skoro to ty nad tym pracujesz?

– Nie, to nie *moja* sztuka. To ich dzieło.

– Czy kiedykolwiek mogłeś to chociaż zrobić po swojemu? Wiesz, czy dostałeś wolną rękę, żeby zrobić to, co chcesz?

Powoli kręcę głową i patrzę na nią.

– Nie wszyscy z nas mają tyle szczęścia co ty, Afrodyto. Kiedyś miałem kilku klientów, którzy dawali mi pewną swobodę, ale zawsze były w tym opinie, sugestie i pomysły, małe rzeczy, które chcieli... i tak właśnie powinno być, jak sądzę. To ich ciała, chcą czegoś konkretnego... nie przychodzą z prośbą o coś oryginalnego.

Avery jest cicho, gdy patrzy na mnie i z dezaprobatą ściąga usta. Odwracam się od niej, zdając sobie sprawę, jak żalosne musiało jej się wydać

moje marudzenie. Rozglądam się po moim stanowisku pracy i wypuszczam powietrze.

– Pozwól, że trochę posprzątam i będziemy mogli stąd wyjść. Musiałś się wynudzić tu za wszystkie czasy, siedząc tak cały dzień.

– Nudzić? – Drwi i wstaje. – Zdecydowanie nie. Mogłabym siedzieć tu cały dzień i codziennie.

## ANTRAKT

Paleta kolorów grubą warstwą pokrywała elewację na poziomie parteru pięciopiętowego budynku z cegły przy Amsterdam Avenue. Farba powlekała okna i szklane drzwi, całkowicie zasłaniając widok z wewnątrz, łącząc wszystko razem, jak jedno niekończące się płótno. Linie były niechlujne, niemal amatorskie, ale czego można oczekiwać od takiego dużego przedsięwzięcia? Mural z pełnym energii graffiti pojawił się z dnia na dzień. Potrzebował dwóch godzin pod osłoną ciemności, żeby to dokończyć. Miał szczęście, że nie było świadków, którzy zadzwoniliby na policję.

Kręcenie się w pobliżu było ryzykowne. Rzadko to robił. Ale dzisiaj czuł potrzebę obserwowania. Czaił się po drugiej stronie ulicy, kolorowe, poplamione farbami ręce wepchnął w kieszenie spodni i obserwował gromadzący się tłum, który gapił się na jego najnowsze dzieło. Gniew i odraza wykrzywiały twarze większości gapiów, ponieważ kręcili głowami i narzekali między sobą na zdegenerowanego wandalę, a przynajmniej tak sobie to wyobrażał. Policja dołączyła do grupy obserwatorów, rozmawiając z sąsiadami i wypełniając raporty.

Zamierzali szybko usunąć dzieło. To było widoczne na ich twarzach. Nikt z nich nie widział ani nie rozumiał tego, czym było.

Poza nią.

Podeszła do budynku, była ubrana jak typowa tancerka idąca do studia z plecakiem przerzuconym przez ramię. Była delikatna, zgrabna i ładna. Była wszystkim, czym on nie był.

Zatrzymała się na skraju zebranego tłumu, obserwowała uważnie mural i po chwili zauważył to.

Uśmiech. Uśmiechnęła się.

W odpowiedzi uniósł kąski ust. Nie zamierzał się tam dłużej kręcić. Ze spuszczonej nisko głową, szybko zniknął z okolicy, zanim ktokolwiek mógł go zauważyć. Pomyślał, że to było warte ryzyka. Ktoś to widział i niektórzy zrozumieli. Widzieli sztukę. Nawet, jeżeli był to jedna osoba.

## DZIEWIĄTY

Avery nie spędza tutaj całych dni, ale przychodzi codziennie. Przez następny tydzień nie pojawiam się w pracy i nie zaczynam dnia, dopóki nie zjawi się Avery i nie usiądzie cicho na składanym krześle. Kręci się cały ranek po salonie, obserwując moją pracę, późniejjemy razem lunch. Jemy, rozmawiamy chwilę, po prostu kradniemy kilka chwil dla siebie w ciągu dnia. Potem czeka, aż zacznę kolejny tatuaż, po czym biegnie pracować nad swoją choreografią. Po zamknięciu salonu zazwyczaj spotykamy się na drinka w barze niedaleko studia i idziemy do mnie, żeby wskoczyć do łóżka.

*Na dużo pieprznego seksu.*

Dzień po dniu, noc po nocy. Wpadamy w wygodną rutynę. Wydaje się zawsze być, znajdując drogę, żeby dostać się pod moją skórę i wejść w moje życie, wypełniając istniejącą w nim pustkę, jakby to miejsce zawsze czekało na nią.

W piątkowy poranek siedzę w przy swoim biurku i pracuję nad projektem tatuażu dla klienta, jednocześnie czekam na pierwszą sesję. Od otwarcia co kilka minut zerkam na zegarek, aż rozbrzmiewa dzwonek mojego telefonu. Podnoszę go, patrzę na ekran i się spinam.

*Lexie.*

Nie osobiście, ale wystarczająco blisko. Rebecca dzwoni do mnie tylko w sytuacjach, gdy chodzi o naszą córkę. Szybko odbieram i przykładam telefon do ucha.

– Co tam?

– Musisz zająć się Alexis w najbliższy weekend.

– Uhm, co? – Marszczę czoło. – Dlaczego?

– Richard niespodziewanie musi wyjechać poza miasto.

Richard jest jej stałym chłopakiem i jednocześnie szefem w kancelarii, w której pracuje Rebecca. Lexi mówi do niego Rich<sup>21</sup>, ale mogę wymyślić bardziej odpowiednią ksywę dla tego dupka.

– A co to ma do rzeczy?

– Chodzi o pracę – mówi. – Jadę z nim.

– Dlaczego? Nie może sam odbierać swoich telefonów?

– Robię więcej, niż odbieranie jego telefonów, Rhys.

– Wiem. – *Jeszcze mu obciążasz.* – Ale nie jesteś jedyną, pracującą tam osobą.

– Och, daj spokój – mówi. – Obijasz się całymi dniami w tym małym salonie, a ja się nią zajmuję. Nie możesz swojej córce poświęcić jednego dnia? Jesteś zbyt zajęty? Jaki ojciec nie chce spędzić czasu dzieckiem?

– Oczywiście, że chcę spędzić z nią czas. – Odchylam się do tyłu, obracam na stołku i zaskoczony widzę stojącą w drzwiach Avery. – Byłoby po prostu miło gdybyś dała mi znać nieco wcześniej.

– No cóż, teraz już wiesz – mówi Rebecca. – Podrzucę ją około trzeciej po południu.

Rozłącza się, a w telefonie słychać tylko charakterystyczny dźwięk zakończonego połączenia. Jęczę. Odrzucam telefon na biurko i przecieram rękami twarz z frustracji.

Kurwa.

– Problemy? – pyta Avery wchodząc do pokoju.

– Tak. – Waham się. – Albo nie. W każdym razie nic z czym nie mógłbym sobie poradzić.

---

<sup>21</sup> Rich – z ang bogacz, i skrót od imienia Richard

Avery zajmuje swoje standardowe miejsce, a Ellie wchodzi, żeby przekazać mi poranny harmonogram, zużyje końcówkę swojego długopisu BIC i patrzy w terminarz.

– Dobra, masz dzisiaj zarezerwowany cały dzień, Reece. Cztery konsultacje i trzy sesje, jedna po drugiej. Do tego facet, który właśnie wszedł...

– Żadnych klientów z ulicy.

Ellie kontynuuje, jakbym wcale jej nie przerwał.

– I chce porozmawiać z tobą o możliwości zakrycia starego tatuażu.

– Porozmawiam z nim, ale będzie się musiał umówić jak każdy inny klient – odpowiadam. – Poza tym musisz spróbować przesunąć jak najwięcej sesji ustalonych na jutro, najlepiej na inny dzień.

Ellie marszczy czoło, patrząc w terminarz.

– To będzie trudne.

– Tak, wiem, ale będę się musiał w ten weekend zająć Lexi, więc prawdę mówiąc nie mam wyboru. Gdy była tu ostatnio ledwo wytrzymała jedną sesję. Nie ma takiej opcji, żeby spędziła tutaj całą sobotę, podczas gdy ja będę pracował i nie rozniosła salonu na cholerne kawałki.

Ellie kreśli coś długopisem w terminarzu, a Avery odchrząkuje.

– Mogłabym jej przypilnować.

Ellie i ja odwracamy się do niej i patrzymy nieco sceptycznie.

– Co? – pytam.

– Mogłabym się nią zająć – powtarza Avery, wzruszając ramionami. –

Nie mam nic przeciwko temu.

– Ja... – Nie wiem co powiedzieć. – Sam nie wiem.

– Mogłybyśmy pokręcić się trochę tutaj, jeżeli wolisz, albo pójść do muzeum, czy zrobić coś, na co będzie miała ochotę, a ty w tym czasie mógłbyś spokojnie pracować.

– Jesteś tego pewna? – pytam.

– Tak, żaden problem – mówi z uśmiechem, ale szybko poważnieje. – To znaczy... chyba, że wolisz, żebym tego nie robiła... no wiesz, jeżeli nie masz do mnie zaufania...

Zazwyczaj nie ufam nikomu, jeżeli chodzi o moje dziecko. Jestem podejrzliwy wobec wszystkich, ale większość z nich jest poza moją kontrolą. Nie mam wpływu na wybór nauczycieli dla Lexi, jej niań, czy kogokolwiek kogo zatrudnia Rebecca, żeby móc włóczyć się dookoła i cholernie tego nienawidzę... ale ufam Avery na tyle, żeby zaprosić ją do siebie i przedstawić swojej dziewczynce. Ufam jej, więc to akurat nie jest problem.

– Nie spodoba jej się to rozwiązanie – mruczy Ellie, nadal szukając czegoś w terminarzu. Najwidoczniej jej myśli dryfują w tym samym kierunku co moje. – Najprawdopodobniej zgotuje ci piekło.

– Prawdopodobnie tak – potwierdzam.

– Dam sobie z nią radę – mówi Avery. – Będziemy się dobrze bawić.

Przyglądam jej się przez chwilę. Wygląda na zdecydowaną, a mnie z pewnością nie stać na odwołanie wszystkich sesji. Potrzebuję teraz pieniędzy bardziej, niż kiedykolwiek wcześniej, szczególnie, jeżeli zamierzam wyprowadzić się z okolicy, w której mieszkam, gdy skończy się moja umowa najmu pod koniec roku. Wzdycham, przytakuję i kiwam w stronę Ellie.

*Pieprzyć to.*

To będzie najlepszy test na to, czy możemy mówić o jakiegokolwiek wspólnej przyszłości. Zobaczymy czy i jak długo Avery poradzi sobie sam na sam z moją małą, w gorącej wodzie kąpaną, księżniczką.

– W takim razie nie zmieniaj mojego grafiku. Dogadamy się jakoś.

Ellie rzuca mi zaskoczone spojrzenie, śmieje się i salutuje.

– Wedle rozkazu.

Odchodzi, żeby omówić z chłopakami ich zaplanowane sesje, a ja odwracam się na stolku i patrzę na Avery.



– Nie musisz tego robić.

– Chcę – mówi. – Ona jest twoją córką i jest dla ciebie ważna, a... no cóż... ty jesteś ważny dla mnie.

Te słowa padają mimochodem, wypływają naturalnie, ale trafiają we mnie głęboko. Kiedy po raz ostatni ktoś powiedział do mnie coś takiego? Trudno mi sobie przypomnieć. Może nigdy.

Przychodzi moja pierwsza tego dnia klientka, a jej obecność skutecznie kończy naszą rozmowę. Bez wątpienia jest atrakcyjna, nikt nie może temu zaprzeczyć, nawet inna piękna dziewczyna, a Avery wydaje się z tym zgadzać. Siada na krześle, krzyżuje ramiona na piersi i świdruje wzrokiem, gdy serdecznie witam kobietę.

– Czyli, chcesz ten cytat – mówię, patrząc na zdanie zapisane na kartce papieru leżącej na moim stole. To jakieś słowa o miłości i życiu, które tatuowałem już wcześniej jakieś sześć razy. – I umieszczamy go na twoim boku?

– Tak – potwierdza. – Ale chcę go wysoko i trochę pod kątem... wiesz, takie zakrzywienie w górę.

Wskazuje to miejsce i przesuwa palcami po swojej klatce piersiowej w kierunku pachy i po krzywiznie piersi.

– Będziesz musiała zdjąć koszulkę – mówię i waham się, zanim dodaję. – Biustonosz również.

Metalowe krzesło natychmiast szura po podłodze, a Avery gwałtownie wstaje.

– Jestem, uhm... Wrócę później.

Obserwuję jej pośpieszą ewakuację po czym skupiam się ponownie na klientce. Mam pracę do wykonania. Dopasowuję szablon według wytycznych klientki. Z wahaniem zamykam drzwi, żeby zapewnić jej prywatność i wskazuję na nią.

– Możesz zdjąć teraz koszulkę.

Nie ma poczucia wstydu, zrzuca koszulkę i odkłada ją na krzesło Avery. Bez dodatkowych instrukcji rozpina biustonosz i zsuwa ze swoich ramion. Odrzuca go przez pokój, bielizna ląduje na podłodze, obok składanego krzesła. Łapie i unosi lekko piersi, a ja przyciskam szablon do jej skóry, upewniając się, że jest wyraźny, zanim odsuwam papier. Odsuwam się i patrzę w jej oczy.

– Spójrz w lustro i daj mi znać, czy tak ci odpowiada.

Podchodzi do lustra przygląda się i potwierdza.

– Idealnie.

Przełykam ślinę i odwracam się od niej.

*Kurwa.*

Kiedyś nie przeszkadzały mi takie dodatki do pensji, ale dzisiaj czuję się z tym nieswojo. To nigdy nie jest relacja seksualno–biznesowa, to czysty biznes, ale do cholery, jest niezwykle intymnie. Kobieta kładzie się na plecach i unosi ręce nad głowę, żeby odsłonić tatuowany obszar.

– Chcesz coś do przykrycia? – oferuję szykując tusz. – Mam jakieś nakładki... wiesz, te naklejane na sutki... chyba, że wolisz zasłonić się koszulką.

– Nie – mówi. – Nie potrzebuję niczego.

Wzruszam ramionami i zabieram się od razu do pracy, skupiając całą uwagę na słowach. Upewniam się, że wszystkie linie są gładkie i proste, jak spod linijki. Gdy pracuję na jej żebrach, wzdryga się kilka razy, więc muszę improwizować, żeby wygładzić linie. Sesja trwa około godziny i jest wypełniona jej oczywistym flirtowaniem i moimi staraniami odsunięcia od siebie myśli o półnagiej kobiecie leżącej przede mną na stole, ale w końcu wyłączam maszynkę i wsuwam taboret pod stół.

– Wszystko gotowe. – Wstaję i obracam się plecami do niej zanim usiądzie. – Zapraszam do obejrzenia. Daj znać, co o tym myślisz.

Zeskakuje ze stołu i podchodzi do lustra, podziwiając pracę. Ściągam i wyrzucam do kosza rękawiczki, a w głowie powtarzam sobie jak mantrę:

*Nie gap się na jej cycki.*

*Nie gap się na jej cycki.*

*Nie gap się na jej cycki.*

Odwracam się, a mój wzrok dryfuje prosto na jej piersi. Uśmiecha się promienie, najwyraźniej jest zadowolona, a to dla mnie wystarczająco dobra odpowiedź. Biorę głęboki oddech, szybko instruuję ją w zakresie higieny i przyklejam opatrunek. Po czym biorę jej koszulkę i rzucam w jej stronę.

– Dam ci trochę prywatności – mówię, kierując się prosto do drzwi.

Wymykam się z pokoju, zamykając za sobą drzwi, więc nikt przechodzący korytarzem nie może tam zajrzeć, gdy nadal jest rozebrana. Przeczesałem ręką włosy i przechodzę przez salon, moje kroki stają się mniej pewne, gdy widzę siedzącą na skórzanej kanapie w holu, Avery. Zatrzymuję się w niewielkiej odległości od niej, obserwując jak przerzuca pośpiesznie strony kolorowego magazynu. Wbija w niego wzrok, ale z pewnością nie skupia uwagi na stronach. Słyszę dźwięk otwieranych drzwi do mojego pokoju, moja klientka wchodzi. Odwracam się, a ona podchodzi do mnie z uśmiechem na ustach. Trzyma w ręku zwitek banknotów, sięgam po nie, ale ona robi unik i wkłada mi je do kieszeni.

– Zadzwoń do mnie – mówi, puszczać do mnie oko zanim zmierza w kierunku wyjścia.

Marszczę czoło, gdy obserwuję jak wychodzi. Sięgam do kieszeni, wyciągam gotówkę i przebiegam przez nią wzrokiem. Studolarowy napiwek i jej numer telefonu.

*Uhhh.*

Wyciągam kartkę z jej numerem telefonu, zgniatam w kulkę i odwracam się do Avery. Nadal na mnie nie patrzy, wbija wzrok w magazyn, ale z

pewnością obserwowała scenę z klientką. Energicznie przewraca strony, aż jestem zaskoczony, że jeszcze ich nie podarła w cholerę, jej stopa porusza się z szybkością śmigła helikoptera, nie zapowiada się dobrze. Z uśmiechem na ustach, wolnym krokiem podchodzę bliżej, co tylko podsyca bardziej jej irytację. Siadam na oparciu kanapy, opierając stopy na siedzeniu i patrzę na nią.

– Jesteś urocza, gdy jesteś zazdrosna – mówię, rzucając w nią papierową kulką.

Uderza w jej klatkę, dokładnie między piersiami i spada na wertowane przez nią czasopismo. Łapie papierową kulkę i przeszywa mnie wzrokiem. Prostuje kartkę, przygląda się jej i dramatycznie przewraca oczami na widok ciągu cyfr otoczonego serduszkami. Zaciska papier w pięści.

– Nie jestem zazdrosna.

– Gdy kłamiesz też jesteś urocza.

Avery zamyka magazyn, teatralnie wypuszcza z płuc powietrze i rzuca czasopismo na stolik stojący obok niej. Obraca się w moim kierunku i siada na podwiniętej nodze. Patrzy na mnie pytająco.

– Masz dużo takich kobiet?

– Jakich?

– Takich rozebranych.

– Ona nie była naga.

– Jasne. Topless.

– Sporadycznie.

– Czy ty ... no wiesz... czy je też?

– Wyobrażam sobie, że tatuowanie przy jednoczesnym pieprzeniu może być trudne, ale jestem gotów w to wejść, jeżeli chcesz spróbować.

Mruży oczy i rzuca we mnie z powrotem papierową kulką.

– Jestem poważna. Wiesz, co mam na myśli.

Patrzę na nią, biorę kulkę i przesuwam ją w dłoni. Chcę ją okłamać. Kurwa, tak byłoby najłatwiej. Lubię proste rozwiązania. Ale sposób w jaki na mnie patrzy... z taką wrażliwością, że prawdę mówiąc nie mogę. Nie jestem w stanie tego zrobić.

– Sporadycznie.

Patrzy na mnie, potem na drzwi salonu, przez które zaledwie kilka minut temu wyszła dziewczyna i ponownie na mnie.

– Czy nadal to robisz?

– Co robię?

Avery jęczy.

– Sypiasz ze swoimi klientkami, Reece.

– Nie robię tego, od jakiegoś czasu już nie, ale nie mogę powiedzieć, że nigdy więcej tego nie zrobię – odpowiadam, a jej twarz wykrzywia się z bólu w reakcji na moje słowa. Zanim może odpowiedzieć, siadam po drugiej stronie kanapy, zaskakuję ją unosząc w górę i przyciągając bliżej tak, że moje usta są zaledwie kilka centymetrów od jej skóry. – Ponieważ w chwili, gdy w końcu będę cię miał na moim stole, Avery... zamierzam pieprzyć cię tak, że nie będziesz normalnie widziała.

Całuję ją mocno, przysuwam bliżej i jęczę, czy czuję dotyk jej ciepłego ciała. Zaskoczona Avery wstrzymuje oddech, oddaje pocałunek, ale po chwili mnie odpycha. Siadam, gdy się śmieje i oblewa rumieńcem.

– Nie tutaj.

– Właśnie. – Ellie przytakuje, przechodząc obok nas i przemierzając hol.

– Nie prowadzimy tutaj na zapleczu burdelu.

– Może powinniśmy zacząć?

*Kevin.*

Chichoczę i wstaję.

– Prawdopodobnie zarobilibyśmy dużo więcej kasy.

Oferuję Avery swoją dłoń, stawiam na nogi i prowadzę ją z powrotem do mojego pokoju, więc mogę przygotować wszystko przed kolejnym klientem. Zaczynam od wyczyszczenia i dezynfekcji mojego miejsca pracy, a Avery siada na krześle i jęczy.

– Och, to obrzydliwe! Zostawiła stanik! – Obserwuję jak pochyla się i ostrożnie podnosi czarną bieliznę, trzymając jedynie za pasek, starając się za bardzo jej nie dotykać. Macha nim w moją stronę. – No oczywiście – mówi Avery, przyglądając się bieliźnie. – *Victoria Secret*.

*Hmm.*

Studolarowy napiwek, numer telefonu i *pamiątka*?

– Chyba wygrałaś darmowy biustonosz.

Avery krzywi się, ma wręcz odruch wymiotny.

– Żartujesz, prawda? To obrzydliwe! Nigdy nie założyłaby cudzego stanika. Poza tym ja mam tutaj jakieś ugryzienia komara, a ona miała jakieś szalone DD.

– Raczej jakieś C

Avery ciska we mnie zostawioną bielizną, która uderza mnie w klatkę piersiową, po czym spada na podłogę.

– Nie pomagasz.

Wzruszam ramionami. Jestem po prostu szczery. Schylam się, podnoszę zgubę i wkładam do szuflady. Avery obserwuje to ze zmarszczonymi brwiami.

– Zamierzasz to zatrzymać?

– To szuflada z rzeczami zgubionymi i znalezionymi – mówię z uśmiechem, wskazując na biurko. – Nie mogę tak po prostu wyrzucić rzeczy innych osób.

Zaczyna drwić.

– Jakby miała po niego wrócić. Ale wiesz, co? Daj mi znać, jeżeli wróci po niego. To wymagałoby niezłych jaj, wiesz... chcę wiedzieć, czy należy do lasek z jajami.

– Dziewczyna z jajami – mówię rozbawiony. – Jestem niemal pewien, że była kobietą.

– Znowu Reece, nie pomagasz.

Osoba umówiona na kolejne spotkanie pojawia się kilka minut wcześniej, dokładnie w chwili, gdy kończę czyścić stanowisko pracy. Siadam na stołku, pracując nad szablonem, a Avery przesuwa się na krześle.

– Powiedz, że kolejny twój klient jest facetem.

– Nie, nie jest.

– Kobieta?

– Tak. – Waham się, w myślach weryfikuję dzisiejszy harmonogram. – Dzisiaj będą już same kobiety.

– Do końca dnia?

– Tak.

– A czy one będą przynajmniej w ubraniu?

Uśmiecham się, zostawiając to pytanie bez odpowiedzi. Kończę szablon, przyglądam się projektowi, a moja klientka czeka w holu. To młoda dziewczyna, zaledwie osiemnastoletnia. Jest cholernie zdenerwowana. Pamiętam ją z konsultacji, które miały miejsce kilka tygodni wcześniej... to jej pierwszy tatuaż. Uwielbiam takie. To moje ulubione projekty. Tak naprawdę nie różni się za bardzo od tego z katalogu, który robiłem Bridgette. Serca, kwiaty, wstęga i imię... ale narysowałem projekt zgodnie z wytycznymi klientki. Fiołki, nie róże... dziurka od klucza w sercu, z kluczem ze wstążką, na której zawarte jest imię.

*Connor.*

Zapraszam klientkę, gdy wszystko jest gotowe. Uśmiecham się i witam ją serdecznie. Omawiam cały proces, każdy mój ruch, żeby ustawić ją i odpowiednio przyłożyć szablon na jej ramieniu. Przedstawiam jej Avery, chcę uniknąć negatywnych emocji podczas sesji.

– Wybierz jakąś muzykę, a potem możemy zaczynać – mówię i przesuвам w jej stronę pudełko z kasetami.

Przebiera w nim i wyciąga kilka kaset, zanim decyduje się na jakiś wesoły pop, który wybrałaby też Lexie. Wkładam taśmę do magnetofonu, włączam i siadam, żeby rozpocząć pracę nad jej tatuażem. Rozmowa jest luźna. Skupiam się na pracy i co jakiś czas odsuwam maszynkę od jej skóry. Drży bardziej niż większość klientów, co spowalnia pracę, ale jestem cierpliwy i jestem wdzięczny, gdy w końcu zaczyna się relaksować. Gdy kobiety plotkują o butach i filmach, ja płynnie tworzę tatuaż. Trwa to nieco ponad godzinę, ale kasuję ją tylko za połowę sesji. Gdy wszystko jest gotowe podchodzi do lustra i patrzy na niego ze łzami w oczach.

– Jest piękny. Dziękuję.

– To ja dziękuję – mówię. – Za to, że pozwoliłaś mi go zrobić.

Uśmiecha się promiennie, ociera łzy i reguluje naleźność. Zabezpieczam tatuaż, a ona przytula mnie mocno.

– Jeszcze raz dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie – mówię i odprowadzam ją do wyjścia.

Gdy już jej nie ma zatrzymuję muzykę i zaczynam czyszczenie miejsca pracy. Mój kolejny klient czeka już w holu.

– Wyglądałaś na bardzo zadowolonego, gdy robiłaś ten tatuaż – stwierdza Avery. – No wiesz... przecież on był bardzo podobny do tego, który robiłaś Bridgette.



– Tak, ale wygląd bywa zwodniczy – wyznaję. Mówiłem ci, że... nie obchodzi mnie co tatuuję tak długo, jak to ma dla kogoś jakieś znaczenie. A to? To chyba miało większe znaczenie, niż jakikolwiek inny tatuaż, który zrobiłem w tym miesiącu.

– Dlaczego? Kim jest Connor?

– Był jej chłopakiem – odpowiadam. – Nie żyje. I owszem, nienawidzę tatuować imion, ponieważ uczucia się zmieniają, ale tak jak powiedziałem wcześniej... robię wyjątki. Jest młoda i prawdopodobnie kiedyś ruszy dalej, wyjdzie za mąż i być może ten koleś nie polubi jej tatuazu, ale jeżeli o nią chodzi, jej uczucia nigdy się nie zmienią. A wszystko dlatego, że ludzie których kochamy umierają, ale miłość? Ona nigdy nie umiera. Staje się wieczna w chwili, gdy ta druga osoba przestaje oddychać. Zawsze będzie kochać swoje wspomnienia.

– To głębokie – stwierdza Avery. – I naprawdę piękne.

– Tak po prostu jest – mówię, wzruszając ramionami.

Kolejna sesja jest krótka, to konsultacja trwająca dwadzieścia minut. Mówi mi co chce... smoka wijącego się od górnej części stopy w górę, wokół kostki. Ostrzegam ją przed wpływem słońca i wszystkiego, co może pójść źle w przypadku tatuazu na stopie, ale jest w tym temacie nieustępliwa. Daję za wygraną i notuję jej oczekiwania, po czym wysyłam do recepcji, żeby umówiła się na sesję. Wzdycham, przeciągam się i pochylam nad biurkiem, kończąc projekt dla kolejnego klienta. Spinam się, czuję dłonie zaciskające się na moich ramionach i otulający mnie zapach Avery. Bez słowa masuje moje ramiona, ugniata mięśnie z większą siłą niż się spodziewałem. Zamykam na chwilę oczy, czuję mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

– Kurwa, ale dobre uczucie.

– Zaliczyłam wiele kontuzji – mówi. – Wiem jak się pozbyć napięcia z ciała.

– Ja też wiem jak się pozbyć napięcia – odpowiadam. – Ale to przeważnie wiąże się z pieprzeniem ciebie.

Avery się śmieje i żartobliwie kłuje mnie palcem w plecy.

– Może później.

– Odrzuć „może” i mamy umowę.

– Reece! – Głos Ellie słychać głośno i irytująco w całym salonie.

Zanim udaje mi się warknąć na nią i zbesztać za krzyczenie zamiast podejście do mojego pokoju, drzwi wejściowe się otwierają, słychać lekki dzwonek i podekscytowany, piskliwy głos. Odwracam się na stołku, ręce Avery spadają z moich ramion i skaczą na równe nogi. Patrzą prosto na zegar. Już trzecia po południu.

– Kurwa.

*Lexie.*

Idę i spotykam ją na korytarzu, gdy biegnie prosto do mojego pokoju. Zgarniam ją w ramiona, całuję w policzek i wtulam w jej szyję, gdy wije się chichocząc i gorączkowo próbuje uwolnić swoje małe ciało z mojego uścisku.

– Tato, przestań! To łaskocze! Puść mnie! Proszę, tatusiu!

Niosę ją do holu i widzę Rebeccę stojącą tam, i trzymającą plecak Lexie. Stawiam córkę na podłodze przed matką. Próbuje wymknąć się obok mnie, żeby uciec, ale ją przytrzymuję.

– Rebecca.

– Rhys.

Rebecca patrzy na mnie, zadziera nos i rozgląda się po salonie, zanim skupia się na mnie. Wyciąga rękę i prawie wbija mi ją w klatkę piersiową, gdy podaje plecak małej księżniczki.

– Ma tam dużo zabawek i jest na tyle duża, że może sama się bawić, więc nie musi być zaangażowana w twoje sprawy.

– W moje sprawy – powtarzam, odbierając plecak. – A co to za sprawy?

– Wiesz o jakie sprawy chodzi – mówi. – Nie przyprowadziłabym jej tutaj, gdym miała inny wybór. Wiesz co myślę o tym miejscu.

– Tak, przekazałaś mi swoją opinię.

– Po prostu... dbaj o nią. I na litość boską, ona jest twoją córką a nie kolorowanką, więc przestań rysować na jej skórze. Słyszysz mnie?

– Głośno i wyraźnie. – Gestem wskazuję drzwi. – Jestem pewien, że Dick czeka na ciebie.

– Ma na imię Richard – mówi mrużąc oczy, po czym pochyla się i całuje Lexie w czoło. – Bądź grzeczna, Alexis. Mamusia wróci w niedzielę wieczorem.

– Paaa!

Lexie w końcu udaje się uwolnić z mojego uścisku i ześlizguje się wzdłuż mojego ciała. Staje na podłodze, robi kilka kroków, po czym nagle się zatrzymuje, a jej głos przecina powietrze.

– Avery!

Rebecca zwalnia krok, zmierzając do drzwi, ale się nie odwraca. Wzdycham, odwracam się i zauważam Avery stojącą w wejściu do holu i promiennie uśmiechającą się do Lexie. Dziecko przemyka obok niej, skręca na korytarz i pędzi do mojego pokoju, też ruszam w tamtą stronę.

– To była mama Lexie? – Avery pyta zaskoczona.

– Tak.

– Nie jest zbyt miła, prawda?

Parskam śmiechem.

– To bardzo delikatnie powiedziane.

Idę za Lexie do pokoju, a ona już wspina się na stół do tatuażu.

– Czy mogę dostać tatuaż, tatusiu?

– Oczywiście, że możesz – odpowiadam. – Ale nie teraz.

– Dlaczego nie?

– Teraz jest kolej kogoś innego.

Jej wyraz twarzy twardnieje. Nie podoba jej się ta odpowiedź.

– A po tej osobie?

– Wybacz. – Kręcę głową. – Mam umówione spotkania przez cały wieczór.

Robi wielkie oczy.

– Czyli muszę poczekać do jutra?

– Jutro też przez cały dzień mam umówione sesje.

To jej się zdecydowanie nie podoba. Marszczy czoło i patrzy na mnie ze złością.

– Ale to jest mój weekend!

– Nie. Następny weekend będzie twój – wyjaśniam. – To jest dodatkowy weekend i tata musi pracować.

– To niesprawiedliwe! – wykrzykuje. – Chcę, żeby to był mój weekend!

– Wiem. Ja też tego chcę, ale...

– Ale to w porządku – wtrąca się Avery. – Ponieważ ty i ja będziemy mogli zrobić razem różne rzeczy, gdy twój tatuś będzie pracował.

Lexie skupia uwagę na Avery. Nadal nie wygląda na szczęśliwą.

– Czyli co?

– Cokolwiek zechcesz.

– Chcę tatusia – odpowiada Lexie i marszczy czoło, wskazując swoje ramię. – Chcę mój tatuaż.

Wygląda tak, że czuję ukłucie w sercu.

– Wiem, że nie jestem twoim tatusiem, ale może ja mogłabym zrobić dla ciebie tatuaż.

Lexie patrzy na nią nieufnie.

– A czy umiesz rysować jak tatuś?

– No nie aż tak dobrze, ale...

– Nikt nie jest lepszy od tatusia – wyznaje Lexie. – Ale on rysuje dinozaury, a nie każdy takie umie.

– Ja umiem – mówi Avery. – Cóż, przynajmniej mogę spróbować...

Lexie zeskakuje ze stołu, odpycha mnie z drogi, żeby dostać się do mojego biurka, z którego wyciąga marker i kartkę papieru. Podaje je Avery i ciągnie ją w stronę krzesła.

– Spróbuj!

Avery wydaje się być zaskoczona.

– Co?

– Zaproponowałaś jej tatuaż – wyjaśniam, kręcąc głową. – Nigdy nie pozwól komuś zrobić sobie tatuaż, dopóki nie sprawdzisz jego pracy. Prawda, mała księżniczko?

– Prawda!

Avery zaczyna rysować dinozaura, a ja zajmuję swoje miejsce i wracam do skomplikowanego projektu dla kolejnego klienta. Przez kilka minut jesteśmy pochłonięci pracą i w pokoju panuje martwa cisza, aż w końcu Avery wypuszcza westchnienie.

– Dobra. Gotowe.

Odwracam się, żeby zobaczyć, marszczę brwi na widok czegoś podłużnego, co zajmuje połowę kartki. To wygląda jak cholerna cienka kiełbaska. Lexi przygląda się rysunkowi w milczeniu.

– Więc? – pyta Avery. – Co myślisz?

– Jest w porządku – odpowiada z wahaniem Lexie.

– To jest w porządku? Czyli mogę ci zrobić tatuaż?

– Nie, w porządku jest to, że nie umiesz dobrze rysować.

Staram się powstrzymać śmiech, ale Avery szybko zauważa moje rozbawienie. Mruży oczy, figlarnie pokazuje mi język, robi kulkę z papieru i rzuca nią we mnie.

– Dobra, wychodzi na to, że nie znam się na rysowaniu, ale jestem niezła w innych rzeczach – wyznaje i wstaje. – Na przykład w grze w klasy, wygłupach czy skakaniu.

– Ooo! – Lexie podskakuje. – Czy możemy pójść do parku?

Avery chce odpowiedzieć, ale ucina i poważnieje.

– Musimy zapytać tatusia, czy nam pozwoli.

Lexie odwraca się do mnie podekscytowana.

– Proszę, tato. Możemy?

Macham na nie ręką.

– Cokolwiek wymyślicie, idźcie i bawcie się beze mnie.

Lexie bez wahania wybiega z pokoju i krzyczy podekscytowana. Avery wstaje z nieśmiałym uśmiechem.

– Przepraszam, powinnam zapytać cię wcześniej...

– W porządku – mówię, wyciągając klucze i rzucając je do niej. – Możecie później wrócić do mnie. Będę w domu od razu, gdy wieczorem skończę pracę.

Avery ściska je, klucze brzęczą w jej dłoni, zanim wsuwa je do kieszeni dzinsów. Ściąga skuwkę z markera, łapie moją rękę i notuje coś na niej.

– To numer mojego telefonu.

– Och. – Patrzę na cyfry na mojej dłoni. – Nagle czuję się znowu jak dwunastolatek.

– Założę się, że tak – mówi. – Zamierzam teraz po raz pierwszy od dziesięciu lat zmierzyć się z takim wyzwaniem.

Chichoczę.

– Tak, cóż, ja tak mam co drugi weekend.

Wychodzą z salonu w chwili, gdy przychodzi moja kolejna klientka. Cały, długi wieczór staram skupić się na pracy, blokując wszystko oprócz tatuowania, ale myśli o Avery i Lexie nieustannie drążą mój umysł.

*Co robią?*

*Czy wszystko z nimi w porządku?*

*Czy Avery wie w co, do cholery, wdepnęła?*

Mój wzrok co chwilę dryfuje w stronę zegara, ale czas porusza się w ślimaczym tempie. Dochodzi dziesiąta wieczorem, gdy wreszcie kończę ostatnią sesję, wdzięczny, że to już koniec na dzisiaj. Szybko sprzątam przed zamknięciem i wychodzę, nie zadając sobie trudu, żeby komukolwiek życzyć dobrej nocy. Gdy jestem na zewnątrz, natychmiast wybieram numer zapisany na mojej dłoni, ale dzwonię i dzwonię. Żadnej odpowiedzi. To sprawia, że przyspieszam i piętnaście minut później wbiegam po schodach do swojego mieszkania. Drzwi nie są zamknięte, w środku jest cicho i ciemno, wyjątkiem jest lekki szum telewizora w salonie. Wchodzę, zatrzymuję się w środku, kiedy widzę je obie leżące na kanapie, z głowami na przeciwległych końcach i splątanymi po środku nogami. Avery jest zwinięta niemal w kłębek, głowę opiera na złożonych dłoniach i wygląda spokojnie, ale za to Lexie przypomina dzikie zwierzę, leży na plecach jak orzeł z rozłożonymi skrzydłami, ma otwarte usta i chrapie. Coś w tym widoku powoduje, że stoję w miejscu, czując zaciskającą się klatkę piersiową.

Kurwa, to jest piękne. Moja dziewczyna. Moje *dziewczynki*.

Podchodzę powoli, ostrożnie podnoszę Lexie i zanoszę do jej pokoju. Nie budzi się, gdy ją przykrywam i całuję czoło zanim wracam do salonu. Siadam na kanapie, tam gdzie spała wcześniej moja córka, biorę pilota i odprężam się, przerzucając kanały. Avery w końcu się przebudza, wyciąga się zmieniając pozycję, stopą kopiąc mnie mocno w udo. Krzywię się a ona prostuje się spanikowana z szeroko otwartymi oczami. Patrzy na mnie i widzę ogarniającą ją ulgę.

– Myślałam, że kopnęłam Lexie.

– Nie, trafiłaś we mnie.

– Dzięki Bogu – mruczy zasapana, przecierając oczy. – Która godzina?

– Trochę po dziesiątej. Właśnie wróciłem do domu i położyłem do łóżka małą księżniczkę. Była nieprzytomna. Cholera, obie byłyście.

– Taa. Wykończyła mnie – mówi Avery. – Ta dziewczyna ma więcej energii niż ktokolwiek kogo wcześniej spotkałam.

Chichoczę i relaksuję się na kanapie. Owijam ramię wokół Avery i przyciągam ją do siebie.

– My, Hatfieldowie, w genach mamy niezwykłą wytrzymałość. Mogę pracować przez dwanaście godzin bez przerwy, a potem pieprzyć cię do nieprzytomności aż do rana.

– Czyżby?

– Oczywiście, że tak.

– Nie jestem przekonana, czy powinnam ci wierzyć na słowo – mówi, wysuwając się z moich ramion i wdrapując się na moje kolana. – Jesteś gotów potwierdzić swoją teorię?

Moje dłonie wędrują na jej biodra, po czym unoszę jej spódnicę i łapię za tyłek, przyciągając bliżej mnie. Czuję ciepło przez cienkie tkaniny, które nas dzielą, co sprawia, że staję się twardy.

– Dla ciebie? Kiedy tylko zechcesz.

Łapie mnie dłońmi za tył głowy, przebiegając palcami przez włosy na karku i pochyla się do pocałunku. Czuję dreszcze na skórze, gdy wiruje językiem wokół mojego piercingu i przygryzając delikatnie moją dolną wargę. Gorączkowo ją całuję i mocno przytulam, zgniatając jej niewielką postać w silnym uścisku, gdy unosi biodra i ociera się o mnie. Rozpina moje spodnie i uwalnia z bokerek, owijając delikatną dłoń wokół mojego fiuta. Głaska kilka razy, drażniąc kciukiem główkę i całuje linię mojej szczęki. Zamykam oczy i rozluźniam swój uścisk. Szybko, zanim mam szansę się zorientować, co robi, zsuwa się z moich kolan i klęka na podłodze przede mną. Niemal eksploduję w



chwili, gdy owija usta wokół mojego fiuta. Jej ciepły, śliski język ślizga się po mojej długości, drażni zębami, doprowadzając mnie niemal na krawędź rozkoszy. Pieści mnie zdecydowanie, bierze tak głęboko jak może.

– Kurwa.

Sapię, kładę ręce z tyłu jej głowy. Wplątnę palce we włosy i zaciskam na jej długich lokach. Siedzę spokojnie, nie szarpie, nie pcham, staram się z całych sił nie pieprzyć jej gardła. Obserwuję ją w blasku telewizora, zachwycając się zagłębieniami jej policzków, gdy mnie ssie. To jest tak piękne jak sobie wyobrażałem. Trwa to kilka minut zanim nie jestem w stanie dłużej wytrzymać. Mrowienie ogarnia dolną połowę mojego ciała i mam wrażenie, że jestem napięty jak sprężyna. Zamiast odpuścić, pozwolić sobie na uwolnienie, zalewając jej gardło, odsuwam ją od siebie. Patrzy na mnie zaskoczona, gdy zamykam dłoń na jej ręce zaciśniętej wokół mojego fiuta i przesuwam nią kilka razy w górę i w dół. Drugą ręką łapię ją za ramię i ciągnę, żeby wstała. Rozumie o co mi chodzi i nie muszę mówić ani słowa... nie ma znaczenia, czy widzi to w moich oczach, czy sama myśli o tym samym, co ja. Ściąga majtki i wspina się ponownie na moje kolana, a ja sięgam po portfel i otwieram go.

– Cholera. – Cholera, cholera, cholera. – Nie mam prezerwatyw.

– Nic nie szkodzi – mówi, osuwając się bez wahania na mojego fiuta. – Jestem na pigułkach.

Wsuwam się wewnątrz jej ciepłej cipki, syczę, odrzucam portfel i łapię ją za biodra, gdy mnie ujeżdża. Przesuwam rękę do przodu, wsuwam ją pod materiał spódnicy i delikatnie drażnię jej łechtaczkę. Porywa ją silny orgazm, jej cipka mocno zaciska się wokół mnie i Avery wydaje z siebie krzyk. Owijam wokół niej ramię i przyciągam do siebie, tłumiąc hałas pocałunkiem, ale nadal drażnię jej łechtaczkę, zwiększając tempo ruchów bioder. Trzymam ją w miejscu, wbijając się w nią, gdy przestaje poruszać biodrami, pieprzę ją tak mocno, jak tylko mogę w tej pozycji. Dźwięk uderzającej o siebie mokrej skóry

rozchodzi się po pomieszczeniu i miesza z brzdękiem klamry przy moim pasku oraz jej piskiem i krzykami, gdy bez tchu szepczę prosto w jej usta.

– Lubisz tak? – mruczę niskim głosem. – Lubisz, gdy cię pieprzę?

Jęczy głośno i niezrozumiale, ale to jedyna odpowiedź jakiej potrzebuję.

Ponowie zbliża się do krawędzi.

– Jesteś taka piękna, Avery – mówię. – *Taka piękna*. Cały, długi dzień myślałem o pieprzeniu cię.

Zaledwie chwilę po pierwszym orgazmie uderza w nią kolejny, drży zanim słowa do końca opuszczają moje usta. Krzyczy głośniej niż wcześniej, dźwięk, który rezonuje z jej piersi i rozchodzi się echem po salonie tak głośno, że nie można go stłumić.

Natychmiast rzucam ją na kanapę, jej twarz trafia w poduszkę. Jej krzyki zmieniają się w chichot, jej ciało drży, gdy zaczyna się śmiać. Opiera się o kanapę, unosząc tyłek w powietrzu. Bez wahania podnoszę jej spódnicę i wchodzę w nią od tyłu. Jęk zadowolenia opuszcza moje gardło, gdy wbijam się w nią głęboko. Przesuwam dłonie po jej jędrnym tyłku, po czym łapię biodra i trzymam, zanurzając się w niej. To nie zajmie mi dużo czasu, ciśnienie rośnie, moje ciało jest bliskie eksplozji. Zatapiam się w niej po raz kolejny, i kolejny i kolejny, niemal się w niej zatracając i słysząc jedynie jęki rozkoszy Avery, gdy jak przez mgłę dociera do mnie głos.

– Tatusiu?

To jak przełącznik, który odciąga mnie od raju. Natychmiast spadam na ziemię. Głos dociera z korytarza, ale to nadal zbyt blisko... cholernie blisko. Wysuwam się z Avery i chowam nabrzmiałe przyrodzenie w spodniach.

– Tak, mała księżniczko?

Wstaję, zerkam kątem oka na Avery, która po omacku szuka swoich ubrań i słyszę drobne stóпки na drewnianej podłodze. Robię kilka kroków w jej

kierunku i zatrzymuję się na środku salonu, gdy pojawia się w nim Lexie.

Rozgląda się dookoła, szukając mnie.

– Potrzebujesz czegoś? – pytam.

Częściowo wzrusza ramionami, a częściowo przytakuje, przecierając zaspane oczy.

– Słyszałam hałas.

Avery śmieje się za moimi plecami i maskuje to kaszlem.

– Też to słyszałem. – Uśmiecham się, zerkając przez ramię na siedzącą na kanapie Avery z zarumienionymi policzkami i zmierzwionymi włosami.

– Co to było? – pyta Lexie.

– Nie wiem – odpowiadam, odwracając się do córki. – Myślę, że to hałas z zewnątrz.

– Brzmiało przerażająco.

– To nic, czym należy się martwić – mówię podchodząc do niej, gdy zaczyna ziewać. – Chodź, położymy cię do łóżka.

– Czy mogę spać w twoim pokoju? – pyta, gdy zgarniam ją w ramiona. – Proszę?

– Uhh. No jasne.

Niosę ją do mojej sypialni i kładę na środku łóżka. Pochyliam się i całuję ją w czoło.

– Będę w salonie, gdybyś mnie potrzebowała.

Gdy wracam do salonu Avery jest już na równych nogach i zakłada buty.

– Wybierasz się gdzieś? – pytam.

– Tak, powinnam... To znaczy, już późno, więc prawdopodobnie powinnam... wiesz... iść.

Patrzę na nią ostrożnie.

– Nie musisz. Tak naprawdę wolałbym, żebyś nie wychodziła, szczególnie, że niemal dochodzi północ.

– I co z tego?

– To, że jest późno i ciemno, a to pieprzony Nowy Jork, Avery. Dlatego. Wyglądasz zbyt kusząco, żebyś mogła sama kręcić się po ulicach, szczególnie w tej okolicy.

Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Nie jestem pewna czy to było słodkie, czy seksistowskie.

– To prawda – przyznaję. – Jeżeli naprawdę chcesz wyjść, nie będę cię zatrzymywał, ale mówię tylko...

– Tylko mówisz?

– Mówię tylko, że wolałbym, żebyś została. Chcę, żebyś została.

Stoi przez chwilę, po czym zrzuca buty i zostawia je na środku podłogi. Wyciągam koc z szafy w przedpokoju i kładę go na kanapie. Avery wtula się we mnie, chowając pod pachą z głową przy mojej piersi. Biorę pilota, zmieniam poziom głośności tak, żeby słyszeć program i ponownie przerzucam kanały.

– Dziękuję, Reece – szepcze. – Za dzisiaj.

– To ja powinienem podziękować tobie. Wyświadczyłaś mi przysługę.

– Tak, ale ty też mi coś dałeś – mówi. – Zaufałeś mi, pozwalając zająć się swoją córką i wiem, że to mogło nie być łatwe.

– Ona cię lubi.

– Ja też ją lubię.

Patrzę na Avery.

– I ja cię lubię.

– Ja ciebie też lubię. – Słyszę śmiech w jej głosie. – Chociaż trochę mi głupio.

– Dlaczego?

– Bo nie mogę być cicho – szepcze. – Ponieważ nie dostałeś tego, na co zasłużyłeś.

Zanim mogę coś powiedzieć przesuwa dłoń po moim kroczu, pocierając wybrzuszenie w spodniach. Wzdycham i zamykam oczy.

– Nie musisz tego robić.

– Chcę – mówi, przesuwając się, żeby na mnie spojrzeć. Obsypuje moją szczękę całusami, jednocześnie rozpina moje spodnie, owijając dłoń wokół mojego fiuta, głaszcząc go pod kocem. – Zawsze kończę to, co zaczęłam.

Coś szturcha mnie w ramię, wybudzając ze snu. Nie przestaje potrząsać i zataczać okręgów na moim ramieniu.

– Tatusiu. – Jej głos to najgłośniejszy cholerny szept jaki kiedykolwiek słyszałem. – Hej, tato!

Nie ruszam się... nie mówię... nawet nie otwieram oczu. Nie mam pojęcia, która jest godzina, ale znając Lexie jest za wcześnie nawet dla ptaków. Stuka mocniej, szturchając moją klatkę piersiową, po czym wbija palce prosto w policzek. Wzdrygam się, otwieram oczy i moje spojrzenie natychmiast spotyka moją córkę. Stoi naprzeciwko mnie, jej twarz jest zaledwie kilka cali od mojej i unosi pytająco brwi.

– Tato, śpisz?<sup>22</sup>

Patrzę na nią.

– Teraz już nie.

Uśmiecha się, opuszczając dłoń na moją twarz. Jej palec wskazujący jest niebezpiecznie blisko mojego oka, jakby zamierzała mnie w nie dziabnąć, gdybym udzielił złej odpowiedzi na pytanie.

– Śniadanie!

– Teraz?

---

<sup>22</sup> Kocham to pytanie;)

– Tak.

Wzdycham.

– Nie jesteś zmęczona?

Bo ja jestem cholernie mocno wykończony.

– Nie – odpowiada. – Jestem głodna.

Staram się wstać z kanapy i nie obudzić przy tym Avery. Całą noc spała spokojnie w moich ramionach, a ja zasnąłem gdzieś nad ranem. Klepię Lexie po głowie i słaniając się na nogach człapię do kuchni. Mała księżniczka depcze mi po piętach. Zaczynam odzyskiwać jasność umysłu, a Lexie wspina się na stołek przy blacie, żeby się przyglądać.

– Czy masz nany?

*Banany.*

– Oczywiście.

– Czy masz wiórki czekoladowe?

– Uhm. – Otwieram szafkę i sprawdzam zawartość opakowania. – Są.

– Naleśniki czekoladowo–nanowe!

– Dzisiaj bez orzechów?

– Tak. Chcę czekoladę.

Wzruszam ramionami,, wrzucam składniki na ciasto, dodaję banana i wiórki czekoladowe do środka i zaczynam smażyć naleśniki. Zrobiłem ponad pół tuzina, gdy słyszę szuranie dobiegające od strony drzwi. Zerkam i obserwuję zaspaną Avery, która ziewa i przeciera oczy.

– Dzień dobry, Śpiąca Królewno – mówię, stawiając przed nią stos naleśników. – W samą porę na śniadanie.

Rezygnuje ze swojej zwyczajowej, niewielkiej porcji masła i polewa je obficie syropem klonowym, gdy Lexie rozpryskuje na swojej porcji bitą śmietanę w sprayu, brudząc wszystko w promieniu kilkudziesięciu centymetrów.

– Są naprawdę bardzo dobre – mówi Avery biorąc kawałek do ust. –  
Lubię wiórki czekoladowe.

– Ja też! – Woła podekscytowana Lexie.

– Czy wiesz, co sprawiłoby, że byłyby jeszcze lepsze? – Pyta Avery,  
odrywając widelcem kawałek naleśnika i patrząc na niego. – Masło orzechowe.

Lexie robi wielkie oczy i odwraca się w moją stronę.

– Tato, chcę masło orzechowe!

– Może jutro – mówię, przechodząc przez kuchnię. – Idę teraz pod  
prysznic.

Nie mogę się już dzisiaj dłużej objąć, chociaż bardzo chcę. Pierwszą  
sesję zaczynam o dziesiątej, ale wcześniej muszę jeszcze popracować nad  
projektem. O dziewiątej niechętnie zbieram się do wyjścia.

– Co zamierzacie dzisiaj robić, dziewczyny?

– Trochę tego – odpowiada Avery. – Trochę tamtego.

– Gdyby okazała się zbyt absorbująca, będę w salonie. Po prostu  
przyrowadź ją i...

– Reece. – Avery ucisza mnie, kładąc dłoń na moich ustach. – Damy  
sobie radę. Będzie dobrze.

Wzdycham. Odsuwam jej dłoń wyciskając na niej całusa, po czym  
pochyliam się i delikatnie całuję ją w usta. Odwracam się do Lexie, która leży w  
swoim ulubionym miejscu, w kącie korytarza z plastikowymi dinozaurami  
rozrzuconymi dookoła. Kucam obok niej.

– Muszę już iść.

Macha na mnie nawet się nie odwracając.

– Pa.

– Baw się dobrze z Avery. – Przyciskam usta do opuszków palców i  
przykładam do jej skroni. – Wrócę do domu późno.

Ledwo wychodzę za drzwi, a chcę zawrócić, ale ignoruję to uczucie i idę dalej. Docieram do salonu na około pół godziny przed otwarciem. Wchodzę i od razu zabieram się do pracy, starając się o nich nie myśleć i skupić na zadaniach. Godziny mijają, wypełnione są rozmytymi twarzami i tuszem, muzyką i chaosem. Jestem bardzo zajęty, nie mam wolnej chwili w terminarzu, a klienci wchodzi jeden po drugim. Zatracam się w pracy. Jestem nią tak pochłonięty, że zaskakuje mnie, gdy ostatni klient rozlicza się ze mną i wychodzi. Patrzą na zegar. Jakim cudem jest już dziesiąta?

Sprzątam i dezynfekuję wszystko, przygotowując miejsce do pracy w poniedziałek. Żegnam się z pozostałymi w salonie osobami, z którymi ledwie zamieniłem w ciągu dnia kilka słów i wracam do domu. Gdy tam docieram jest prawie jedenasta w nocy, ale w mieszkaniu jest gwaro jak nigdy, światło i telewizor są włączone, a hałas słyszę jeszcze zanim otwieram drzwi. Kręcę głową i niezauważony wślizguję się do środka. Podglądam je, powoli idąc w kierunku salonu. Na środku pokoju Lexie obraca się wokół własnej osi z taką prędkością, że kręci mi się w głowie. Avery stoi z tyłu i obserwuje. Nagle Lexie się zatrzymuje, lekko chwieje, po czym podskakuje, prostuje ręce w powietrzu i ląduje, próbując stanąć na palcach.

Moja dziewczynka próbuje tańczyć balet.<sup>23</sup>

Gdy kończy, kłania się teatralnie. Odpycham się od futryny i głośno klaszczę, czym zaskakuję je obie. Avery kładzie dłoń na piersi, a rozentuzjasmowana Lexie biegnie prosto na mnie.

– Tatuś!

Zgarniam ją w ramiona. Jest cholernie bardziej szczęśliwa teraz, niż była rano, gdy wychodziłem.

– Avery zabrała mnie na balet!

---

<sup>23</sup> Czy tylko ja wyczuwam tu miłość tatusia i dumę z córeczki?;



– Nie chrzań. – Waham się. – To znaczy... tak, naprawdę?

Lexie sapie i zaciska mi usta swoją dłonią. O co chodzi z tymi dziewczynami mówiącymi mi, że mam się zamknąć. Żartobliwie udaję, że gryzę ją w rękę, w końcu odsuwa ją z chichotem.

– Moi rodzice są właścicielami studia w centrum – wyznaje Avery, wzruszając ramionami. – Wpadłyśmy tam i pokazałam jej kilka rzeczy.

– Chcesz powiedzieć, że zatańczyłaś dla niej?

– Tak.

– Zanim zatańczyłaś dla mnie?

– Tak.

Kręcę głową, odwracam się do mojej córki i dramatycznie marszczę brwi.

– To nie jest sprawiedliwe.

Lexie żartobliwie odsuwa moją twarz od swojej, wijąc się w moich ramionach. Stawiam ją na podłodze i wskazuję w stronę jej pokoju.

– Zmykaj przebrać się w piżamę, mała księżniczko.

Nie trzeba jej tego powtarzać dwa razy. Bose stópki uderzają o drewnianą podłogę, a ja odwracam się do Avery. Nie patrzy na mnie, zamiast tego stara się ogarnąć bałagan jaki zrobiły, gdy byłem w pracy.

– Nie przejmuj się tym – mówię jej. – Lexie i tak rozrzuci wszystko w sekundę.

Avery waha się, ale odkłada zabawki i dołącza do mnie na kanapie. Biorę pilota i ściszam telewizor tak, żebym nie miał wrażenia, że musimy krzyczeć do siebie, żeby porozmawiać. Patrzę na ekran, na którym T-Rex przedziera się przez drzewa.

– Park Jurajski.

– Chciała to obejrzeć – mówi Avery. – No wiesz, nie byłam pewna czy może, ponieważ to film przeznaczony powyżej trzynastego roku życia, a ona

nawet nie jest blisko i nie jestem jej rodzicem... Nie miałam pojęcia, ale przecież ja nic nie wiem o dzieciach. Cholera, nadal sama czuję się jak dziecko.

– Jak my wszyscy. – Patrzę na nią jak się wierci. Kurwa, jest słodka, gdy się denerwuje. – Ale przysięgam, że jesteś najbardziej stanowczą kobietą na świecie.

Rumieni się.

– Dzięki.

– Nie ma za co. I nie przejmuj się, widziała ten film tyle razy, że zna dialogi na pamięć.

Jest dokładnie tak jak powiedziałem. Lexie wraca ubrana w różową piżamę w księżniczki, którą najwyraźniej wybrała dla niej matka. Ślizga się w swoich skarpetkach po podłodze i zatrzymuje tuż przed telewizorem, mrużąc i wykrzykując dialogi wcześniej, niż to ma miejsce w filmie. Wskazuję na nią głową.

– A nie mówiłem? Więc nie martw się, świetnie się spisałaś. Mieszkanie nadal istnieje. Nikt nie został aresztowany i obie wciąż macie wszystkie zęby. – Robię przerwę.– Masz wszystkie zęby, mała księżniczko?

Odwraca się i uśmiecha szeroko.

– Prawie wszystkie!

– A umyłaś je? – Pytam, a wyraz jej twarzy daje mi odpowiedź, której potrzebuję. *Do diabła, nie.* – To zmykaj je wyszorować.

Wybiega i pędzi do łazienki.

– Tatusiu? – krzyczy do nas.– Czy Avery może ponownie zostać na noc?

– Uhm, tak... jeżeli chce.

– Czy tym razem może spać ze mną?

Nie wiem jak odpowiedzieć. Mogę się jedynie roześmiać.

Niedziela... jedyny dzień w tygodniu, gdy mogę po prostu odpocząć, ale z Lexie dookoła nie ma mowy o wysypianiu się. Wyciąga mnie z łóżka skoro świt i przekonuje do zrobienia naleśników z czekoladą, bananami i masłem orzechowym. Popołudnie spędzamy wylegując się przed telewizorem. Avery spędza z nami cały dzień, najwyraźniej nigdzie jej się nie spieszy.

Wczesnym wieczorem, przed zmierzchem, siedzę na kanapie z Lexie obok mnie, wciśniętą między mnie i Avery. Dziewczyny oglądają jakiś program w telewizji, a ja skupiam się na tym, nad czym pracuję, głową włochatego mamuta. Przypomina bardziej zdeformowanego słonia, ale niewiele więcej mogę z tym zrobić. Im dłużej nad tym pracuję, tym wydaje mi się bardziej spieprzone.

– Proszę – mówię z rezygnacją. – Lepszy już nie będzie. Jeden tatuaż mechatego mamuta.

– Jest włochaczy – mówi Lexie, próbując mnie poprawić, ale i tak używa złego słowa. – Włochaczy mamut.

– Mój błąd.

Odkładam marker, wstaję i rozciągam się, gdy mój wzrok przesuwają się w kierunku zegara. To uczucie zaczyna wypalać mój żołądek. To uczucie zaczyna przeżerać mój żołądek, budując napięcie jak podczas jazdy w górę kolejką górską, gdy wiesz, że za chwilę spadniesz w dół.

– Powinniśmy się zbierać, albo odstawimy cię za późno do domu.

– Czy musimy? – Lexie skomle i wyginając szyję unosi ramię, żeby przyjrzeć się rysunkowi. – Chcę zostać!

– Niestety – mówię i podnoszę jak zawsze nietknięty plecak z jej rzeczami. – Mama czeka na ciebie. Poza tym idziesz jutro do szkoły.

– Ty możesz mnie zaprowadzić do szkoły.

Chciałbym móc to zrobić, do diabła, technicznie rzecz biorąc mogłem, ale... nie mogłem. Nie wolno mi. Zasady opieki wyraźnie określają, że nasz

wspólny czas kończy się w niedzielę o siódmej wieczorem. Gdybyśmy spóźnili się chociaż dziesięć minut, Rebecca rzuciłaby we mnie brakiem odpowiedzialności i szacunku. Są to dwa słowa, których słuchania w jej wykonaniu mam powyżej dziurek w nosie.

Lexie zakłada buty, dąsa się i bierze ode mnie plecak, ciągnąc go po podłodze w stronę drzwi. Avery rzuca mi współczujący uśmiech, po czym biegnie za moją córką i proponuje pomoc w niesieniu plecaka. Lexie odmawia, ale jej twarz nieco się rozjaśnia.

– Idziesz z nami?

– Jasne. – Spina się od razu, gdy to mówi i patrzy na mnie. – To znaczy, jeżeli to w porządku.

Wzruszam ramionami. Jeżeli ma ochotę na spacer, nie zamierzam jej powstrzymywać.

Jedziemy metrem na Upper Westside, ta podróż zawsze sprawia, że czuję się, jakbym był w innym mieście. Przyzwyczajony do zgiełku dnia panującego w moim chaotycznym mieście, czuję się nieswojo i obco na ekskluzywnych ulicach z budynkami z piaskowca. W Nowym Jorku rzadko ludzie patrzą na mnie dziwnie z racji na tatuaże i piercing, ale w tej okolicy czuję się nie na miejscu. Może to moja wyobraźnia, albo się nakręcam, ale czuję, że tutaj każdy, kurwa, na mnie patrzy. Zwalniam gdy docieramy do budynku z brązowego kamienia, łapię Lexie zanim zdąży wbiec na schody. Pochylam się, całuję czubek jej głowy.

– Kocham cię, mała księżniczko. Do zobaczenia następnym razem.

– Cześć, tatusiu. Kocham cię.

Gdy tylko ją puszczam, biegnie po schodach, zatrzymując się na samych ich szczycie i łapiąc za kłamkę. Odwraca się, szczyrzy zęby w szerokim uśmiechu i macha.

– Pa, Avery!

– Pa, Lexie.

Lexie popycha i otwiera drzwi, które nie były zablokowane, w oczekiwaniu na jej powrót do domu. Niemal zderza się z matką, wbiegając do domu. Rebecca stoi w holu i śmieje się lekko, łapiąc Lexie, zanim się przewróci.

– Cześć, kochanie.

– Cześć, mammo.

Rebecca przygląda jej się dokładnie.

– Popatrz! – Lexie zrzuca plecak z ramienia. – Tatuś zrobił mi włochaczego mamuta!

– Widzę. – Pociera dłonią jej rękę, jakby chciała zetrzeć rysunek. – Może pójdziesz do siebie i wyciągniesz jakąś piżamę? Przygotujemy dla ciebie kąpiel.

Lexie biegnie na górę, a Rebecca rusza do drzwi i wychodzi na zewnątrz. Stoję na chodniku, ręce mam w kieszeni, gdy pozdrawiam ją bez słów. Nadchodzi. Widzę to w jej oczach.

– Poprosiłam cię o jedną rzecz – warczy Rebecca. – *Jedną* rzecz, Rhys. Tylko tyle. Nawet tego nie możesz mi dać? Czy wiesz jak trudno jest usunąć te pisaki z jej skóry?

– Jeżeli użyjesz oliwki dla dzieci...

– To twoja odpowiedź? – syczy wychodząc na górny stopień schodów i uciszając mnie. – Ona nie jest jednym z twoich klientów. Jest pięcioletnią, małą dziewczynką. Nie ma żadnego interesu w przebywaniu w towarzystwie tych ludzi i zdecydowanie nie powinieneś traktować jej tak jak ich!

– Ona je lubi – odpowiadam. – Prosiła o nie.

– Tak? Ona jest dzieckiem. Nie zna się! Jeżeli poprosi o czekoladę na śniadanie i lody na kolację, to przecież jej tego nie dasz, prawda?

– Cóż, właściwie...

Winny wszystkich przedstawionych zarzutów.

Rebecca kręci głową.

– Jesteś beznadziejny, Rhys. Absolutnie beznadziejny. Tracę czas, rozmawiając z tobą.

Kątem oka widzę stojącą w cieniu, kilka metrów dalej, Avery. Patrę na nią i widzę, że czuje się niezręcznie, gdy Rebecca zauważy jej obecność. Mruży oczy patrząc na nią, jej wzrok przecina powietrze i skanuje od stóp do głowy. Nie jestem pewien co powinienem zrobić. Mam je sobie przedstawić? To byłoby uprzejme, ale kto wie, co czai się w głowie Rebeci. Dla Avery będzie lepiej, jeżeli nie będzie musiała rozmawiać z tą kobietą. Rebecca przenosi na mnie swoje wrogie spojrzenie. Czuję jak pełza po mojej skórze.

– Ale masz tupet.

Robię krok do tyłu, wyciągam rękę z kieszeni, żeby ją pożegnać. Moje życie osobiste to temat, o którym nie zamierzam z nią rozmawiać, zwłaszcza w obecności Avery.

– Zobaczmy się w piątek, Rebecca.

– Nie sądzę – odpowiada. – Dopiero ją miałeś.

– To nie ma znaczenia. Kolejny weekend jest mój.

– Nie dostaniesz jej – śmieje się sucho.

– Spróbuj mnie powstrzymać.

Odwracam się, podchodzę do Avery i gestem głowy pokazuję, że idziemy. Za nami trzaskają drzwi, gdy Rebecca znika wewnątrz domu. Avery waha się, ale podąża za mną, powoli idziemy drogą, którą przyszliśmy.

– Miałeś rację – stwierdza Avery. – *Niemila* w jej przypadku to duże niedopowiedzenie.

Wzruszam ramionami. Świerzbiam mnie palce. Stary, ile bym dał za papierosa.

Cały czas idę, ale Avery zatrzymuje się, gdy docieramy do skrzyżowania i łapie mnie za ramię. Zwalniam, odwracam się do niej i unoszę brwi. Chcę po prostu z powrotem wrócić do domu, do znanego miejsca, do miejsca, gdzie nie

mam wrażenia, że wszyscy szydzą i oceniają mnie jako człowieka z marginesu społecznego.

– Ja, uch... Powinnam... no wiesz...

Nie, nie wiem. Obserwuję jak skręca w lewo do stacji metra i dalej w kierunku Lincoln Plaza.

*Ach.*

Juilliard.

– No tak... mieszkasz w okolicy.

Dziewczyna z Upper Westside.

*Bądź tu mądry.*

– To tylko jakieś osiemset metrów – mówi, patrząc w dół z grymasem na twarzy. – Muszę wziąć prysznic i się przebrać. I naprawdę powinnam się porządnie wyspać, jeżeli mam jutro poważnie popracować nad choreografią i cóż... tak bardzo, jak chciałabym iść z tobą... – Jest chaotyczna.

– Nie martw się – mówię. – Rozumiem.

– Czyżby?

– Raczej za bardzo nie odpoczniesz u mnie w domu.

Uśmiecha się głupkowato.

– Więc zgaduję, że zobaczymy się jeszcze w tym tygodniu?

Przytakuję.

– Wiesz gdzie mnie znaleźć.

Avery staje na palcach, całuje mnie, po czym odchodzi. Odwracam się i zmierzam w kierunku metra, robię zaledwie kilka kroków, gdy woła moje imię.

– Reece?

Odwracam się.

– Tak?

– Jesteś dobrym ojcem – mówi. – Lexie jest naprawdę szczęśliwym dzieckiem. Najszczęśliwszym jakie kiedykolwiek widziałam i przez cały

weekend mówiła tylko o tym, jak bardzo kocha być z tobą i ja... po prostu...  
pomyślałam, że powinienś wiedzieć. – Słabo się uśmiecha i odwraca.

Obserwuję ją gdy odchodzi, mruczę cicho:

– Dziękuję.



## DZIESIĄTY

Trzypiętrowy, murowany budynek znajduje się przy Broadwayu, wzdłuż niego, nad wejściem, znajduje się szyld: *Trouvaille Ballet. Trouvaille*. To z francuskiego. Oznacza „*szczęśliwe odkrycie*”. Coś niesamowitego na co można natrafić. Wiem to, bo sprawdziłem. Szukałem tego, ponieważ miałem szczęście natknąć się na to miejsce wcześniej. To było dawno temu... albo mam wrażenie, że od tamtej chwili minęło już sporo czasu. Cała wieczność.

Stoję po zmroku przy krawężniku i wpatruję się w szyld.

– Twoi rodzice są właścicielami tego miejsca?

Avery kiwa głową z podnieceniem, wyciągając pęk kluczy ze swojej torby. Pojawiła się w salonie wieczorem, tuż przed zamknięciem i poprosiła, żebym z nią gdzieś poszedł, zamiast standardowo uderzyć do baru. Zgodziłem się bez zadawania pytań i pojechałem z nią metrem na Upper Westside. Powinienem zapytać gdzie jedziemy. Nie byłem przygotowany na wizytę w tym miejscu.

– Pozwolili mi go używać zawsze, gdy chcę poćwiczyć – mówi Avery. – Więc dla mnie jest w zasadzie cały czas otwarte.

– Czy dlatego tutaj jesteśmy? – pytam, przyglądając się jej. – Żebyś mogła poćwiczyć?

– Coś w tym stylu.

Otwiera frontowe drzwi i gestem zaprasza mnie do środka. Waham się, stojąc bez ruchu przy krawężniku.

– Myślę że nie....

Nie pozwala mi skończyć i przewraca oczami.

– W takim razie nie myśl. Po prostu wejdź.

Biorę głęboki oddech i wchodzę za nią, ponieważ wiem, że w przeciwnym razie będzie chciała wyjaśnienia, którego nie mogę jej dać. Wewnątrz, podobnie jak na zewnątrz, wydaje się być nieskazitelnie czysto. Długi, ciemny korytarz przede mną jest pusty jak wolny wybieg. Avery szybko odszyfrowuje alarm, po czym zamyka drzwi frontowe. Idę za nią korytarzem do drzwi po prawej stronie. Avery popycha je, otwiera i zaprasza mnie do środka. Tym razem się nie waham. To dłużej nie ma sensu. Już zgrzeszyłem.

Ogromne studio jest otwarte i przewiewne pomimo ciemności. Jedną ścianę pokrywają lustra, w których odbijają się okna, dzięki czemu powstaje wrażenie dwukrotnie większej przestrzeni. Wszystko jest jasne, podłoga ma jasnoszary odcień, a wysoki sufit pokrywa biała farba. Całość jest surowa i sterylna... wielka, gówniana, pusta przestrzeń. Nie jest to miejsce, do którego może wejść ktokolwiek z ulicy i po prostu zatańczyć. Niezamierzenie mdłe, jak sądzę, ale za to jestem pewien jak cholera, że ssie mnie w duszy. Zawsze myślałem o tym budynku.

*To miejsce potrzebuje nieco kolorów, na miłość boską.*

– To jest... uhm... – Rozglądam się dookoła, nie wiem, co powiedzieć. – To miłe.

– Tak, to prawda. – Zgadza się, odkładając torbę na podłogę. – Trenowałam tutaj od chwili, gdy byłam w stanie samodzielnie chodzić. Prawdopodobnie spędziłam w tym studio więcej godzin dorastając, niż w swoim pokoju... częściej tańczyłam tutaj niż robiłam coś innego.

– To... uhm... – Na końcu języka mam „*To miło*”, ale nie mogę powiedzieć czegoś, z czym się nie zgadzam. – To przygnębiające jak skurwysyn.

Śmieje się.

– Owszem.

– Zgadzasz się ze mną?

– Tak, ale mówię jak jest. – Wzrusza ramionami, zatrzymując się kilkadziesiąt centymetrów ode mnie, gdy rozglądam się dookoła. – Moje pierwsze wspomnienie związane z tym miejscem pochodzi z dnia, gdy byłam tutaj, ubrana w małe *tutu* i próbowałam naśladować taniec mojej mamy. To po prostu zawsze było moje życie. To jest to, kim jestem. Jeżeli nie miałabym tańca, to co by mi pozostało?

Obserwuję ją przez chwilę i nic nie mówię. Nie mam odpowiedzi na to pytanie. Bez mojej sztuki, czuję się jak skorupa, słaba wymówka dla faceta, nędznego sukinsyna.

Zatem kim byłaby bez tańca? Prawdopodobnie *mną*.

Powoli podchodzę do niej, staję za nią, rękoma lekko ściskam jej ramiona, gdy pochylam się, żeby pocałować jej szyję.

– Czyli zawsze chciałaś być baletnicą?

– Cóż... zawsze chciałam tańczyć – odpowiada. – Moi rodzice... oboje należeli do *American Theater Ballet*. Mój ojciec był starszym tancerzem, to zasada dotycząca tancerzy po trzydziestce. I była moja mama... dołączyła na jeden sezon jako *corps de ballet*. Wdali się w zakazany romans, a mama odeszła, gdy zaszła ze mną w ciążę. Ojciec odszedł wkrótce po niej i otworzyli to studio.

Owijam ramię wokół jej talii, przyciągając bliżej mnie.

– Zatem porzucili swoje marzenia dla ciebie?

W to mogę się wczuć.

– Nie – mówi, uwalniając się z mojego uścisku i odwracając, żeby przyjrzeć mi się w ciemności. – Nie porzucili swojego marzenia. Po prostu poszli zupełnie inną drogą w jego realizacji. Nadal codziennie tańczą, kochają to tak samo, jak wtedy gdy byli razem w trasie. Marzenia żyją, Reece i nigdy nie umierają, bez względu na to, co myślisz. Marzenia po prostu czasami się zmieniają.

Zanim mogę cokolwiek odpowiedzieć, Avery łapie brzegi swojego kwiecistego topu i ściąga przez głowę, rzucając go na podłogę, obok torby. Gapię się na nią z szeroko otwartymi oczami, absolutnie zaskoczony jej odwagą, gdy sięga za plecy i rozpiną czarny biustonosz. Spada z jej ramion, dołącza do koszulki na podłodze, po czym zsuwa w dół spódnicę, wychodzi z niej i odkopuje na bok. Stoi przede mną mając na sobie jedynie czarne stringi, ledwo zakrywające skrawkiem materiału jej najbardziej intymne części oraz jasne, wsuwane buty. Nieświadomie wyciągam po nią dłoń, ale cofa się, unosząc ręce w górę.

– Umowa to umowa.

Leniwy uśmiech rozciąga się na mojej twarzy, gdy te słowa mnie przenikają. Avery zatańczy dla mnie.

– Skąd wiedziałas, że chciałem, żebyś się rozebrała?

– Ponieważ nie jestem idiotką.

Śmieję się, zerkam w kierunku okien, za którymi żyje miasto i chaos, gdy samochody korkują ulice, a wszędzie kręcą się ludzie. Odwracam się do Avery, wskazując na nie głową.

– Czy ludzie z zewnątrz mogą cię zobaczyć?

Może mimo wszystko lubi być podglądana.

Avery potrząsa głową.

– To lustro weneckie. Z zewnątrz wygląda jak lustro, a od środka to szyba.

Jakby świat chciał udowodnić swój punkt widzenia, ktoś przechodzi spokojnie, zatrzymuje się, sprawdza swoje odbicie, zęby i poprawia włosy, po czym rusza dalej.

Hmmm, nie zauważyłem.

Swobodnie opieram się plecami o ścianę obok drzwi, wsuwam ręce do kieszeni i gestem głowy daję jej znać, żeby kontynuowała. Avery wyciąga z

torebki mały pilot, naciska okrągły przycisk znajdujący się na nim i natychmiast z ukrytych w rogach i w suficie głośników rozbrzmiewa muzyka klasyczna. Dźwięki są lekkie i gładkie, rozluźniają część mojego napięcia. Avery odsuwa się ode mnie, uśmiecha się nieśmiało i przygryza zębami dolną wargę. Podchodzi do poprzeczki przymocowanej przy całej długości luster i zaczyna się rozciągać, jej ruchy są subtelne i płynne, gdy rozciąga ramiona i nogi, staje na palcach, zginając kolana, rozgrzewając ciało. Trwa to kilka minut, na tyle długo, żeby muzyka uległa zmianie. Dźwięki stają się głośniejsze i bardziej dramatyczne, kołysanka zmienia się w muzykę wykonywaną przez pełnowymiarową orkiestrę.

Odpycha się od poprzeczki i przemierza salę z gracją skradającej się pantery, wirując i obracając się, skacząc i kołysząc, poruszając się w sposób, którego nigdy wcześniej nie przypisałbym możliwościom człowieka. Stoję tam, obserwując jej ciało, które jest zaledwie cieniem doskonale dopasowanym do ciemności. Przyklejam wzrok do jej sylwetki, spijając każdą kroplę z jej mlecznego ciała, gdy słabe światło księżycy wpada z zewnątrz. To otula jej skórę, gdy wykręca ciało, wyrzuca wysoko nogi, prostując stopy w powietrzu, napinając mięśnie, które podkreślają kształty jej filigranowego ciała. Jest silna, w cholere silniejsza, niż sądzi, tak zgrabna i giętka i piękna.

*Tak cholernie piękna.*

Po chwili muzyka zatrzymuje się i cisza ogarnia studio. Avery zamiera stojąc na palcach, powoli opuszcza stopy na podłogę i ramiona do boków. Stoi tam, oddycha ciężko, ma zamknięte oczy, a spokój maluje się na jej twarzy. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby wyglądała tak swobodnie. Pewność siebie emanuje z jej porów.

Odpycham się od ściany i powoli spaceruję w jej stronę, cisza wzmacnia odgłos moich kroków. Avery otwiera oczy, gdy staję przed nią na tyle blisko, że mogę wyczuć zapach jej perfum, który utrzymuje się na jej skórze. Stoi przede

mną prawie naga, jej ciało pokrywa lekka warstwa potu, lśniąca w blasku księżyca.

Podchodzi do mnie spokojnie. Znika jej pewność siebie, a w jej głębokich, brązowych oczach pojawia się nuta niepokoju.

– Więc? – pyta ledwie słyszalnym szeptem.

– Tak – powtarzam, sięgając po nią.

Tym razem się nie odsuwa, stoi nieruchomo, gdy pieszczę jej bok, przesuwając rękę w dół jej brzucha i do piersi, kciukiem pocierając jej sterczący sutek. Drży, gdy powtarzam pieszczotę, westchnienie ucieka z jej rozchylnych ust. I jeszcze raz. I kolejny. I kurwa, robię to jeszcze raz.

Jej ciało reaguje na mój dotyk, czuję gęsią skórę pod palcami, gdy przesuвам nimi po jej ciele. Patrzę z fascynacją, zatracając się w tej chwili, ponieważ gram na niej, jak na dobrze nastrojonym instrumencie.

– Tak? – powtarza Avery. – To wszystko, co masz do powiedzenia?

Unoszę na nią wzrok, zauważam, że jej niepokój wzrósł dziesięciokrotnie. Ponownie przygryza dolną wargę, a jej już zarumienione ciało robi się bardziej czerwone.

– Niestety – wyznaję. – Rozprasza ją moje cycki. – Avery przewraca oczami i odpycha mnie. Chichoczę, łapiąc ją za biodra i przyciągając z powrotem, zanim zdoła odejść. – Pięknie – mówię. – Absolutnie oszałamiające.

– Moje cycki?

Kurwa, tylko od brzmienia jej głosu, robię się niesamowicie twardy. Niemal instynktownie przenoszę wzrok na jej piersi.

– Chodziło mi o twój taniec, ale tak... one też.

Avery śmieje się, owijając ramiona wokół mojej szyi, jej niepokój widocznie maleje, gdy patrzy na mnie.

– Dziękuję ci.

– Nie musisz mi dziękować – odpowiadam. – Jestem szczęściarzem, że mogłem to zobaczyć. Mam wrażenie, że powinienem zapłacić, za możliwość obejrzenia twojego tańca.

– Nie płaci się za oglądanie sztuki. Płaci się za możliwość zachowania jej dla siebie.

– Hmm. – Pochyłam się i delikatnie całuję kącik jej ust, przesuwam wargi wzdłuż jej policzka, w stronę ucha. – Ile to mnie będzie kosztować?

– Żeby mieć kawałek?

– Żeby mieć wszystko.

– Zależy – mówi. – Co masz do zaoferowania?

Co mogę zaoferować?

– Niewiele – przyznaję. – Rzuciłem studia i wszystko co mam jest wynajmowane, albo dzierżawione. Najcenniejszą rzeczą, którą posiadam jest magnetofon z 1990 roku oraz bogata kolekcja taśm. Naprawdę nie mam nic innego. Ale jeżeli bierzesz pod uwagę handel wymienny, to prawdopodobnie mogę zaoferować jedną z moich nerek. Tak to wygląda. Pracuję po dwanaście godzin dziennie, ale są miesiące, kiedy ledwo wiązę koniec z końcem, więc wiesz... jeżeli nie mogę mieć tego na kredyt, to prawdopodobnie jest poza moim zasięgiem.

– Łał. – Avery robi wielkie oczy. – Na pewno wiesz, jak uwieść kobietę.

– No tak, poza tym mam niespełna metrowego wzrostu pomocnicę. Jesteśmy jakby w pakiecie... i ja mogę być nieco szorstki na brzegach, ale podoba mi się fakt, że ona jest wyjątkowa i nadrabia za nas oboje.

– Hmm, to już brzmi lepiej...

– Chociaż jej mama jest swego rodzaju suką, więc to nie zawsze jest życie usłane różami. – Uśmiecham się lekko, patrząc na nią. – Jeżeli to pomoże, dorzucę jeszcze dożywotnie zapewnienie orgazmów.

– Sprzedane!

Chichoczę i przyciągam Avery bliżej siebie, kładąc ręce na jej tyłku.

– Co ty na to, żebyśmy od razu zaczęli nad nimi pracować?

– Ach, miałam rację. Wiesz, jak uwieść kobietę.

– Prawda – potwierdzam, popychając ją i zmuszając do zrobienia kilku kroków do tyłu. – Wiem również jak sprawić, żeby taka jedna krzyczała moje imię.

Przechodzę z Avery w kierunku środkowego okna, unoszę ją, sadzając na szerokim parapecie, dzięki któremu jej talia jest odpowiednio wysoko. Zanim jest w stanie cokolwiek powiedzieć, łapię jej stringi, ściągam i rzucam w stronę pozostałych ubrań. Wsuwam się między jej uda, w drodze do jej cipki, głaszczę jej skórę. Pochylam się, łapię ustami jej sutek, wiruję wokół niego językiem, jednocześnie wsuwając dwa palce w jej słodkie wejście. Wypuszcza z gardła jęk, zmieniający się w pisk, gdy opadam na podłogę przed nią.

Ustami odnajduję jej ciało, czubkiem języka pieścę łechtaczkę, w palcami ją pieprzę. Robię to powoli, dręcę jej ciało, by rozgrzała się dla mnie. Gdy mam ją wijącą się pod moim dotykiem, z plecami dociśniętymi do zimnego szkła, z zamkniętymi oczami, gdy ręce nieświadomie przesuwają na swoje piersi, wiem, że ją mam. Zaginam palce, wyczuwając jej punkt G, na co głośno wzdycha. Uderzam we wrażliwe miejsce, zwiększając ciśnienie i przyspieszając ruchy, a ustami ponownie odnajduję jej łechtaczkę. Zaczynam ją ssać, poruszam językiem w rytmie pieprzających ją palców. Nie mija dużo czasu, gdy Avery spina się, stara się powstrzymać krzyk, który rośnie w jej piersi, ale zduszony ucieka z jej gardła, gdy jej ciało drży w ekstazie orgazmu.

Nie ma czasu na złapanie oddechu. Gdy tylko zaczyna się odprężyć po ustaniu przyjemności, wstaję i rozpinam spodnie. Łapię jej biodra, przysuwam na krawędź parapetu, nie przejmując się rozbieraniem. Jednym szybkim ruchem jestem w niej, wywołując jej jęk. Owija nogi wokół mojej talii, opiera się o szybę, gdy ją pieprzę, nie okazując litości dla jej ciała i dając wszystko, co tylko



jestem w stanie. Raz za razem, bez przerwy, moje biodra uderzają w nią, gdy ją wypełniam, sięgając głęboko. Odgłos uderzających o siebie, wilgotnych ciał roznosi się echem po studio.

Avery krzyczy, gdy orgazm przetacza się przez jej ciało raz... drugi... trzeci. Wygląda na to, że nie ma czasu się odprężyć i zregenerować, zanim ponownie zacznę pocierać jej lechtaczkę do rytmu z pchnięciami bioder. Patrzę na nią, obserwując jak się rozpada na moich oczach, topiąc się w kałuży bolesnej przyjemności i tylko ja jestem tutaj, by go wchłonąć. Zaledwie kilka stóp od miejsca, w którym ją pieprzę, chodnikiem przechodzą ludzie, nikt nie widzi co się dzieje po drugiej stronie szyby. To mnie zaskakująco mocno podnieca i nakręca do dalszego działania.

Chcę dojść... kurwa, naprawdę chcę... ale nie mogę. Jeszcze nie. Jeszcze z nią nie skończyłem. Odsuwam na bok tę potrzebę, ignoruję ciśnienie w jajach, ciepło rozchodzi po moim całym ciele, ale zamiast tego, skupiam się na niej. Przeszywa ją czwarty orgazm, przyjemność minimalnie słabnie, jej ciało właśnie zaczyna się odprężać, gdy wracam do wcześniejszych ruchów. Avery zaczyna coś mówić, jej usta się poruszają, ale słowa nie pojawiają. Po kilku sekundach i pchnięciach zabieram ją ponownie na krawędź. Otwiera usta, ucieka z nich krzyk, na który czekałem.

– Reece! Och, kurwa, *Reece*!

W chwili gdy krzyczy moje imię, tracę kontrolę i nie mogę dłużej powstrzymać własnego orgazmu. Zatapiam się w niej jeszcze kilka razy, chrząkam, ledwo zdolny do poruszenia się, gdy ogarnia mnie intensywne uwolnienie. Uspokajam swoje ruchy, pochylam się do przodu, owijam ramieniem Avery i odsuwam ją od szyby.

– Mówiłem ci, że mogę sprawić, że będziesz krzyczała moje imię.

– Och, Boże, wystarczy – mówi spiętym głosem. Pot pokrywa jej zaczerwienioną twarz. – Nie przeżyję kolejnego orgazmu.

Wsuwam dłoń między nasze ciała.

– Chcesz się założyć?

W chwili gdy moje palce dotykają jej spuchniętej łechtaczki i wsuwam je w nią, Avery wstrzymuje oddech.

– Och, Boże, zabijesz mnie.

Chichoczę i powoli wysuwam dłoń z jej ciepłego wnętrza.

– Śmierć podczas orgazmu.

– Nieźle brzmi – mówi Avery, patrząc na mnie. – Mam wrażenie, że zamordowałeś moją cipkę.

Teraz ja się na nią gapię. Żadna kobieta nie powinna mówić słowa „cipka” takim seksownym, zdyszonym głosem, chyba, że chcę mieć tą cipkę ponownie wypieprzoną. Kręcę głową, chowam fiuta w spodniach i zapinam zamek.

– Teraz próbujesz *mnie* zabić.

Łapię ją za biodra, ściągam z parapetu i stawiam na nogi. Trzymam ją jedną ręką, podczas gdy drugą przykrywam jej cipkę, pieszcząc palcami i zanurzając je w środku. Avery wstrzymuje oddech i odsuwa się nieco ode mnie. Myśli, że chcę to z nią zrobić jeszcze raz. Śmieję się, podnoszę rękę i wsuwam palec do ust.

– Od chwili, gdy po raz pierwszy cię zobaczyłem, chciałem wiedzieć jak smakujesz.

Gapi się na mnie szeroko otwartymi oczami, rumieniec rozlewa się na jej policzkach. Jej reakcja powoduje, że bardziej się śmieję. Nie ma problemu z tańczeniem nago i pieprzeniem się przy oknie, ale na samą myśl o mnie, próbującym jej soków, rumieni się jak dziewica, która jakimś cudem nadal istnieje w niej gdzieś głęboko.

– Nie martw się – mówię unosząc dłoń i przejeżdżając tym samym palcem po jej dolnej wardze. – Jesteś taka słodka, jak sobie wyobrażałem.

Przewraca oczami, jeszcze bardziej się rumieni, próbując ukryć uśmiech. Odsuwa się ode mnie. Pędzi przez studio zbierając swoje ubrania i zakładając je ponownie.

– Więc, chciałem cię zapytać wcześniej... no wiesz... zanim rozproszyły mnie twoje cycki – mówię. – Czy to choreografia, nad którą tak ciężko pracujesz?

Avery podnosi swoją koszulkę i odwraca się w moją stronę.

– Nie, to był układ, którego nauczyłam się dawno temu. Tak naprawdę to taniec, z którym startowałam do Juiliard. Choreografia mojej mamy.

– Dlaczego nie pokazałaś mi swojej twórczości?

– Mój układ wymaga jeszcze dużo pracy – mówi, wciągając spódnicę i ją poprawiając.

– No i?

– No i jeszcze nie jest gotowy – mówi. – Na podstawie ćwiczonego fragmentu nie można zobaczyć pełnego obrazu. Musisz poczekać, aż skończę.

– Aha. – Rozumiem to. – Może innym razem.

– Ty... uh... nie będziesz mógł przyjść, prawda? Na występ? Wiem, że pracujesz i będziesz prawdopodobnie za bardzo zajęty, ale będziemy mieć kilka występów i pomyślałam, że może mógłbyś przyjść na któryś z nich. Jeżeli nie będziesz... wiesz... zbyt zajęty. I jeżeli będziesz chciał. Ale nie musisz. Ja tylko... – Obserwuję jak chodzi mówiąc chaotycznie.

– Avery.

– Pomyślałam, że cię zapytam. – Zatrzymuje się i patrzy na mnie niepewnie. – Tak?

– Oczywiście, że przyjdę. Po prostu powiedz mi gdzie i kiedy, a ja tam będę.

## JEDENASTY

– Skąd masz to wszystko?

Szkicuję coś. Nawet już nie wiem, co to jest. Zaczęło się od psychodelicznego smoka, ale teraz zaczyna to wyglądać jak jeden z cholernych dinozaurów Lexie. Jestem rozproszony zamieszanym w studio, bogini siedzi na podłodze w kącie i przegląda pudło z muzyką. Rzucam ołówek na biurko. Patrzę na nią i widzę, że przygląda mi się, unosząc z zainteresowaniem brwi. Cholera, o co mnie właśnie zapytała?

– Co?

– Te rzeczy – mówi Avery, wskazując dłonią na pudło pełne kaset. – Jak je zdobyłeś?

– Uh, trochę tu, trochę tam – odpowiadam. – Z wyprzedaży, pchlich targów... część z nich mam od lat, inne dostałem od klientów, którzy już ich nie potrzebowali.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

Ponownie wskazuje dłonią na pudło.

– Dlaczego akurat kasety?

Nie po raz pierwszy słyszę to pytanie i jestem pewien, że nie ostatni. Ale nie mam na nie odpowiedzi. Nigdy nie miałem. Dlaczego kasety?

*A dlaczego, do cholery, nie?*

Dlaczego ludzie zawsze dążą do nowinek, gdy stare rozwiązania nadal dobrze się sprawdzają, to jest popieprzone.

– Są tanie – mówię. – Nie widzę powodu, dla którego miałbym z nich nie korzystać.

– Bo są przestarzałe.

Próbując udowodnić swój punkt widzenia przesuwa pudełko i wyciąga kilka kaset.

*Michael Jackson Thriller.*

*AC/DC Back in Black.*

*Dirty Dancing, ścieżka dźwiękowa z filmu.*

– Twoja kolekcja muzyki kończy się na czasach, gdy przyszłam na świat, Reece. Potrzebujesz czegoś nowego.

– Nowa muzyka jest to bani.

– Nie, nie jest.

– Nic już nie jest oryginalne – oznajmiam. – Nie odróżniam Biebera od Timberlakea. Wszystko brzmi tak samo.

Wstrzymuje oddech i patrzy na mnie z przerażeniem.

– Cofnij to.

– To prawda.

– Błędnie!

Śmieję się z jej reakcji i wracam do mojego odrażającego rysunku. Biorę kartkę, zgmatam i rzucam w kierunku kosza na śmieci, ignorując fakt, że odbija się o jego krawędź i ląduje na podłodze. Zostawiam ją tam, biorę nowy kawałek papieru i zaczynam szkicować kolejnego smoka. W mojej pracowni w zasadzie panuje cisza, wyjątkiem jest dźwięk przesuwanym przez Avery kaset i dźwięku czytanych przez nią od czasu do czasu etykiet. Staram się skupić nad rysunkiem, ale nie mam dzisiaj do tego serca. Wzdycham z irytacją, gdy rzucam w stronę kosza drugą, zgniecioną kartkę, a Avery pyta, siedząc za mną:

– No więc kiedy masz urodziny?

– Miałem kilka miesięcy temu – mówię. – Dlaczego pytasz?

– Pomyślałam, że sprawię ci walkmana – mówi. – A może nawet zrobię coś szalonego i sprezentuję ci odtwarzacz CD.

Odwracam się do niej, gdy się śmieje, zgmatam rysunek w kulkę i rzucam w nią. Łąduje dokładnie na jej kolanach, szybko porzuca swoją muzyczną skarbnicę i z cholerną ciekawością sprawdza co szkicowałem. Rozwija i przygląda się pogniecionej kartce.

– To jest świetne.

– Okropne, to masz na myśli?

Przewraca oczami.

– Nie, nie o to mi chodzi.

Przez chwilę skanuje wzrokiem rysunek, po czym powoli, ostrożnie składa kartkę i nie mówiąc słowa wsuwa do kieszeni. Kręcę głową, odwracam się w stronę biurka, mały uśmiech wkrada się na moje usta, gdy biorę kolejny kawałek papieru i przystępuję do trzeciej próby.

– Powinam już iść – mówi Avery, odsuwając na miejsce pudło z muzyką. – Mam próbę i wiem, że ty masz pracę do zrobienia. Chciałam tylko wpaść i się przywitać.

Przytakuje, szkicując z roztargnieniem i czuję jej rękę na plecach, gdy przechodzi obok mnie, zmierzając do drzwi. Gdy przyszła, powiedziała, że *akurat była w okolicy*, ale ta kobieta praktycznie żyje w innym świecie. Nie ma tu niczego dla niej... niczego, to znaczy, z wyjątkiem mnie. Cieszę się, że to co jest między nami jest odwzajemnione. Może doprowadzam ją do szaleństwa, gdy robi to samo ze mną. Łapię jej spojrzenie i chrząkam.

– Co robisz jutro?

– Nic szczególnego. A ty? – Nie daje mi szansy na odpowiedź, ponieważ sama dodaje. – Och, no tak... Nieważne... przecież to twój weekend z Lexie.

– Dokładnie tak – odpowiadam. – Planujemy wstać wcześniej i wyruszyć trochę pozwiedzać miasto... spędzić przyjemnie dzień, jeżeli chcesz, możesz do nas dołączyć.

– Naprawdę?

– Pewnie, dlaczego nie? – Wzruszam ramionami, odwracając się do mojego rysunku. – Prawdopodobnie wyruszymy około ósmej, jeżeli zechcesz powrócić się z nami.

– Jasne – odpowiada. – W takim razie do zobaczenia.

Rzuca mi nieśmiały uśmiech, po czym rusza prosto do drzwi, wpadając na Ellie, która akurat wchodzi do pracowni. Avery mamrocze szybkie przeprosiny, pochyla głowę, po czym znika, a Ellie mruga kilka razy, obserwując jej ucieczkę. Po wyjściu Avery Ellie kręci głową i mruży pod nosem:

– To tyle, jeżeli chodzi o uroczą.

Śmieję się szorstko.

– Co ty nie powiesz.

Ellie odwraca się do mnie, unosi z zainteresowaniem brwi i wchodzi do pracowni, ściskając w dłoni terminarz.

– Czyli, wy dwoje...

– Potrzebujesz czegoś? – pytam, unikając odpowiedzi na jej pytanie. – Jestem zajęty.

– Tak, chciałam tylko przekazać, że dzwonił twój klient.

– Nie rób mi tego – mówię, kręcąc głową z zamkniętymi oczami przy jednoczesnym dociskaniu ołówka do kartki. To była jedyna osoba umówiona do mnie na dzisiaj. Praca była zaplanowana na całe cholerne popołudnie. – Nie mów mi, że odwołał.

– Przełożył na następny miesiąc.

Jęczę, rzucam ołówkiem i zgmatam kartkę z rysunkiem, po czym rzucam ją w kierunku kosza na śmieci.

*Pieprzyć to.*

Przecieram dłońmi twarz, biorę głęboki oddech, po czym odsuwam krzesło i wstaję. Ellie obserwuje mnie ostrożnie, gdy zabieram swoje rzeczy i

nie przejmuję się sprzątaniami. Wychodzi za mną z pokoju, a ja zamykam pracownię.

– Powiedz Kevinowi, że biorę wolny dzień – oznajmiam. – Nie ma sensu, żebym tu siedział.

– Możesz posiedzieć ze mną – rzuca, opierając się o ścianę obok mnie. – Jestem pewna, że mógłbyś się zająć jakimiś zleceniami na ostatnią chwilę.

Patrzę na nią i zauważam jej rozbawienie i po prostu kręcę głową i ruszam w kierunku wyjścia.

– Zobaczymy się w poniedziałek, El.

– Pa, Reece – mówi. – Powiedz maleńkiej, że kazałam ją pozdrowić.

Macham do niej i wychodzę. Na zewnątrz powietrze jest chłodne, a z nieba pada niewielki deszcz. Naciągam kaptur na głowę, ręce wkładam do kieszeni i idę wzdłuż budynku. Zatrzymuję się na rogu ulicy, czekając, aż zmieni się światło, a mój wzrok ucieka w kierunku budowy po przeciwnej stronie. Nie widziałem tam ani jednego pracownika, oprócz okrycia brezentem, nie zrobiono żadnej, nawet najmniejszej rzeczy.

– Najwyższy czas, co?

Odzywa się głos za moimi plecami. Jest tak blisko, że włosy na ramionach stają mi dęba i czuję chłód biegnący wzdłuż mojego kręgosłupa. Skurwysyn zakradł się do mnie. Zerkam przez ramię i widzę, że się tam czai. Previn Warren. Wygląda niemal jak zwykły urzędnik w ciemnym mundurze, z kajdankami i 9 mm bronią w kaburze zawieszanej na biodrze, ale słowo „*kurator*” jest przyczepione do jego marynarki w miejscu, w którym w innym przypadku byłby napis „*policja*”. To starszy, siwiejący facet o szorstkiej skórze, jest zbudowany jak buldożer i ma najbardziej pewny siebie uśmiech, jaki w życiu widziałem. Odwracam się, patrzę na niego, po czym mój wzrok ponownie podąża w stronę placu budowy.

– Czy pan mnie śledzi, panie Warren?



– A co, jeżeli to robię?

Wyciągam ręce z kieszeni, unoszę je w górę, żeby mógł zobaczyć.

– Mam czyste ręce.

– Dobrze wiedzieć – mówi, podchodząc i stając obok mnie. – Gdzie się dzisiaj wybierasz?

Naprawdę chcę powiedzieć temu facetowi, żeby się odpierdolił, ale nie mogę. Dopóki sąd nie powie inaczej, moje sprawy są jego sprawami. Och, jak ja czekam na ten dzień...

– Do domu – mówię.

– Do domu? Jesteś chory, czy coś w tym stylu? Zazwyczaj w piątki pracujesz.

Martwi mnie, że wie takie rzeczy. Martwi mnie, że wie *wszystko*.

– Nie mam już więcej pracy na dzisiaj – odpowiadam mu. – Więc postanowiłem wziąć wolny dzień.

Kiwa głową i wskazuje w stronę migającego światła, które zmienia się na zielone.

– W takim razie idź, Hatfield. Tylko trzymaj się z daleka od kłopotów.

Szybko odchodzę od niego, wdzięczny za wolność, ponieważ wiem, że mógł się okazać wrzodem na dupie i zatrzymać mnie, gdyby chciał. Oglądam się przez ramię, widzę, że znika z pola widzenia, zmierzając do salonu. Chce rozmawiać z Kevinem. Nie jestem zaskoczony, ale też się tym nie przejmuję. Nie mam nic do ukrycia. Powiedziałem mu, że mam czyste ręce.

Jest coś w pchlim targu, co powoduje, że czuję się tutaj jak w domu. Może to luźna atmosfera. Może dlatego, że wszystko jest tu tanie i nawet ja mogę sobie pozwolić na małe zakupy. Ludzie są mili i nikt nie łypie okiem, gdy ktoś taki jak ja przegląda rzeczy, które chcą sprzedać. Nie patrzą na mnie,

jakbym nie był wystarczająco dobry, żeby tam być, ani nie patrzę na moją córkę jakby też nie należała do tego miejsca.

Mamy rześki poranek, ale niebo jest czyste i słońce świeci jasnymi promieniami, gdy stoję na środku starego garażu *Piekielnej Kuchni*. Stragany i stoły zajmują każdy skrawek przestrzeni, są wypakowane antykami, przedmiotami kolekcjonerskimi, bibelotami i innymi pieprzonymi bzdurami. Wszystko, co tylko można sobie wyobrazić pod jednym dachem. Spaceruję przez tłum, Avery jest tuż obok mnie, a Lexie idzie przed nami. Mam ją na oku, upewniając się, że nie jest za daleko... troszcząc się, żeby nie przewróciła, żadnej staruszki po drodze.

*Nie byłby to jej pierwszy raz.*

– Zwolnij, mała księżniczko.

Zwalnia na pół sekundy, a potem pędzi przez siebie. Wkracza Avery, staje przede mną, gdy wzdycham i się uśmiecha.

– Nie martw się, mam ją.

Zaczynam odpowiadać, że nie musi tego robić, ale moje słowa trafiają w próżnię, ponieważ już znika, przedzierając się przez tłum, zanim mogę ją zatrzymać. Część mnie krzyczy, żebym nie stracił z oczu córki, ale podążam za nimi mówiąc sobie, że powinienem wyluzować. Zaprosiłem Avery, żeby poszła z nami. Zaprosiłem ją, żeby spędziła czas z moją córką. Zaufałem jej na tyle, żeby wpuścić ją do naszego życia. Ufam jej na tyle, żeby zostawić Lexie pod jej opieką. Przemierzam drogę przez tłum ludzi, ponad innymi dźwiękami słyszę głośny, podekscytowany głos Lexie i podążam za nim prosto do stoiska umieszczonego w rogu. Moja córka stoi tam razem z Avery i ściska gigantyczną zabawkę Godzilla, ohydną plastikową figurkę, która jest niemal tak duża, jak Lexie.

– Zobacz, tatusiu! – Lexie skrzeczy gdy tylko mnie zauważy i zaczyna biec w moją stronę. – Dinozaur!

– Technicznie rzecz biorąc to jest jaszczurka – potwór... czy jakoś tak.

Nie jestem pewien, co to do cholery jest. Przypomina trochę gówno, które wczoraj rysowałem.

– Musisz to odnieść z powrotem.

– Ale...

– Odłóż to tam, gdzie to było – powtarzam. – To nie jest twoje.

– Ale...

– Słyszałaś mnie, mała księżniczko.

Patrzy na mnie, jakby chciała taśmą zakleić mi usta, żeby powstrzymać mnie od powtórzenia tego raz jeszcze.

– Właściwie, tak jakby to należy do niej – mówi Avery lekko niepewnym głosem. – Właśnie za to zapłaciłam.

Gapię się na nią.

– Co zrobiłaś?

– Kupiłam to coś – powtarza. – To nic wielkiego... podobał jej się, więc pomyślałam, że nic złego się nie stanie, jeżeli będzie go miała.

Wzdycham, przecieram dłońmi twarz, po czym sięgam po portfel do tylnej kieszeni dżinsów.

– Ile kosztował? – pytam. – Oddam ci za zabawkę.

– Pięćdziesiąt.

Cholera, niemal dławię się powietrzem.

– Pięćdziesiąt czego? Centów?

Jej zmieszane spojrzenie mówi mi, że nie jestem aż takim szczęściarzem. Skurczybyk kosztował pięćdziesiąt dolców.

– To wersja kolekcjonerska – mówi cicho. – Nadal ma oryginalne pudełko.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że ona zamierza to otworzyć, prawda? – Gdy tylko to mówię, Lexie zaczyna otwierać karton. Dokładnie zgodnie z

moimi przewidywaniami. – Zamierza to zniszczyć, zrobić masakrę, tak jak ma w zwyczaju robić ze wszystkimi swoimi zabawkami.

Avery zerka na Lexi, która rozrywa opakowanie, żeby wyszarpać ze środka swojego nowego *dinozaura*. Po chwili wzrusza ramionami i patrzy na mnie.

– Przynajmniej naprawdę jej się podoba.

Wyciągam gotówkę z portfela, zerkając ile jej mam, gdy Avery wyciąga mi wszystko z rąk. Patrzę ostrożnie jak upycha banknoty z powrotem i zamyka portfel. Staje za mną i wsuwa go do tylnej kieszeni moich džinsów.

– To prezent – mówi. – Ode mnie.

– Nie musiałaś.

– Ale zrobiłam to i już.

Chcę ciągnąć tę dyskusję, ale się zamykam. Lexie i Avery wyglądają na cholernie szczęśliwe, a ja nie mogę być fiutem, który im to zabierze tylko dlatego, że moja duma ma problem z zaakceptowaniem faktu, że moja córka pragnie czegoś, na co nie mogę sobie pozwolić. Nie ma czasu na rozwodzenie się nad tym, ponieważ Lexie wreszcie uwalnia Godzillę z pudełka i znowu jest nakrecona. Sprzątam kawałki kartonu, który rozrzuciła, a Avery mknie, żeby za nią nadażyć. Niezależnie od tego jakie spustoszenie sieją te dwie dziewczyny, prawdopodobnie nie chcę o tym w ogóle wiedzieć. Znajduję kilka kaset. Avery wraca z jakimiś używanymi książkami. Lexi wygląda jak mały bandyta, obładowana większą ilością rzeczy niż powinna.

Gdy opuszczamy pchli targ jest już popołudnie, spacerujemy chodnikiem, pokonując drogę do metra, żeby wrócić do mojej dzielnicy. Lexie idzie przed nami z Godzillą schowanym pod pachą, ciągnąc jego masywny ogon po ziemi. Wzdycham, otaczam Avery ramieniem, przyciągam ją do siebie i całuję w czubek głowy.

– Dziękuję.

– Za co?

– Za to, że poszłaś z nami – mówię. – Za kupienie jej zabawki.

– To nic wielkiego – odpowiada. – To tylko pieniądze, prawda?

Śmieję się szorstko.

– Prawda.

Tuż przed nami robi się zamieszanie, jacyś młodzi ludzie wybiegają z alejki. Jest ich dwóch, są ubrani na czarno, na głowach mają kaptury. Ich twarze częściowo zakrywają bandany. Znam ten wygląd. Wynika z jakiegoś powodu. Puszczam Avery, szybkim krokiem podchodzę do Lexie i kładę rękę na jej ramieniu, nakazując zatrzymanie się, zanim na nich wejdzie, ponieważ doskonale wiem, że jest za bardzo zaaferowana nową zabawką, żeby ich zauważyć. Zerkam w dół alejki, upewniając się, że jest bezpiecznie, gdy mój wzrok ląduje na dużym muralu na ścianach budynków. To żadna nowość w tym mieście, oczywiście. W tej części Nowego Jorku ciężko znaleźć nieoznaczony w ten sposób budynek. Ale ciągnie mnie do graffiti, martwego centrum, otoczonego innymi, kolorowymi bohomazami. Mroczna postać patrzy w dół, na głowie ma kapelusz. To ledwie zarysowana czarną farbą sylwetka, jakby pusta w przeciwieństwie do wibrującej tęczy graffiti.

Napinam klatkę piersiową, moje mięśnie są napięte. Kręcę głową, patrząc na to w szoku przez kilka sekund, które czuję jak minuty... godziny... dni. Nowy, czarno – satynowy pojemnik leży na asfalcie, pod świeżo pomalowaną ścianą. Czuję to ponad smrodem miasta.

*Te małe skurwysyny.*

– Uważaj na nią – mówię, automatycznie puszczając Lexie i zostawiając ją z Avery, gdy ruszam za nimi niemal biegnąc, żeby ich dogonić.

Idą jakby nic na świecie ich nie obchodziło, roześmiani i rozbawieni, opowiadając sobie o tym, co zrobili przed ucieczką. Słyszą, że podchodzę, odwracają się i przestają rozmawiać, a na ich twarzach jest widoczne

zmieszanie. Szybko łapię tego, który jest najbliżej mnie, trzymam w pięści jego kurtkę i przyciągam do siebie. Patrzę na obu, serce mi wali, a adrenalina krąży w żyłach. To są tylko dzieciaki... mają po szesnaście, może siedemnaście lat... ale mają w oczach to coś, co mówi, że doświadczyli więcej gówna niż większość facetów.

– Który z was to zrobił? Co? – Patrzę na nich, próbując opanować gniew, ale to sprawia, że głos mi drży. – Który z was, dupki, to namalował?

Chłopak łapie moją rękę, próbuje ją podważyć, a jego kumpel staje między nami i mnie popycha. Drugą rękę kładzie na mojej piersi, widzę czarną farbę na jego palcach i smugi na dłoni. Łapię jego nadgarstek, ciągnę rękę do góry, wypychając ją przed jego twarz, gdy chłopak krzyczy:

– Jaki masz, kurwa, problem, koleś?

– *To* jest mój problem – warczę, uderzając go jego własną ręką, po czym odpycham go i potyka się. – Jaki masz interes w takim oznaczaniu budynków? Co? Myślisz, że kim, do cholery, jesteś? Kto dał ci prawo do tego?

Przechodzący ludzie gapią się na nas, ale wcale się tym nie przejmuję. Interesuje mnie tylko to, co przed chwilą zrobili, zastanawiam się dlaczego, do diabła, się na to zdecydowali i co sobie myśleli. Cofają się, zaskoczenie miesza się na ich twarzach ze złością, po czym odwracają się i zaczynają uciekać. Niemal ruszam za nimi, ale po kilku krokach coś mnie zatrzymuje. Blokuję mnie w jednym miejscu. Obserwuję jak dzieciaki przecinają kolejną ulicę, niemal przewracając po drodze przechodniów, gdy znikają w tłumie. Pochylam głowę i patrzę na swoje ręce. Są czyste. Tak czyste, że nie ma na nich żadnego śladu farby. Nawet nie pamiętam kiedy po raz ostatni były nią pobrudzone. Zaciskam pięści, na chwilę zamykam oczy, biorę głęboki oddech, po czym odwracam się i odchodzę.

Dopiero po przejściu przez ulicę zauważam Avery i Lexie, stoją niedaleko muralu. Avery przygląda mi się powoli, a Lexie bawi się tuż obok niej, cały czas

zaabsorbowana swoją nową zabawką. Gdy podchodzę, Avery zerka w moim kierunku. Widzę pytanie w jej oczach, ale nie pozwala mu przez chwilę wydostać się z ust.

– Przepraszam – mruczę, odwracają się od niej. Nie wiem dlaczego przepraszam ani czy byłaby w stanie zrozumieć. – Ja po prostu...

– Czy to on?

Wbijam w nią wzrok.

– Kto?

– Hatter<sup>24</sup>.

Zaskoczony zamieram w miejscu, patrzę na nią zszokowany, gdy ksywka opuszcza jej usta.

*Hatter.*

– Skąd...? Nawet nie byłaś...?

Przewraca oczami.

– Dorastałam w tym mieście, Reece. Gdy byłam dzieckiem te... *rzeczy...* były wszędzie. – Ruchem ręki wskazuje na świeży obraz na ścianie. – To doprowadzało ludzi do szaleństwa... gdy pojawiała się z nikąd, z dnia na dzień. To było jak wizytówka, czy coś takiego, no nie wiem...

– Ksywka – podpowiadam

– Tak, właśnie. – Ponownie przygląda się muralowi. – To był znak rozpoznawczy gościa, czy kimkolwiek był. Mówili na niego Hatter.

Patrzę na pseudonim, przyglądam się konturom. W najlepszym wypadku można powiedzieć, że to jest przeciętne, dzieciak, który to namalował jest amatorem, pospolitym naśladowcą. Nie można udawać artysty, nie prawdziwego, ale jak widać, niektórzy uważają, że to realne. To zamiennik, coś jak znalezienie Van Gogha na wyprzedaży garażowej. Wiesz, że to gówno musi

---

<sup>24</sup> Hatter – z ang Kapelusznik, ale zostawiam w oryginale...To był

być podróbką, ale przez ułamek sekundy, na pierwszy rzut oka stajesz i zastanawiasz się, czy może... tylko może.

*Może to naprawdę jego dzieło.*

– To nie on – bełkoczę i odwracam się. Ścisła mi żołądek do tego stopnia, że czuję mdłości. – To tylko jakieś głupie dzieciaki.

– Dlaczego ich goniłeś?

– Ktoś musi ich nauczyć.

– Czego? Że wandalizm jest złą rzeczą?

– Nie, tego, że to kradzież. – Kręcę głową i odwracam się od repliki. – Nikt nie lubi tanich podróbek. Jeżeli zamierzasz być artystą, to musisz tworzyć własną sztukę. Stworzyć samego siebie. Wykreować to, co masz w sobie, a nie podszywać się pod prace innych ludzi. Mówią, że kopiowanie jest najszczerzą formą uznania, ale ja uważam, że to bzdury. To powstaje dzięki jakiejś inspiracji. To kolejna rzecz do cholernego kopiowania.

Unosi brwi, jakby była zaskoczona moim wybuchem.

– W takim razie, co im powiedziałaś?

– To co chciałem im powiedzieć.

– Czyli co im powiedziałaś?

– Że zachowali się jak dupki.

Nie wiem czego się spodziewać... może to dla niej irytujące, a może nawet moje zachowanie ją martwi... więc ostatnią rzeczą jakiej się po niej spodziewam jest wybuch śmiechu. Owija się moim ramieniem, wsuwa dłoń w moją i kładzie głowę na moim ramieniu, gdy ponownie zerka na graffiti.

– Jak myślisz, co się z nim stało?

– Pytasz co moim zdaniem się z nim stało?

– Tak... z Hatterem. – Serce niemal mi zamiera, gdy wypowiada przezwisko. – Wiem, że go złapali, ponieważ moi rodzice otrzymali czek z rekompensatą. – Gdy zaczynam się odprężać te słowa we mnie uderzają. – Byli



odbiorcami jednego z jego dzieł – kontynuuje, wskazując głową w stronę graffiti. – Miałam piętnaście lat, gdy to się stało... mural zajmował cały front studia tańca. Uważałam, że był wspaniały, ale mój ojciec oczywiście się ze mną nie zgadzał. Jakiś rok temu dostali pocztą czek na kilkaset dolarów na pokrycie kosztów usuwania graffiti.

– Ciekawe.

– Tak, próbowałam przekonać ich do zostawiania graffiti, ale nie było mowy, żeby się zgodzili – mówi ze śmiechem. – To trochę smutne... nie twierdzę, że należy popierać akty wandalizmu, ale to jest sztuka... to była sztuka tego faceta i tak szybko jak to stworzył ktoś inny to usunął, wiesz?

– Tak, wiem – odpowiadam.

– Więc zastanawiam się, co się z nim stało. Po prostu zniknął.

– Sądzę, że ciężko to stwierdzić – odpowiadam. – Może zrozumiał swój błąd.

A może nadal płaci za te wszystkie błędy.

– Jesteś gotowa, mała księżniczko?

Lexie siedzi na korytarzu, na podłodze wokół niej są porzucane zabawki. Słońce już zaszło, zmrok ogarnia przestrzeń na zewnątrz, gdy zbliża się siódma. Jeżeli się nie pospieszymy, spóźnimy się dziś do domu. Patrzy na mnie, marszczy brwi, ale nie przestaje się bawić.

– Jeszcze nie.

– Więc musisz się przygotować – mówię. – Musimy już iść.

– Dlaczego nie mogę tu zostać?

– Ponieważ jest niedziela – odpowiadam. – Musisz wrócić do domu i doskonale o tym wiesz.

– Ale dlaczego muszę?

*Ponieważ twój ojciec to speprzy.*

*Ponieważ twoja matka jest dziwką.*

*Ponieważ sąd stwierdził, że z nas dwojga lepiej ci będzie z nią.*

– Bo twoja mama cię kocha – oznajmiam. – I to jej dzień na spędzenie z tobą czasu.

Lexie robi minę, ale nie kwestionuje dłużej moich słów, wstaje, zostawiając porozrzucane zabawki i sięga po swój płaszcz. Łapię jej różowy plecak, zarzucam go na ramię i biorę ją za rękę, gdy kierujemy się w stronę drzwi.

– Czeka! – Odwraca się i znika w swojej sypialni zanim mam szansę zapytać, co się stało. Wraca po chwili, ciągnąc za sobą ogromną Godzillę i ponownie łapie mnie za rękę. – Dobra, teraz jestem gotowa.

Idziemy na dół, jestem rozkojarzony, gdy Lexie coś opowiada i nie zwracam uwagi na otoczenie, rozglądam się dopiero, gdy wychodzimy z budynku. Zatrzymuję się przed wyjściem, obserwuję zbliżającego się mężczyznę. Jest tutaj ze względu na mnie.

*Oczywiście, że tak.*

Można by pomyśleć, że już się do tego zdążyłem przyzwyczaić, oficer Warren pojawia się niespodziewanie gdziekolwiek jestem. W moim domu, pracy, w miejscach, w których zwyczajowo przebywam... rozmawia z moimi przyjaciółmi, wypytuje współpracowników, a gdyby rodzina się ode mnie nie odcięła, prawdopodobnie ją również by nękał. Ma płacone za niańczenie mnie, więc, że tak powiem, od pięciu lat na mnie zarabia. Nie mogę się doczekać zwolnienia sukinsyna. To ciągnie się za długo. Pomimo niedzielnego wieczoru ma na sobie standardowe ubranie, drażniąc mnie jaskrawożółtym napisem „KURATOR” na czarnym płaszczu. Wszyscy w okolicy mogą to, kurwa, przeczytać. Większość z nich i tak już wie...

– Hatfield – mówi, kiwając głową na powitanie.

– Oficerze.

Odwraca się do Lexie, jego zazwyczaj ponura twarz rozciąga się w uśmiechu.

– Witaj, kochanie.

Lexie tylko mu się przygląda. Nie odzywa się ani słowem. Jest dla niej obcy. Po chwili niezręcznej ciszy chrząkam:

– Czy mogę panu w czymś pomóc?

Przenosi swoją uwagę z mojej córki na mnie.

– Znaleźliśmy coś podczas weekendu, jakieś graffiti...

Nie musi kończyć. Wiem, o co chodzi.

– To nie ja.

– Tak, cóż...

Przesuwam Lexie przed siebie i wyciągam rękę, żeby mu je pokazać.

– Może pan sprawdzić. Nie mam farby na rękach ani na ubraniu. Może pan poszukać, jeżeli pan chce. Nic pan nie znajdzie.

– Po prostu pytam – odpowiada szybko. – Wiesz o tym.

– Wiem. – Odsuwam się o krok, nadal trzymając przed sobą Lexie. – Proszę nam wybaczyć, ale musimy już iść. Mała musi szybko być w domu.

Macha ręką.

– Rób to, co musisz, Hatfield. Nie pozwól, żebym cię zatrzymał.

Zostaje tam, gdy my zaczynamy się oddalać. Nie zdziwię się, jeżeli pójdzie w kierunku mojego mieszkania, żeby przejrzeć moje rzeczy. Teraz nie mam czasu, żeby się tym martwić. Nie mogę się spóźnić. Nie tracąc czasu zmierzamy na Upper Westside.

Lexie bierze ode mnie plecak i wbiega po schodach, gdy jej matka otwiera frontowe drzwi. Zatrzymuję się na chodniku, czekając, aż wejdzie do środka, ale staje przed nią jej matka i blokuje drogę.

– Och, Boże, co to za paskudztwo?

Jestem dupkiem. Wiem. Mój instynkt podpowiada, żebym powiedział, że to tylko jej odbicie, ale trzymam język za zębami, ponieważ wiem, że pogorszyłbym sytuację. Wymieniamy między sobą wątpliwej jakości uprzejmości, co jest niezwykle łatwe do zniszczenia, ale ze względu na Lexie staram się powstrzymać. Robię co mogę. To nie zawsze działa.

Lexie trzyma swoją nową zabawkę i szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Przyjaciel taty kupił mi dinozaura.

– *Przyjaciel* taty? – Rebecca przenosi wzrok z naszej córki na mnie, po czym koncentruje się na zabawce. – Dlaczego w ogóle miałby coś takiego zrobić?

Lexie chichocze.

– To dziewczyna, mamó. Nie chłopak. I też lubi dinozaury! Powiedziała mi o tym!

Zachowanie Rebeci subtelnie ulega zmianie, ale dla mnie wystarcza, żeby to wyłapać, prostuję ramiona i plecy, przygotowując się na jej atak. Chociaż nie mam ochoty na walkę. Szybko zgarnia Lexie do środka, czeka, aż odejdzie, po czym odwraca się do mnie. Robi krok na zewnątrz, zatrzymuje się, kładzie ręce na biodrach i uważnie mi się przygląda. Sądzę, że czeka, aż coś powiem, ale nie mam zamiaru się przed nią z niczego się tłumaczyć. Moje życie to moje życie, a jeżeli jej się coś nie podoba to już jej problem. To przez nią i jej kwestionowanie moich wyborów czuję się jak oszust, ale odsuwam to na bok. Spuszczam głowę i nie otwieram ust, pozwalając jej mnie krytykować, biorąc na siebie ciężar jej gniewu, ponieważ może na to zasłużyć. Może dostałem surowszą karę. Ale od pięciu lat mam czyste ręce i w pewnym momencie będzie musiała mi nieco odpuścić.

Po chwili kręci głową i gotuje się w niej coś więcej, niż szyderstwo. Jest tak oburzona, że nie znajduje słów, żeby to wyartykułować. Spokojnie odchodzę, po drodze zatrzymuję się w sklepie, żeby kupić papierosy. Pół

godziny później docieram do domu, a kurator nadal tam jest i siedzi na schodach przed moim mieszkaniem. Z ciężkim westchnieniem siadam obok niego i sięgam do kieszeni po paczkę fajek. Wyciągam jednego papierosa. Odpalam, zaciągam się głęboko, po czym obserwuję wolno wypuszczany z płuc dym.

– Kilka tygodni temu rzuciłem palenie.

Unosi brwi.

– Wygląda na to, że całkiem nieźle ci poszło.

Śmieję się szorstko i ponownie się zaciągam.

– Cóż, nikt nie twierdził, że jestem doskonały. Ale próbowałem... Próbuję, chociaż to jest trudne. Mam zaciśnięte płuca, wypompowane i sfrustrowane, a to sprawia, że czuję się tak, jakbym miał postradać zmysły. Więc zapalam jednego i wmawiam sobie, że to już naprawdę koniec, że po tej fajce naprawdę z tym skończę i dokładnie tak myślę... aż do następnego razu, gdy coś zajdzie mi za skórę.

– Potrzebujesz jakiegoś hobby – mówi.

– Miałem jedno. – Patrzę na niego z niewielkim uśmiechem na ustach. –

To właśnie tak się spotkaliśmy.

Kiwa głową i śmieje się pod nosem.

– Malowałeś ostatnio?

– Mówiłem ci już... Mam czyste ręce.

– Nie mówię o tym. Chodzi mi o malowanie. Wiesz, farby, pędzle, papier. Sztuka.

– Nie.

– Naprawdę? – Sprawia wrażenie szczerze zaskoczonego. – Twoje domowe studio wyglądało tak, jakbyś go ostatnio używał.

W reakcji na jego słowa, niemal instynktownie się spinam. Wiedziałem. Skurwiel poszedł na górę, gdy mnie nie było. W milczeniu palę papierosa, starając się ignorować wrażenie najścia.

– To były tylko jakieś głupie dzieciaki – cicho mówię po chwili. – Jakieś głupie dzieciaki, które nie miały pojęcia, co robią. Zresztą wie pan, że to nie po raz pierwszy.

Doskonale wie. Przychodzi do mnie z każdym razem, gdy coś takiego się dzieje, ale minęło sporo czasu od poprzedniego razu, niemal rok. Po raz pierwszy byłem świadkiem takiej akcji. Nigdy wcześniej nie widziałem, jak ktoś to robił.

– Nie sądzisz, że to dziwne? – pyta. – Po tych wszystkich latach ludzie nadal składają ci hołd.

Kręcę głową i zaciągam się głęboko papierosem, skręca mi płuca.

*Hatter.*

Tak mnie wtedy nazywali.

– Nie robią tego dla mnie. Nie mają o mnie zielonego pojęcia. Robią to, ponieważ sądzą, że oznaczanie jakiegoś miejsca ma sens, który jest ważniejszy, niż cokolwiek innego. Robią to, ponieważ chcą wierzyć, że mają prawo dokonywać zmian. Ich zwrot w stronę takich rozwiązań jest swego rodzaju idealizmem... to tak, jakby próba podskoczenia i wysłania wiadomości, że tutaj są, że nie odchodzą. Uważają, że ludzie naprawdę zwracają na nich uwagę, że im zależy. Ale tak wcale nie jest.

Przygląda mi się nie maskując własnej ekspresji.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo myślałem, że byłem artystą – odpowiadam, rzucając niedopałek na kamienne schody i gasząc butem. – Tak naprawdę byłem tylko kolejnym, głupim dzieciakiem.

Wydaje się nie mieć na to żadnej odpowiedzi. Wstaje, rozciąga się, po czym schodzi po schodach i zatrzymuje się na chodniku. Przygląda mi się przez chwilę, pochyla się po mój niedopałek.

– Zaśmiecanie może cię kosztować kilkaset dolarów grzywny – oznajmia.  
– To również byłoby naruszenie warunków zwolnienia, a obaj wiemy, że tego nie chcesz. A to prowadzi do konkluzji, że musiałbym dać ci mandat. To wszystko co masz do powiedzenia? Dlaczego to wszystko zrobiłeś? Nie wierzę w to ani przez sekundę. Facet, którego wtedy poznałem nie był głupi. Był artystą. – Oficer Warren zaczyna odchodzić, potrząsając głową. – Po prostu ten facet gdzieś zabłądził.

## DWUNASTY

Jest wczesny wieczór, zbliża się zmrok, na ciemnoniebieskim niebie widać żywe odcienie pomarańczy i różu, jakby ktoś namalował widok nocnego nieba wokół panoramy budynków. Miasto, które nigdy nie śpi, jest rozbudzone, mruga światłami, trąbi, a ludzie spacerują ulicami, łapiąc pierwsze, skradające się, ciepłe wiosenne promienie weekendu

Stoję przed sklepem pod kolorowym szyldem „*Wonderland Tattoos*”. plecami opieram się o ścianę z cegły. Okna są ciemne, drzwi zamknięte, szyld mówiący o otwarciu zgaszony. Salon jest otwarty siedem dni w tygodniu, zawsze ktoś tatuuje, jedynym wyjątkiem jest dzisiejszy dzień. Ale fakt, że nie jesteśmy w studio nie oznacza, że nie pracujemy. Albo przynajmniej powinniśmy pracować. Patrzę na słabo oświetlony zegarek i stwierdzam, że jest już po siódmej. Oficjalnie jestem już spóźniony. Nawet nie jestem pewien, czy chcę tam iść, ale szczerze mówiąc nienawidzę myśli, że wystawię Kevina do wiatru. Zawsze był przy mnie, a teraz poprosił o przysługę. Przynajmniej mogę mu dać kilka godzin mojego czasu. To będzie pieprzona katastrofa.

Rozważam zostawienie kartki na drzwiach, albo po prostu napisanie kredą informacji, gdy wreszcie widzę ją podążającą ulicą.

*Avery.*

Przyspiesza krok, niemal biegnie, gdy mnie zauważa. Odpycham się od budynku i spotykamy się na chodniku. Ręce mam wciśnięte w kieszenie bluzy, a na głowie naciągnięty kaptur. Avery wygląda oszalamiająco, ma na sobie obcisłe, czarne spodnie, czarny, sportowy biustonosz, na który założyła białą, szeroką koszulkę, opadającą z jej ramienia.

*Idealna.*



Zatrzymuje się przede mną, a ja gapię się na jej odsłonięte obojczyki. Po jej wyglądzie wnioskuję, że jest po próbie... włosy ma związane w kucyk, z którego uwolniły się pojedyncze kosmyki, a jej skóra błyszczy od potu.

– Cześć! – mówi, uśmiechając się radośnie. – Przyszłam tak szybko, jak tylko mogłam.

– Jesteś w samą porę – odpowiadam.

– Masz przerwę, czy coś w tym stylu? – Patrzy na ciemne okna salonu i jaskrawy znak wskazujący na to, że jest zamknięty. – Czekaj! Macie zamknięte?

– Tak.

– Ale dzisiaj jest sobota.

– Wiem.

Marszczy brwi, patrzy na salon, potem na mnie, ale nie stwarza problemów. Poprosiłem, żeby spotkała się tutaj ze mną o osiemnastej trzydzieści, z możliwie jak najmniejszą ilością makijażu i ograniczoną ilością ubrań na sobie. Ku mojemu zaskoczeniu naprawdę zastosowała się do moich próśb, chociaż prawdopodobnie brzmiałem jak idiota, gdy o to prosiłem. Gdybym mógł, powiedziałbym, żeby przyszła nago.

– No to co będziemy robić? – pyta patrząc na mnie.

– Pracować – stwierdzam. – A w zasadzie ja będę pracował.

– Co ja mam wtedy robić?

Łapię ją za rękę.

– Będziesz imprezować.

Robi wielkie oczy.

– Co?

– Idziesz na imprezę, Afrodyto – mówię. – Słyszałaś o czymś takim, prawda?

– Tak. Jasne. Miewałam imprezy urodzinowe.

– Urodziny, hmm? Czy organizowali je dla ciebie rodzice, z tortem, lodami i wszystkimi twoimi koleżankami? Miałyście piżamowe imprezy, podczas których rozmawiałyście o chłopakach i zaplatałyście sobie warkoczyki?

Marszczy oczy, ale nie zaprzecza temu, co powiedziałem.

– Nie jestem ubrana odpowiednio na imprezę, Reece.

– Jesteś idealnie ubrana – stwierdzam, mierząc ją wzrokiem. Idealnie na imprezę w tym stylu.

– Co to za impreza?

– Taka bez prezentów i wypasionych domów – odpowiadam. – Taka o której nie będziesz chciała, żeby dowiedzieli się twoi rodzice.

Patrzy na mnie dziwnie, jakby chciała odmówić, ale zżera ją ciekawość. Widzę to w jej niewinnych oczach.

– Jesteś, uhh... jesteś pewien, że dobrze wyglądam?

– Całkowicie pewien. – Kołyszę się na piętach i patrzę na siebie. – No wiesz... kurwa, spójrz na mnie.

Moje spodnie mają więcej dziur niż szwajcarski ser. Są poplamione tuszem i starą farbą. Trampki mam zdarte, bluza ledwo się trzyma, a moje włosy? Kurwa, nawet nie przeszło mi przez myśl, żeby się uczesać. Są już tak długie, że Lexie spina je w małego kucyka.

– To nie to samo – mówi. – Jesteś... po prostu ty to ty.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że pasuje ci grungowy styl, ale ja wyglądam w tym jakby mnie ktoś przeżuł i wypluł.

Wzdycham i biorę ją za rękę.

– Zaufaj mi. Będziesz tam idealnie pasowała.

Przestaje się opierać, wzdusza ramionami i pozwala się przyciągnąć bliżej mnie, Ściskam jej dłonie, całuję ją lekko, po czym odwracam się.

– Teraz chodź – mówię. – Nie ma czasu do stracenia.

Gdybym to bardziej przeciągał, wyciągnęłaby ode mnie szczegóły. W międzyczasie docieramy do dzielnicy słynącej z pakowania mięsa i jesteśmy spóźnieni jakieś pół godziny. Wychodzimy z metra i kierujemy się wzdłuż odrapanego bloku. Avery trzymam mnie za rękę i jest wręcz przyklejona do mojego boku. Stary magazyn znajduje się na rogu ulicy, masywna ściana z cegły kruszy się od zewnętrznej strony. Okna są zupełnie zaciemnione, a miejsce sprawia wrażenie opuszczonego, ale słyszę dochodzące z wewnątrz, delikatne dźwięki muzyki, gdy podchodzimy bliżej.

Wszystko pokryte jest graffiti. Cholernie to kocham.

– To tutaj? – pyta z wahaniem. – Zabierasz mnie do opuszczonego magazynu?

– Technicznie rzecz biorąc, tak. Z tym tylko, że nie jest opuszczony.

– Wygląda na porzucony – mówi. – Naprawdę sędzę, że kręcili tam jedną ze scen: *Trzynastego, w piątek*.

– Neeee – mówię z uśmiechem. – To dużo bardziej przerażające.

Przechodzimy wzdłuż tylnej części budynku, mijamy dwie, małe, wilgotne alejki, ale koncentrujemy się na schodach, prowadzących do starych, zardzewiałych metalowych drzwi. Znajomy mężczyzna stoi w cieniu, niewidoczny mimo swojej potężnej postury i dbający o ochronę. Avery sapie głośno, tak mocno ściska moją rękę, że wbija paznokcie w moją skórę, gdy zauważa go wyłaniającego się z ciemności. Jay Brandon.

– Hatfield – mówi, patrząc na Avery. – Widzę, że twoja obserwatorka została przy tobie na dłużej.

– Jak tam twój tatuaż, stary.

Jay unosi do góry koszulę, pokazując kostuchę na szerokiej piersi. Wciąż jeszcze ma nieco strupów, ale ładnie się goi.

– Dobrze, jak zawsze.

– Świetnie – mówię, gdy poprawia koszulę. – Zadzwoń do salonu i umówimy kolejną sesję.

– Jasna sprawa. – Otwiera przed nami drzwi.

– Wchodźcie do środka.

To jest kod, który umożliwia przejście przez te drzwi. Hasło wstępu, ale jestem odporny na zaproszenia. W chwili, gdy otwierają się drzwi, muzyka wylewa się w późną noc, głośno wibruje jakaś elektroniczna muzyka, a ściany i podłoga wokół nas wibrują. Prowadzę Avery przez długi korytarz, labirynt ciemności, który stopniowo zostaje rozjaśniony subtelnym, fioletowym blaskiem. Wszystko staje się bardziej intensywne, gdy wchodzimy do głównego pomieszczenia magazynu, która skąpana jest w purpurze ultrafioletowego światła.

– Cholera – mówi Avery, a jej głos ledwo przebija się przez muzykę.

Rytm pulsuje nad nami, wewnątrz magazynu, odbijając się od powierzchni ścian i podłogi. Byłem tu kilka razy wcześniej na zamkniętych imprezach, ale ta jest wyjątkowa. *Wonderland* świętuje swoje piąte urodziny. Kilkadziesiąt osób czeka w piwnicy przy długiej ścianie z luster, przypominającą te w salach przeznaczonych do nauki tańca. Kilka osób tłoczy się przy ustawionych stanowiskach. Na swoją kolej czekają kobiety ubrane w skąpe, białe bikini.

*Body painting.*

Ściskam dłoń Avery, przykuwając tym jej uwagę, uśmiecham się i prowadzę ją do jedyne pustego stanowiska po środku tego chaosu. Kevin zerka znad swojego stanowiska, ma na twarz białą maseczkę ochronną, która osłania go, gdy maluje aerografem korpus modela pomarańczowym, jaskrawym kolorem. Łapie mój wzrok, przerywa to, co robi, siada, ściąga maseczkę. Przez chwilę jest cicho. Wiem, co sobie myśli. Sądzi, że moje wyobcowanie trzyma mnie na dystans.

- Spóźniłeś się.
  - Wiem.
  - Sądziłem, że już nie przyjdiesz.
  - No cóż, jednak jestem.
- Kiwa głową.
- Prawda, jesteś.

Wyraźnie widzę ulgę w jego oczach. Nie musi nic mówić. Wiem, że docenia moją obecność. Ktoś przynosi Avery dodatkowy fotel i siada między mną i Kevinem, a ja zajmuję swoje stanowisko i rozkładam paletę ultrafioletowych farb. Ludzie od razu ustawiają się w kolejce. Wskazuję na pierwszą dziewczynę, jej białe bikini świeci w ultrafiolecie, a skóra połyskuje od złotej farby. Szybko maluję płomienie na jej skórze, złoto-pomarańczowy miks otacza jej brzuch i plecy, morze ognia rozprzestrzenia się w dół jej nóg i ramion. Gdy jest już pomalowana, jej ciało w świetle wygląda jak jaskrawy posąg, odsyłam ją i przywołuję kolejną. To metodyczne, szybkie, jak linia montażowa żywej sztuki. Martin pokrywa farbą modelki i modelów, natomiast ja i Kevin dodajemy różne szczegóły, po czym odsyłamy ich na górę do Ellie, która uzupełnia wszystko makijażem. Są tu też inni artyści zaproszeni na tą imprezę przez Kevina, pracują razem, żeby wszyscy byli pokryci farbą. Gdy kończymy każda osoba jest kierowana na górę, ale natychmiast pojawiają się kolejni zainteresowani. Nie słabnący strumień skąpo ubranych kobiet i mężczyzn z nagimi torsami przepływa przez piwnicę, zatrzymują się tylko przy stanowiskach do body paintingu.

To nie jest tak bardzo skomplikowane, większość modelek ma namalowane na odsłoniętej skórze wirujące, kolorowe wzory. Czas mija, a ja maluję ciało za ciałem. Muzyka jest coraz głośniejsza, gdy kolejna fala ludzi zalewa magazyn. Mijają godziny, a ja pracuję, przerywając od czasu do czasu pomiędzy kolejnymi osobami, patrząc na Avery i ciesząc się jej

zafascynowanym wyrazem twarzy, który przybiera, gdy obserwuje mnie przy pracy. Prawie zatracam się w sztuce. To wywołuje ból w mojej piersi. Gdy zegar wybija północ możemy zamknąć nasze stanowiska. Odwracam się do Avery, już chcę coś powiedzieć, gdy rzuca:

– A ja sądziłam, że jestem wyjątkowa.

Zaskoczony, unoszę brwi.

– Chodzi mi o to, co zrobiliśmy u ciebie – wyjaśnia. – Nie przypuszczałam, że malowanie kobiet masz w standardzie.

*Och.*

– Można powiedzieć, że wyrobiłem sobie nawyk.

– Ile takich dzieł stworzyłeś?

– Ty byłaś pierwsza.

– Ale nie jestem jedyną.

– Och. – Patrzę na nią uważnie. – Czy ja słyszę zazdrość w twoim głosie?

– Oczywiście, że nie – odpowiada szybko z wymuszonym lekceważeniem.

*Zazdrość.*

Bez słowa uderzam lekko w w stół, wskazując, żeby do mnie podeszła. Robi wielkie oczy, w których widzę niepewność. Podchodzi, zajmując miejsce. Ściągam jej koszulkę, rzucam w bok i patrzę na jej sportowy stanik i legginsy. Nie odsłania zbyt wiele skóry, ale to mi wystarczy do pracy. Nie spieszę się, tworzę skomplikowany, neonowy wzór na jej skórze, oznaczam ją ultrafioletową supernową. Może nie jest moją jedyną, ale była pierwszą i też ostatnią. Gdy kończę, wstaję i patrzę na nią z góry. Pochylam się i szepczę jej do ucha.

– Jesteś wyjątkowa.

– Naprawdę?

Pytanie jest nieśmiałe, podszyte prawdziwą ciekawością, co widać w akcentowaniu poszczególnych sylab. Ta niepewność mnie zaskakuje, w jej oczach jest pytanie, jakby nie była pewna, co powinna zrobić. Wiem, co to jest. Sceptycyzm. Ta kobieta jest chodzącą i mówiącą boginią, aniołem w przebraniu. Patrzy na mnie jakby się obawiała, że zobaczą ją prawdziwą. Ale ja ją widzę... no dobrze... pierwszy raz zauważyłem ją, gdy pojawiła się w salonie, od tego momentu widziałem ją zawsze, a na pewno widzę ją teraz. A może to wszystko jest wyłącznie w mojej głowie, ale jestem przekonany, że widziałem ją nawet wtedy, gdy malowałem graffiti na budynku studia tańca należącego do jej ojca. Uśmiechnęła się, gdy to zobaczyła. To było piękne.

Obejmuję dłonią jej policzek, przesuwam kciukiem po dolnej wardze, po czym pochylam się i ją całuję. Nie spieszę się, całuję ją delikatnie, słodko. Czuję jak relaksuje się przy mnie. W końcu odsuwam się, gwizdy dochodzące z boku burzą naszą chwilę. Uśmiecham się, całuję ją jeszcze kilka razy, to niewinne, małe cmoknięcia, po czym biorę ją za rękę i ciągnę z dala od stanowiska.

– Spadam, Kevin.

Salutuje mi i odpowiada.

– Do zobaczenia po drugiej stronie.

– Gdzie idziemy? – pyta Avery, gdy prowadzę ją przez piwnicę, przeciskając się przez czekający nadal tłum.

Ludzie witają się ze mną, byli klienci zwracają się do mnie po imieniu. Uśmiecham się i kiwam głową na powitanie, gdy przechodzimy obok nich. Gdy jesteśmy w pobliżu schodów, ciągnę Avery przed siebie. Prowadzą do magazynu, muzyka jest tu głośniejsza, intensywna do tego stopnia, że mogę poczuć pulsujące komórki mojego ciała, gdy krew szybciej płynie w moich żyłach.

– Do króliczej nory – szepczę jej do ucha, odsuwając na bok włosy.

Magazyn jest ciemnofioletową przestrzenią poprzeczaną neonami. Setki ciał wypełniają przestrzeń, świecąc w ultrafiolecie. Z przodu ogromnej sali DJ miksuje muzykę, która gorączkowo wylewa się z głośników. Światło stroboskopu sporadycznie miga w rytm muzyki, co na chwilę omiata pomieszczenie jasnym blaskiem, po czym znowu zapada ciemność. Avery zatrzymuje się w wejściu, spina się i obserwuje otoczenie.

– Na co czekasz? – pytam, namawiając ją do ruchu. – Nie chcesz zatańczyć?

Odwraca się w moim kierunku i patrzy szeroko otwartymi oczami.

– Co?

– Taniec – powtarzam wskazując na parkiet. – Miałem wrażenie, że taniec jest czymś ważnym dla ciebie.

– Jest – odpowiada. – Ale nie *taki* rodzaj tańca.

– Co złego jest w takim rodzaju tańca?

– Nic, ale ja pracuję z choreografią, Reece. Tańczę balet.

– No i?

– Nie umiem improwizować.

Śmieję się z jej nedorzecznych obaw.

– Przede wszystkim, to nie jest improwizowanie... to jest impreza z ultrafioletem, A taniec to taniec. Czujesz muzykę i się ruszasz. Nie myśl o tym. Sztuka jest sztuką, kochanie. Po prostu poczuj to.

Patrzy na mnie sceptycznie, po czym odwraca się i przygląda tłumowi.

– Zawsze zajmowałam się tylko baletem.

– Jeżeli to co pomoże, dam ci coś na rozluźnienie.

– Na przykład narkotyki?

– Miałem na myśli drinka, ale jeżeli chcesz coś mocniejszego, to jestem przekonany, że jest tutaj kilka osób...



– Oczywiście, że nie – syczy, przerywając moją wypowiedź. – Tylko...  
No nie wiem.

Kręcę głową, łapię ją za rękę i wciągam w tłum. Nie opiera się, pozwalając prowadzić się przez pomieszczenie do baru umieszczonego przy ścianie. Stoi tam część modeli, wszyscy piją alkohol.

Tutaj nie ma fantastycznych drinków z martini albo pieprzonych cosmopolitan. Żadnej waty cukrowej, bez względu co to do cholery jest. Tutaj jest zwyczajny alkohol, można wybrać jakiś tani, gówniany alkohol albo wodę mineralną. Ale dzisiaj wszystko jest za darmo, a żebracy nie wybrzydząją.

*Pić czy nie pić.*

Przestaję czekać na drinki, wchodzę za bar i przechodząc obok obsługi łapię butelkę wódki i nalewam dwie podwójne porcje. Jeden z nich przesuwam do Avery, swoim kieliszkiem stukam w jej szkło, po czym wypijam alkohol. Płyn wypala mi gardło, ale ogień idzie w głąb piersi, rozgrzewając mnie od środka. Słyszę, że Avery krztusi się, przełykając trzy razy, zanim się uspokaja.

– O Boże. – Wstrzymuje oddech. – To smakuje jak spirytus medyczny do nacierania.

– Może tak być – żartuję, odstawiając kieliszek na barze. – Chcesz kolejnego?

– Nie, mam dość – odpowiada, odwraca się ode mnie i wpatruje w tłum. – Nigdy w życiu nie wypiję tego paskudztwa.

Wiem, że jest nieco wstawiona, jej postawa jest bardziej rozluźniona i kołysze głową w rytmie muzyki.

– Chodź – mówię. – Zatańcz ze mną.

– Nie wiedziałam, że tańczysz.

– Bo nie tańczę – mówię. – Ale ktoś mi kiedyś powiedział, że dla odpowiedniej kobiety można zrobić wszystko.

Rumieni się w reakcji na moje słowa, ale kiwa głową. Odpycha się od baru, pozwalając wprowadzić w tłum. Zamieramy bez ruchu po środku parkietu, otoczeni przez ciała innych osób, nad nami miga światło, jej skóra lśni, gdy przyciągam ją ponownie do siebie i kładę ręce na jej biodrach.

– Zamknij oczy – szepczę jej do ucha. – Poczuj to.

Utwór jest rytmiczny, wibracje ogarniają całe pomieszczenie. Avery zaczyna powoli, delikatnie kołysząc się przy dźwiękach muzyki. Nie umiem tańczyć, jestem tak cholernie nieskoordynowany, że ledwo zdaję test na obecność alkoholu w organizmie w sytuacji, gdy jestem trzeźwy jak świnia. Ale to mnie zupełnie nie interesuje. Ruszam się w rytm piosenki, doskonale wpasowując się w ciemność, jakbym w ogóle nie istniał. Przeszywa mnie dreszcz, gdy Avery przyciska się do mnie i ociera o mojego fiuta. Muzyka się zmienia, piosenki mieszają, rytm staje się już znajomy. Avery rozluźnia się jeszcze bardziej, gdy wszyscy wokół reagują na melodie, zatracając się w utworzy, jakby złapali *Ducha Świętego Dupstepu*. Chwalmy pieprzonych Skrillexów. Wirują wokół, ruszają się dziki, objają i łączą, rozdzielając się wewnątrz tłumu.

Jej ruchy stają się bardziej wyraziste, wszystkie wątpliwości, gdy wyrzuca je przez okno razem ze skromnością, gdy się relaksuje i po prostu czuje muzykę. Po krótkiej chwili dołącza do pozostałych imprezowiczów, ponosi wysoko rękę i podskakuje na palcach, obraca się i skacze w rytmie muzyki, mieszając balet i jakiś jeszcze pieprzony rodzaj tańca.

To jest sztuka.

*Jej sztuka.*

Została stworzona do tego gówna. Jej uśmiech jest tak jasny, że mógłby oświetlić ciemną salę i ogrzać najzimniejszą duszę. Czuję, że moje serce rośnie trzykrotnie, gdy na nią patrzę. Przez całą noc, aż do wczesnego poranka, zatracam się w niej, gdy daje się pochłonać muzyce. Nie istnieje dla niej nic

prócz melodii... nie jestem nawet pewien, czy ma świadomość, że wymknąłem się, żeby się napić i porozmawiać z Kevinem albo Ellie, ale to nie ma znaczenia. Ani trochę mi to nie przeszkadza. Pierwszą miłością mojej dziewczyny jest taniec. I kocham ją za to.

*Kurwa, kocham ją.*

Taka jest rzeczywistość, jak uderzenie w twarz, z tym tylko, że tym razem to bardziej kopniak. Zalazła mi za skórę, odnalazła drogę do mojej klatki piersiowej i zakradła się prosto do serca. Nawet nie zdążyłem zaprotestować. Niezły bałagan.

– Jesteś popieprzony – mówi Kevin, opierając się plecami o bar i popijając wodę.

Staję obok niego, piję tanią wódkę prosto z butelki, a wzrok mam wlepiony w Avery na parkiecie. Pomimo ciemności, wiem która to Avery... jest na niej mój znak. Jutro już się zmyje, ale dzisiaj jest.

– Wiem – odpowiadam, bo tak jest.

Wiem. Jestem popieprzony.

Kevin śmieje się i szturcha mnie w ramię.

– Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie, Hatter. Nie myślałem, że dożyję tego dnia. – Odchodzi, ale cały czas się śmieje.

Biorę kolejny łyk wódki z butelki, po czym stawiam ją na barze i ruszam z powrotem na parkiet. Avery jest spocona, jej ciało i włosy są wybrudzone farbami. Tłum maleje, alkohol wyparowuje, a noc powoli zmienia się w poranek. Odwraca się do mnie, jej oczy są jasne i dzikie. Już wcześniej widziałem ją szczęśliwą, ale teraz wygląda jak ktoś, kto po raz pierwszy zobaczył słońce. Jakim cudem, do cholery, przeżyłem tyle czasu w ciemności?

Nie wiem, może to bzdura, ale mówi się, że van Gough jadł żółtą farbę, ponieważ uważał, że to przyniesie mu szczęście. Twierdzą, że był szalony, a dowodem na to szaleństwo ma być jego zniknięcie, ale ja w to nie wierzę.

Uważam, że skoro to zrobił, był mocno zdesperowany. Patrząc na nią wiem, że jest moją żółtą farbą. Jest moim wewnętrznym szczęściem. Nie jest szaleństwem chęć pochłonięcia tego i zachowania tego uczucia na wieki.

– Łał! – Wzdycha, jej głos jest spięty. – Teraz to jest impreza.

– Lepsza od wszystkich przyjęć urodzinowych?

Przytula mnie, promienieje i patrzy w moje oczy, jednocześnie przebiegając palcami przez moje włosy na karku.

– Myślę, że tamte nawet nie zasługiwały na takie miano.

Śmieję się lekko.

– Cieszę się, że ci się podoba.

– Bardzo – mówi szczerze. – Gdy jestem z tobą, mam wrażenie, że znajduję się w zupełnie innym świecie, w rzeczywistości, o której nie wiedziałam, że istnieje... Nie wiedziałam, że to może to wyglądać, że *ja* mogę żyć w ten sposób.

– Dlatego nazywają to „*Krainą Czarów*”, Afrodyto. – Jej uśmiech promienieje. – To coś więcej... to cała ty.

– Czy mogę zobaczyć więcej twoich obrazów?

Patrzę w dół, na podłogę w salonie, gdzie naprzeciwko kanapy leży Avery. Jej długie włosy są rozpuszczone i rozrzucona na dywanie, kolana i ramiona ma szeroko rozstawione. Jedno z nich owinęła wokół mojej nogi i palcami bezwiednie przesuwa po materiale dżinsów. W drugiej ręce trzyma do połowy opróżnioną butelkę taniej wódki. Na jej ciele nadal pozostaje nieco farby po imprezie. Po drodze straciła większość ubrań. Za cholerę nie mam pojęcia co się z nimi stało. W jednej chwili były, w następnej zniknęły. Ma na sobie czarne matki i sportowy stanik. W sobotnie wieczory na ulicach widuję bardziej skąpo ubrane kobiety, ale jakimś cudem w jej przypadku wydaje mi się

cholernie nieprzyzwoite. Jakaś część mnie chce ją zakryć, ale druga kompletnie się od tego dystansuje.

– Moje obrazy? – pytam. – Jakie obrazy?

Kiwa głową w moim kierunku.

– Twoje obrazy.

Patrzę na nią zmieszany, gdy uświadamiam sobie, że wskazuje na obraz wiszący na ścianie za kanapą. Czasami zapominam, że to cholerstwo wciąż tam jest.

– Ach. – Odwracam się i biorę łyk piwa. – Nie mam nic więcej do pokazania.

– Dlaczego?

Wzruszam ramionami, mając nadzieję, że odpuści, jeżeli nie odpowiem. Biorę łyk swojego piwa, ale gdy odkładam pustą puszkę na stół i patrzę na nią, widzę, że oczekuje odpowiedzi.

– Czy byłaś kiedyś tak bardzo czymś sfrustrowana, że chciałaś to rozerwać na kawałki, zrobić z nich stos i podpalić?

– Bridgett.

Śmieję się z jej odpowiedzi.

– Pytam poważnie.

– Nie – mówi po chwili ciszy, jakby się naprawdę nad tym zastanawiała. – Nie miałam takiej sytuacji.

– Cóż, ja miałem. I właśnie to zrobiłem. Zniszczyłem wszystko, z wyjątkiem tego gówna. – Macham ręką w stronę wiszącej akwareli. – Tylko tyle zostało.

– Naprawdę zniszczyłeś wszystko? – pyta podpierając się na łokciach, żeby mnie lepiej widzieć. – Dlaczego to zrobiłeś?

Kręcę głową.

– Nie zrozumiesz.

– Dalej, sprawdź mnie.

Chcę tego. Chciałbym tylko wiedzieć jak to zrobić. Żałuję, że nie umiem znaleźć słów, żeby wyjaśnić jak się czułem, gdy widziałem te prace, które przypominały mi o facecie, którym mogłem zostać i jednocześnie wiedziałem, że nigdy nie spełnię tego marzenia. To było jak zabawa w dom ze świadomością, że nigdy na niego nie zasłużę... uśmiechanie się w sytuacji, w której tak naprawdę chcesz tylko płakać. To uczucie z którym budzisz się rano i wstajesz z łóżka, gdy tak naprawdę chcesz się wczłgać z powrotem pod kołdrę i odpłynąć. Gdy się nad tym zastanawiam, mam wrażenie, że moi rodzice mieli rację twierdząc, że osoba, którą się stałem nie jest godna oddychać powietrzem, które utrzymuje mnie przy życiu.

– To było jak spotkanie twarzą w twarz z najgorszym z możliwych strachów – mówię cicho. – I nie byłem wystarczająco, żeby dzień po dniu poradzić sobie z tym.

– Ale ten zachowałeś.

To nie jest pytanie, ale słyszę w jej głosie ciekawość, jakby chciała znać odpowiedź, ale bała się zapytać. W ciemności raz jeszcze patrzę na obraz.

– Namalowałem to w dniu narodzin mojej córki – mówię. – Namalowałem go o niej... dla niej. Nie mogłem się zmusić, żeby go zniszczyć. Cały czas się martwię, że ją zniszczę.

Avery przewraca oczami.

– Nie, nie zrobisz tego.

– Nie przece...

– Nie. Wiem swoje – mówi głośno, jej słowa są nieco niewyraźne, gdy mnie ucisza. – Doskonale wiem jak to jest, gdy chcesz, żeby rodzice zaakceptowali cię takim jakim jesteś. Prawdę mówiąc, dzieci chcą tylko tego. Jak sam doskonale wiesz, czasami chcą też naleśniki z czekoladą albo narysowanego dinozaura na ramieniu, ale dlaczego miałyby tego nie mieć? Na

początku tak tego nie odbierałam, ponieważ nie tak byłam wychowywana przez rodziców. Często mówili mi *nie*, ponieważ uważali, że wiedzieli co było dla mnie najlepsze... i może wiedzieli, może mieli dobre zamiary, ale czasami dobrze jest powiedzieć *tak*. Może nie jesteś ideałem, ale sprawiasz, że jest szczęśliwa... a swoją drogą, to jest zupełnym przeciwieństwem destrukcji.

Nie wiem co powiedzieć, ani jak się czuć po tym, co powiedziała... to skręca moje wnętrze i nie jest czymś, czym chcę się zajmować dzisiaj wieczorem... albo kiedykolwiek później. Jestem wystarczająco zakręcony w swoich uczuciach do niej. Zatem zamiast odpowiedzieć wstaję, biorę pusty kufel po piwie i robię krok, żeby odejść. Szybko łapie moje nogi, zatrzymując mnie na miejscu, gdy próbuję zrobić krok, ciągnąc ją lekko ze sobą. Zatrzymuję się i patrzę w dół, gdzie lekko pijana zaczyna się śmiać. Próbuje się opanować, ale bez skutecznie i ponownie zaczyna się śmiać, gdy szarpie za moją nogę, prawie pozbawiając mnie równowagi.

– Nie odchodź!

– Idę tylko po kolejne piwo – mówię, pokazując swój pusty kufel.

– Nieprawda, starasz się unikać rozmowy – mówi, puszczając moją nogę, ale ciągnie temat dalej. – Robisz to... no wiesz... zawsze to robisz, gdy zaczynam mówić o takich rzeczach. – Wskazuje na mnie palcem. – Wiem, że tak jest.

Patrzę na nią i obserwuję, jak podnosi do ust butelkę wódki i bierze łyk. Krzywi się i wypluwa alkohol, jakby nie zdawała sobie sprawy czego się napiła. Kręcę głową, pochylam się i zabieram od niej butelkę, odkładam na bok i staram się postawić ją na równe nogi. Potyka się, śmieje się jeszcze mocniej i zaplata ramiona wokół mojej szyi, zanim udaje mi się odejść. Pachnie potem i alkoholem, oraz nutą czegoś innego...

*Farbą.*

To odurzające.

– Chcę, żebyś namalował mnie jak jedną z twoich francuskich dziewczyn  
– szepcze żartobliwie, z ustami tuż przy moich.

Śmieję się i kładę ręce na jej biodrach.

– Już pomalowałem cię... dwa razy.

– Malowałaś na mnie – mówi. – I wiesz, wtedy to widziałam. Widziałam to dzisiaj i poprzednim razem też.

– Co widziałaś?

– Ciebie. Twoją pasję. Wyglądałeś na ożywionego, tak jakby była w tobie jakaś iskra... coś, co masz, gdy tworzysz sztukę.

– Wydaje ci się.

– Nie, nie wydaje mi się – odpowiada. – Wiem, co widziałam. Nie ma mowy o pomyłce. Wyglądałeś, jak zakochany facet, Reece.

Te słowa zrobiły z moim sercem rzeczy, które nie sądziłem, że jeszcze kiedyś poczuję.

*Miłość.*

Można powiedzieć, że kocham sztukę. Zdecydowanie kocham moją córkę. Jeżeli złapiesz mnie podczas wolnego dnia, mogę nawet zadeklarować miłość do potrzeby zapalenia papierosa. Często myślałem, że kocham cipki, czasami piwo sprawia, że tak właśnie myślę, ale kochać kobietę? Pieprzyć to. Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie. Ale jednak to fakt. Dopadło mnie, gdy nie zwracałem na to uwagi. Zakradło się w nocy do sypialni, żeby zaprosić ją do mnie, a ja nawet nie jestem w stanie określić kiedy to się tak naprawdę stało i dlaczego. Zaczęło się od tego, że chciałem malować na jej skórze, ale teraz... teraz zaczyna być wszystkim.

– Może jestem – szepczę pochylając się i lekko całując jej usta, smakując z nich alkohol.

– Może jesteś co? – mruczy.

Zakochany... jak sądzę.



Oddaje pocałunek i przeczesuje palcami moje włosy. Nie naciska na odpowiedź. Myślę, że już zapomniała o swoim wcześniejszym pytaniu.

## TRZYNASTY

Brzęczenie wypełnia salon, mieszając się z dźwiękami jakiegoś nowego, lokalnego hinduskiego zespołu. Po raz kolejny, jak codziennie nie mam wpływu na wybór muzyki. Tym razem to wybór Kevina. Nuci do dźwięków iPhona, podłączonego do głośnika i jakiegoś niszowego streamu nadawanego z miasta. Jest sobota i technicznie rzecz biorąc mam wolny dzień. Powinienem być z Lexie, miałem z nią spędzić czas, ale się rozchorowała. Albo *prawdopodobnie* się rozchorowała. Rebecca zadzwoniła do mnie i odwołała mój weekend z córką, ponieważ Lexie nie czuje się najlepiej. Powiedziałem jej, że równie dobrze mogę się nią zająć u siebie w domu, ale jej argumenty o moim egoizmie sprawiły, że odpuściłem.

*Jaki ojciec będzie ciągał chore dziecko o tak późnej porze? Co z ciebie za człowiek, Rhys? Dlaczego zawsze myślisz o sobie, a nie o niej? Dlaczego nie pozwolisz jej zostać w domu i przespać choroby?*

Nie trzeba dodawać, że jestem cholernie rozdrażniony i znudzony bez córki na weekend. Taka przerwa jest dla mnie czymś niespotykanym. A na dodatek przez cały tydzień prawie nie widziałem się z Avery. Po naszym wypadku na imprezę z okazji rocznicy *Wonderland* wpadła tylko raz, była zajęta pracą nad choreografią i nie miała czasu na wizyty u mnie. Powiedziała, że nareszcie wymyśliła co chce zrobić z choreografią. Rozumiem, oczywiście... gdy dopada cię wena, idziesz za nią... ale, cholera, jakaś część mnie i tak tego nienawidzi. Przyzwyczailem się do jej obecności.

Wzdycham, zamykam oczy i czuję rozprzestrzeniające się drgania w klatce piersiowej. Dawno temu wkradło się tam odrętwienie, irytujący, mały ból,

jakby drapanie kocich pazurów. Bywało gorzej. Cholera, gorsza była Lexi, gdy starała się mnie obudzić wczesnym rankiem.

Na szczęście Kevin ma lekką rękę, więc w zasadzie nie czuję igły. Po chwili szum ustaje, a Kevin wyłącza maszynkę.

– Zobacz, stary.

Otwieram oczy i patrzę w dół na swoją klatkę piersiową, gdzie jest teraz narysowany T-Rex. To całkowicie kłóci się z moimi pozostałymi tatuażami, ale sprawia, że się uśmiecham. Kevin przyczepia wzór do ściany w mojej pracowni. Lexie to narysowała.

– Wygląda świetnie.

– Nie chcesz się zobaczyć w lustrze?

– A muszę?

– Pewnie, że nie.

Wstaję i łapię swoją koszulkę, gdy Kevin żartobliwie robi mi wykład o sposobie dbania o tatuaż, traktując jak każdego innego klienta. Zrobił większość moich tatuaży, począwszy od pierwszego, który powstał w dniu otwarcia salonu. Byłem pierwszym klientem na jego fotelu. Pozwolił mi wystartować w tym biznesie, dając szansę w gorącej wodzie kapłanemu przestępcy. Mógł zrobić z mojego życia piekło, a zamiast tego docenił moją indywidualność. Dał mi szacunek, którego ja mu nie okazałem.

Nie miałem pojęcia co będzie w tym budynku. Gdy zobaczyłem go po raz pierwszy nadal był pusty, a na zewnątrz widoczny był jedynie napis: *Wonderland*. Iskrzyło od wołającej do mnie inspiracji. W środku nocy zdewastowałem to miejsce. Gdy zjawił się następnego ranka, zastał swój salon pokryty murałem „*Po drugiej stronie lustra*” oraz mnie tuż obok, zakutego w kajdanki. Zostałem złapany. Zmarnowałem przy tym zbyt dużo czasu. Zatraciłem się w sztuce i zapomniałem o całym świecie, dopóki nie zjawiła się policja.

Przyklejam opatrunek na świeżą ranę. Przerzucam przez ramię koszulkę, nie przejmuję się jej zakładaniem.

Kevin był jednym poszkodowanym, który nie wniósł przeciwko mnie oskarżenia. Wnioskował jedynie o to, żebym usunął graffiti. Zrobiłem to w ramach moich pierwszych prac społecznych. Usunąłem własne dzieło. Od tamtej pory stara się mnie namówić, żebym namalował je raz jeszcze.

– No to ile ci wiszę? – pytam.

– Sam wiesz lepiej, Hatter. Nie o twoją kasę mi chodzi.

Jest też jedynym, który wciąż używa mojej starej ksywy Hatter.

*Hatter, the Mad Tatter.*

Za każdym razem, gdy to mówi przewracam oczami. Odwracam się do wyjścia, gdy zauważam czekającą tam Ellie z terminarzem w dłoni.

– Kevin, dzwonił twój kolejny klient i pytał, czy możemy go przesunąć o godzinę. Masz potem wolne, więc potwierdziłam tą zmianę.

– Spoko – mówi Kevin, wzruszając ramionami.

Ellie patrzy na mnie.

– Mamy też kogoś z ulicy.

– No i? – pytam. – Dlaczego mi to mówisz?

– Pomyślałam, że może chciałbyś to zrobić.

Kręcę głową.

– Dzisiaj nie pracuję.

– Mogę się tym zająć – rzuca od niechcienia Kevin i czyści swoje stanowisko. – Mam wolną godzinę do zabicia.

*Dobrze.*

Prześlizguję się obok Ellie i ruszam w kierunku poczekalni, w której grupa dziewcząt gromadzi się przy ekranie, przeglądając wzory tatuaży. Wszystkie szepczą i chichoczą. Przyglądam się im i wchodzę do swojego

pokoju z zamiarem nadgonienia papierkowej roboty, skoro już tu jestem, gdy jedna z nich głośno komentuje:

– Och, to ten, który ja mam! – Ten głos wydaje mi się dziwnie znajomy.

Odwracam się, patrzę na dziewczyny. Mój wzrok zatrzymuje się na blondynce. Blondynka... znam ją. Szybko przypominam sobie skąd.

*Bridgette.*

Nie znam dwóch pozostałych dziewczyn, ale rozpoznaję Bridgette, spod wyciętej koszulki widać fragment jej tatuażu na piersi. Natychmiast wracam do gabinetu Kevina, gdzie w drzwiach nadal stoi Ellie.

– Ellie, jak ma na imię klientka z ulicy?

– Uhm... – Ellie sprawdza terminarz. – Michelle. Blondynka przypominająca srogą bibliotekarkę.

– Brzmi nieźle – żartuje Kevin.

– Widzisz – mówi Ellie zamykając terminarz i szturchając mnie w ramię.

– Zawsze wiedziałam, że wy faceci lecicie na te dziwne laski.

Zerkam w kierunku poczekalni, widzę szczupłą blondynkę z włosami upiętymi w ciasny kok. Bibliotekarka? Nie. Tancerka?

*Zdecydowanie.*

Odwracam się do Ellie i patrzę ponad nią na Kevina.

– Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeżeli jednak zajmę się klientką z ulicy?

– Bardzo proszę – odpowiada Kevin. – Będę miał czas, żeby coś zjeść.

Płynąć z prądem. Za to uwielbiam Kevina.

Ellie patrzy na mnie podejrzliwie, ale ignoruję ją, zakładam koszulkę i idę do poczekalni w kierunku trzech oczekujących kobiet.

– Panie.

Wszystkie w tym samym czasie podnoszą wzrok, cichną ich szepty i chichoty, rzucają mi rozmarzone spojrzenia. Bridgett robi krok do przodu, zdecydowanie przewodzi grupie.

– Hej! Pamiętasz mnie?

– No jasne – odpowiadam. – Dziewczyna Johnny’ego.

Jej twarz promienieje.

– Pamiętasz mnie! Czuję się wyjątkowa.

*Niepotrzebnie* – myślę. *Pamiętam cię tylko ze względu na Avery.*

– Zatem, która z was, piękne panie, to Michelle?

– Ja – przyznaje blondynka z kokiem.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Chcę małą kotwicę – mówi. – Z wkomponowanym słowem „niezatapialna”.

Nic ze ściany.

*Dzięki Bogu.*

Ale nie jestem pod wielkim wrażeniem jej wyboru tatuażu.

– Wiesz co naprawdę oznacza kotwica, prawda? Zanurzenie.

Chichocze.

– Oczywiście. To metafora.

Nie drażę tematu. Nie jest pierwszą osobą, która prosi o coś takiego i nie będzie ostatnią. To zaczyna być modne, podobnie jak chińskie znaki, tribale, czy znak nieskończoności.

*Dla każdego coś dobrego.*

– Usiądź, a ja to narysuję dla ciebie.

To zajmuje mi niecałe dziesięć minut. Wracam do poczekalni, wszystkie trzy siedzą ściśnięte na kanapie i przeglądają stare magazyny. Pokazuję Michelle rysunek i gdy zatwierdza projekt, przenoszę go na szablon. Potem

prowadzę je do mojej pracowni, dostawiając dodatkowe krzesło dla trzeciej z nich.

– Wybierz muzykę – mówię do Michelle.

Wybiera coś z repertuaru, który lubi Lexie, jakiś wesoły, oczywisty pop z podrasowanym dźwiękiem. Michelle siada i kładzie rękę na podłokietniku, ponieważ tatuaż chce mieć na nadgarstku. Nakładam wzór i ponownie upewniam się, że wszystko akceptuje, po czym włączam maszynkę i zabieram się do pracy.

– Zatem czym się zajmujesz? – pytam od niechcena, tak jak często mam w zwyczaju zagadywać klientów, żeby odwrócić ich uwagę od tatuowania, ale tym razem mam ukryty motyw.

*Kiedy, do cholery, stałem się plotkującą licealistką?*

– Jestem tancerką – mówi Michelle. – Podobnie jak Mandy.

Chwilę patrzę jej w oczy i marszczę brwi.

– Kto?

– Mandy – powtarza, wskazując na cichą dziewczynę stojącą przy drzwiach, która jest jej drugą przyjaciółką.

– Acha. – Skupiam się na tatuażu. – Czy ty też jesteś tancerką, dziewczyno Johnny’ego?

Bridgette chichocze.

– Nie, jestem aktorką, pracuję w teatrze.

– Hmm, to świetnie.

– Tak – odpowiada. – Zobaczysz kiedyś moje imię w światłach jupiterów. Jak tylko skończę szkołę, zamierzam podbić Brodway.

– Kończysz Juilliard, prawda?

– Tak – odpowiada nieco oszołomiona. – Skąd wiesz?

Wzruszam ramionami.

– Gdzie indziej spotykają się aktorzy i tancerze?

Prawdopodobnie jest sto innych takich miejsc w tym mieście. Skąd mam to do cholery wiedzieć? Po jej reakcji dla mnie jest jasne, że nie ma pojęcia o mnie i Avery, ani o tym skąd wiem, gdzie studiuje.

– Zaczęliśmy się przyjaźnić na pierwszym roku – wtrąca Michelle. – Aż trudno uwierzyć, że to prawie koniec.

– A co z Johnnym? – pytam. – Czym się zajmuje?

– Jest członkiem zespołu.

– Hmm, na jakim instrumencie gra? Fortepian? Obój? Trąbka?

Bridgette się śmieje.

– Na gitarze.

– W Juilliard uczą gry na gitarze?

– Nie. Jest członkiem zespołu, nie orkiestry. Gra na basie w *Black*

*Derringers*.

Nie mam pojęcia co to jest i szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. Próbuję jedynie nawiązać jakąś rozmowę. Więc uśmiecham się i kiwam głową, gdy obiecuje, że znajdzie sposób, żeby podrzucić mi ich najnowszy singiel nagrany na kasetę i czekam na okazję do ponownej zmiany tematu.

– Zatem, gdzie jest twoja kolejna przyjaciółka? – pytam.

– Która?

– Ta, z którą przyszłaś poprzednio.

– Och, mówisz o A!

Michelle śmieje się i wtrąca się.

– A? Jejku, zabrałaś ze sobą Avery?

– Tak – odpowiada Bridgett. – Uwierzysz? Naprawdę przyszła ze mną.

Patrzę w górę, moje zmysły się wyostają, włosy na karku stają dęba w geście obronny wymieszany z ciekawości, chce kurwa wiedzieć, co to znaczy.

– A co jest nie tak z Avery?



*Tak, później muszę sprawdzić i upewnić się, że moje jaja są nadal na swoim miejscu...*

– Nic... Po prostu jestem zaskoczona, że tutaj przyszła. – Michelle patrzy na mnie. – Bez urazy, ani nic z tych rzeczy, ale Avery... cóż... to w zasadzie nie jest w jej stylu. Jej ojciec zszedłby na zawał, gdyby dowiedział się, że postawiła tu nogę.

Jej słowa nie są złośliwe, ale kłuje mocno.

– O Boże, możesz go sobie tutaj wyobrazić? – pyta z uśmiechem Bridgett.  
– Wielki Laurence Moore odwiedza slumsy na Lower East Side.

– Wykorzystałby całą butelkę płynu do dezynfekcji rąk zanim przeszedłby przez drzwi. – Michelle odwraca się do mnie ponownie. – Nie mówię, że tu jest pełno zarazków, czy coś...

– Po prostu facet jest sztywniakiem – dodaje trzecia dziewczyna.

Monica? Mary? Nie pamiętam już jej imienia.

– Prawdziwym snobem. Naprawdę szurnięty – poważnie dodaje Bridgett.

– Ale i tak... nie wiem, gdzie jest Avery.

– Jest w Trouvaille – mówi Michelle. – Ćwiczy z grupą. Też miałam tam być, no ale jestem tutaj...

– Nie widziałam jej ostatnio za często – mówi Bridgette. – Myślę, że to dlatego, że Moore nie chce, żebyśmy się przyjaźniły. Najwidoczniej jestem na jego cholernej liście.

– Ja pewnie też – dodaje Michelle. – Gdy zobaczy ten tatuaż, prawdopodobnie da mi zakaz wstępu do studia.

– Nie jest fanem sztuki zdobienia ciała? – pytam.

– Wcale – przyznaje Michelle. – Poważnie traktuje wszelkie modyfikacje, uważa, że naruszamy świętość naszych ciał. Nawet nie pozwoliłby Avery na przekłucie uszu. Uważa, że gdyby Bóg chciał, żeby miała więcej dziur, to by jej dał.

Nieświadomie poruszam językiem i przesuwam nim wzdłuż piercingu w dolnej wardze. Nic więcej nie mówię, jestem wdzięczny, gdy zmieniają temat. Koncentruję się na pracy, nie skupiam się na ich rozmowie. Przytakuję i mruczę pod nosem tylko wtedy, gdy któraś z nich zwraca się bezpośrednio do mnie. Kończę, wyłączam maszynkę i odsuwam swój stołek.

– No i jak ci się podoba?

– Jest idealny! – wydaje z siebie pełen ekscytacji pisk i przygląda się tatuazowi. – Dziękuję!

Zostawia niezły napiwek, dziewczyny śmieją się i plotkują, po czym wychodzą z salonu.

Przez chwilę siedzę na taborecie, w tle nadal gra muzyka, ale w zasadzie jej nie słyszę, zatracam się w swoich własnych myślach. Odpalam płomień zapalniczki i zapalam papierosa, wkładam go między usta i wychodzę z salonu. Jest niemal ciemno, właśnie skończyłem i uciekam przed Ellie, która gotowa jest skierować do mnie kolejnego klienta z ulicy.

To najcieplejszy wieczór jaki mieliśmy od dłuższego czasu, powietrze jest wilgotne. Idę i podciągam rękawy bluzy aż do łokci. Ludzie biegną obok, ale mi się nigdzie nie spieszy. Dochodzę do końca budynku, zatrzymuję się na rogu i rozglądam dookoła. Słońce zachodzi, rzucając cienie na ulicę. Biorę głęboki oddech, moja klatka piersiowa płonie od wewnątrz, gdy zaciągam się dymem. Mój wzrok dryfuje na plac budowy znajdujący się po drugiej stronie ulicy. Nadal wygląda to tak, jakby nic tam nie zrobili, ale ciekawość mnie zżera. Starłem się ją ignorować, ale tydzień temu uniosłem plandekę i wszedłem sprawdzić co się tam dzieje.

Zastanawiam się...

Zawracam, przechodzę przez ulicę, idę w kierunku budynku, przyglądając mu się bliżej. Jest otoczony drewnianym ogrodzeniem, ale łatwo się dostać do środka, ponieważ część z przęseł jest połamana, jakbym nie był pierwszą osobą,

która miała pomysł, żeby tam zajrzeć. Drewniane drzwi do budynku są niepotrzebnie zamknięte, ponieważ i tak brakuje szyby w ich górnej części. Wkładam rękę do środka, naciskam ramieniem i blokada puszcza, popycham drzwi ramieniem i wchodzę do środka, upewniając się, że zamykam za sobą.

Powietrze jest duszne i czuć je stęchlizną. Śmierdzi jak szczurze gównu, słyszę gryzonie biegające dookoła w ciemności, ale nie przeszkadza mi to, przynajmniej nie tak, jak powinno. Chyba się tego tam spodziewałem. To zawsze była nora.

Ostrożnie przechodzę dalej, zaciągam się dymem papierosa, pozwalając nikotynie ukoić nerwy. Gdy docieram na tyły budynku, po raz ostatni zaciągam się papierosem, wyrzucam i przydeptuję peta, po prostu go tam zostawiając. Sięgam do kieszeni, wyciągam zapalniczkę, zapalam ją, czym oświetlam sobie nieco otaczającą mnie ciemność. Trzymam płomień przy ścianie, pozwalając światłu rozproszyć się na rozpadającym cemencie. Patrzę na to i wstrzymuję oddech, czuję pieczenie w klatce piersiowej, które wwierca się głębiej niż wszystkie papierosy, które w życiu wypaliłem. To dopada moją duszę, odrywa część mnie i martwię się, że już nigdy nie będę kompletny. To ciągle tam jest. Zniszczone, ale nadal jest.

*To tam, kurwa jest.*

Ściany pokrywa graffiti sprzed pięciu lat, masa łuszczących się kolorów i wyblakłych obrazów, w czarnej plamie po środku można rozpoznać postać w kapeluszu. Ksywa. *Mój* przydomek. Wyciągam rękę i przesuwam delikatnie palcami po ścianie, która kruszy się pod moim dotykiem, część kolorów łuszczy się przy mojej skórze. Patrzę na swoją dłoń, gaszę płomień zapalniczki. Nawet w ciemności widzę czarne kawałki farby na swojej ręce. Moja klatka piersiowa zaciska się jeszcze bardziej. Jednocześnie mam wrażenie, jakbym się dusił, czuję się, jakbym dopiero przypomniał sobie jak należy oddychać. Pomimo

smrodu, niemal wyczuwam aromat farby w sprayu. Wiem, że to tylko moja wyobraźnia, ale i tak się tym cieszę.

Byłem wtedy innym człowiekiem, takim, który spieprzył i stał się facetem, którym jestem dzisiaj. Świat mienił się kolorami na każdym kroku aż do dnia, w którym wszystko zniszczyłem i zostałem złapany. Kolory mieszały się, aż została po nich tylko ciemność głębsza niż odcień czerni, którą miałem tamtego dnia na dłoniach. Ciemność była pułapką, w którą wpadłem i z której wydawało się, że nie istnieje sposób ucieczki.

Pięć lat temu oznaczyłem ponad sto budynków. Może dwieście. Nigdy nie przejmowałem się ich liczeniem. Niszczyłem i odchodziłem, zostawiając zrujnowane budynki, a wszystko w imię sztuki. Policja miesiącami próbowała zdemaskować tajemniczego, ulicznego artystę. To moje ostatnie dzieło. To wszystko co zostało ze sławnego Hattera. Tego nigdy nie znaleźli, i tylko to nie zostało usunięte. Długi nadzór kuratorski, setki godzin prac społecznych i dziesiątki tysięcy dolarów grzywny na pokrycie kosztów usunięcia murali były sposobem na złamanie człowieka, ale nic nie bolało mnie bardziej, niż ostateczny wyrok, który usłyszałem w sądzie:

*Pozwany, w okresie nadzoru kuratorskiego, nie może posiadać żadnych narzędzi potrzebnych do wykonania graffiti.*

Zabrali mi moją sztukę, moją prawdziwą sztukę, tą, która określała mnie najbardziej.

Przez pięć lat starałem się odzyskać to uczucie, znowu poczuć emocje i kilka razy byłem naprawdę blisko. Ale nic nie mogło się równać z uczuciem, które wypełniało mnie tu i teraz. Dreszcz obracania miasta uwięzionego w zgiełku pracy od dziewiątej do piątej w wielkie dzieło sztuki. Oczywiście nie wszyscy to doceniali. Niektórzy byli wręcz wściekli. Ale od czasu do czasu znajduje się ktoś, kto rozumie, a to dla mnie potwierdzenie, że było warto.

Po raz ostatni patrzę na stare graffiti, jest ledwo widoczne w mroku, po czym odwracam się i odchodzę. Wychodzę na zewnątrz, zamykam za sobą drzwi i przeciskam się przez uszkodzone ogrodzenie, ale nikt mnie nie widzi. Nikt na mnie nie patrzy. Jakbym był niewidoczny dla pozostałych ludzi. Mieszam się z tłumem.

Powinienem wrócić do domu, ale zamiast tego jadę metrem do ostatniego miejsca do którego czuję przynależność. Upper Westside. Wpycham ręce w kieszenie i przemierzam dzielnicę, w kierunku studia tańca znajdującego się nieopodal Broadwayu. Nie widzę tego, co się dzieje w środku, lustrzane szkło wypełnia powierzchnię okien, ale wiem, że jest tu Avery i robi to, co kocha. Ta myśl uspokaja mnie na chwilę. Opieram się o budynek po drugiej stronie ulicy, wyciągam papierosa i odpalam ostatniego. Do pobliskiego kosza wyrzucam pustą, sfatygowaną paczkę, obserwuję, jak odbija się i spada na dno. Palę w ciszy i rozglądam się po okolicy.

Ludzie przechodzą pospiesznie, rzucają mi osobliwe spojrzenia, prawdopodobnie zastanawiając się, co robię w takim miejscu. Nie jestem tutaj niewidoczny. Odstaję, jak zraniony kciuk. Nie wiem, ile mile czasu, gdy zauważam ludzi wychodzących ze studia. Obserwuję drzwi, wychodzi kilka kobiet, rozmawiają z ożywieniem, Avery jest w centrum całej paczki. Uśmiecha się, rozmawia, ale nie słyszę jej z miejsca, w którym stoję. Nie widzi mnie. Nie ma szansy. Pochyłam głowę i odchodzę zanim może zauważyć, że się tutaj kręcę.

Przechodzę obok kosza na śmieci i wrzucam do niego zapalniczkę, w końcu się jej pozbywając na dobre.

Mam dość.

Koniec.

## CZTERNASTY

– Tato... Hej, tato!

Jest późne, piątkowe popołudnie. W ostatniej chwili zadzwoniła Rebecca, pytając, czy chcę zabrać Lexie na weekend, więc odwołałem umówione wcześniej sesje. Tak, wiem, potrzebuję pieniędzy, więc nie powinienem tego robić, ale nie mogłem odpuścić okazji na spędzenie czasu z moją dziewczynką.

Patrzę na nią, gdy idziemy z domu jej matki. Różowy plecak ma na plecach, a włosy ma tak splątane, jakby nie czesała się przez cały tydzień.

– Tak?

– Możemy iść na fro-jo?

– Fro-jo? – Łapię ją za rękę. – Czy chodzi o coś w stylu YOLO?

– Mam YOLO! – Krzyczy. – Mogę zabrać na spacer pieska i iść dookoła świata!

Marszczę czoło i patrzę na nią.

– Co?

– No mam YOLO – mówi. – Dostałam od Mikołaja.

Śmieję się, gdy dociera do mnie o czym mówi.

– To jest jojo, a nie YOLO.

– A co jest YOLO?

– Uhm, to takie powiedzenie... oznacza *żyje się tylko raz*.

– A co to znaczy?

– To znaczy, że żyje się tylko raz – odpowiadam, wzruszając ramionami.

– Czyli chcesz się zatrzymać w sklepie na lody, tak?

– Chcę fro-jo! – mówi, ciągnąc mnie za rękę w kierunku sklepu znajdującego się po drugiej stronie ulicy. – Czy możemy iść tam, gdzie czasami zabiera mnie mama? Do sklepu z różowymi jagodami?

*Różowe jagody.*

Wzdycham i wzruszam ramionami. A co mi szkodzi?

– Pewnie, dlaczego nie.

To jest miejsce zaledwie przecnicę od Broadwayu. Idziemy tam, otwieram drzwi i pokazuję Lexie, żeby przeszła dalej. Kręci się podekscytowana wokół mnie i stajemy w kolejce. Staję tuż za nią, wpycham ręce do kieszeni, długie rękawy zakrywają większość moich tatuaży. Po kilku minutach nadchodzi nasza kolej. Lexie staje przy ladzie i patrzy w oczy mężczyźnie, który czeka na nasze zamówienie. Patrzy na mnie i na nią, zastanawiając się kogo powinien zapytać o zamówienie, ale decyduje się na Lexie.

Dobry wybór.

– Co dla ciebie, kochanie?

– YOLO – mówi, chichocząc pod nosem, zanim się poprawia. – Fro-jo!

– Jaki smak?

– Biały.

Uzupełniam zamówienie, gdy facet patrzy na mnie z pytaniem wymalowanym na twarzy.

– Po prostu naturalny jogurt... mały.

– Duży – poprawia mnie Lexie.

– Duży – koryguję.

– Z dodatkami! – wtrąca Lexie.

– Naturalny – mówi ekspedient, kiwając głową. – Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko – odpowiadam.

Płacę i chowam portfel do tylnej kieszeni spodni. Łapię Lexie za ramię i kieruję do kolejnego stanowiska. Podchodzi do nas pracownica lodziarni, kobieta uśmiecha się do Lexie.

– Na jakie dodatki masz ochotę?

Mała księżniczka łapczywie skanuje wzrokiem swoje możliwości.

– Chcę żelki, płatki Captain Crunch, cukierki czekoladowe i...

– I myślę, że to już wystarczy – mówię, przerywając jej listę życzeń.

– I różowe jagody! – Lexie odwraca się do mnie, łapie moją koszulę i szarpie za nią. – I jeszcze chcę różowe jagody, tatusiu!

Przytakuję i potwierdzam kobiecie.

– Maliny.

Lexie obejmuje mnie z uśmiechem w talii, wiedząc, że po raz kolejny postawi na swoim. Jestem przy niej wielkim frajerem. Mierzwię jej włosy i kręcę głową, gdy się odsuwa. Chodzi dookoła mnie, staje na chwilę, po czym z jej gardła ucieka piskliwy krzyk.

– Avery!

Dźwięk tego imienia sprawia, że przeszywa mnie zimny dreszcz, a zaraz potem kolejny, gdy słyszę jej głos. Nie widziałem Avery cały, długi tydzień.

Lexie biegnie mijając ludzi. Szybko łapię jej mrożony jogurt, nie chcę wstrzymywać kolejki, odwracam się i zmierzam do mojej córki. Robię kilka kroków i zamieram.

W kolejce stoi Avery, ma szeroko otwarte oczy, w których czai się przerażenie. Patrzy na Lexie i na mnie, a mnie ściska w żołądku, gdy obserwuję wyraz jej twarzy. Wygląda jak jeleń w światłach samochodu. To wyraz twarzy, który mówi: *Och, kurwa, ale mam przesrane.*

Zauważam pozostałe osoby... kobieta i mężczyzna w średnim wieku stoją za nią i wyglądają na cholernie zdezorientowanych. Nigdy wcześniej ich nie



spotkałem, ale Avery jest do nich podobna, więc zakładam, że to jej rodzice.

Pozdrawiają moją córkę z lekką rezerwą, a Lexie bez wahania przytula Avery.

– Hej – mówi Avery ze spiętym uśmiechem, klepiąc Lexie po plecach.

– Znasz to dziecko, Avery? – pyta mężczyzna.

Domyślam się, że to Laurence Moore. Wygląda na takiego sztywniaka jak został opisany przez koleżanki Avery. Jest wysoki, ma szerokie, muskularne ramiona, ale nie napakowane. Stoi z rękami skrzyżowanymi na piersiach, ale z jego postawy bije pewność siebie, która wręcz graniczy z pychą. Jego żona nie jest dużo lepsza. Wyniosła i wysoka, chuda jak szczapa, ale wyraz twarzy ma łagodny, gdy patrzy na Lexie. Musi lubić dzieci. Zanim Avery odpowiada, Lexie zaczyna wyjaśniać.

– Ona jest przyjaciółką mojego tatusia, ale jest dziewczyną. Prawda, Avery? – Lexie odwraca się, nie dając jej czasu na odpowiedź i patrzy na mnie.

– Prawda, tato? Ale nie jest twoją dziewczyną?

Uśmiecham się lekko i podchodzę bliżej. Kiwam głową na przywitanie, nie wiem co powiedzieć. Zamiast tego podaję Lexie kubeczek z jogurtem, mając nadzieję, że to powstrzyma ją od paplania.

– Tak, Reece jest... uh... przyjacielem – mówi Avery, wskazując na mnie. – A to jego córka, Lexie.

– Miło cię poznać, Lexie – mówi matka Avery, lekko się uśmiechając.

– Panią też! – odpowiada Lexie niewyraźnie, z ustami pełnymi jogurtu. – Panie też jest baletnicą?

Wiem, że powinienem jej przypomnieć, że nie rozmawia się z ustami pełnymi jedzenia, ale nie odzywam się, a wzrok Laurence'a spala mnie, jest nieprzyjemny i odpychający. Jest w nim podejrzenie, ale myślę, że to coś więcej. Widzę to w jego oczach. Jakimś cudem jakoś mnie chyba rozpoznaje.

– Kiedyś byłam baletnicą – odpowiada matka Avery. – A co z tobą?

– Nie, nie jestem, ale Avery zabrała mnie raz na swoją próbę do studia!

– Och, naprawdę? – Kobieta robi wielkie oczy z ciekawości. – Jesteśmy z mężem właścicielami tego studia.

– Jest naprawdę fajne – powiedziała Lexie. – Mogę tam wrócić?

Laurence chrząka, zwracając na siebie uwagę.

– Powiedziałeś, że masz na imię Rhys?

Cholera, technicznie rzecz biorąc nic takiego nie powiedziałem, ale kiwam głową.

– A jak się nazywasz?

– Hatfield.

Nie musiałem tego mówić. Jego wyraz twarzy mówił wszystko. Zorientował się, że mnie zna. Znał już moje nazwisko. Kłamstwo nie miałyby sensu.

Przez pięć lat starałem się tego unikać, nawet zmieniłem pisownię swojego imienia. Wyszukując *Reece Hatfield* w internecie niczego się nie znajdzie. Ale *Rhys* ma kartotekę, z którą może rywalizować nie jeden gangster. Ponad sto zarzutów, ale przyznał się zaledwie do trzech przestępstw.

Wypuszczam powietrze z płuc i sięgam po Lexie, która nadal rozmawia na ucho z matką Avery. Widzę Avery, która nerwowo wyłamuje swoje palce, wyraźnie jest zdenerwowana naszą obecnością tutaj.

– Chodź, mała księżniczko – mówię cicho. – Musimy już iść.

– Czy możemy iść do salonu? – pyta Lexie z buzią wypchaną żelkami. – Mogę mieć swój tatuaż?

– Nie, idziemy do domu.

– Czy Avery przyjdzie? – pyta. – Może zostać na noc!

– Nie dzisiaj – mruczę, ale nie umyka mi fakt zażenowania Avery, która nerwowo spogląda na swojego ojca, będąc najwyraźniej pod jego wpływem.

Lexie wydyma usta, ale nie trwa to długo, gdy matka Avery głaska ją po głowie.

- Zatem, miło było cię poznać, panienko Lexie.
- Panią też, psze pani – mówi Lexie. – Cześć, Avery.
- Cześć, Lexie – odpowiada cicho.

Spoglądam na nie, uprzejmie kłaniam się matce Avery, po czym mój wzrok spotyka się ze spojrzeniem jej ojca. Wyciągam rękę.

– Sir.

Laurence patrzy na moją wyciągniętą rękę z pogardą zaciska usta w cienką linię. Sekundy mijają... cisza się przeciąga. Już mam zamiar zabrać rękę, gdy on ją łapie, potrząsa i mocno ściska. Nic nie mówi i nie przeciąga tego. Odwracam się nawet nie patrząc na Avery i prowadzę Lexie w kierunku drzwi. Gdy tylko jesteśmy na zewnątrz obracam się, obserwując, jak mężczyzna wyciera ręce o spodnie, jakby chciał pozbyć się mojego dotyku. To mnie uderza, czuję uścisk w brzuchu. Avery patrzy w moją stronę, jakby wyczuwała moje spojrzenie. Marszczy brwi, smutek czai się w jej oczach, gdy bezgłośnie porusza ustami.

*Przepraszam.*

Kręcę głową, odwracam się i zaciskam rękę na ramieniu Lexie.

– Chodźmy stąd.

Lexie pakuje kolejną łyżkę mrożonego jogurtu z płatkami i słodkimi dodatkami do ust, jest maksymalnie zadowolona. Idzie, od czasu do czasu podskakując, jakby jej mała postać była nietykalna, a ja nigdy wcześniej w życiu nie czułem się tak mały.

Zapada noc, w mieszkaniu jest ciemno, wyjątkiem jest poświaty padającej od telewizora. Siedzę na kanapie w salonie z ręką rozciągniętą na oparciu. Na kolanach mam małą poduszkę w kształcie pingwina, do której przytula się Lexie. Prawie śpi, wpatruje się tępo w telewizor, starając się nie zasnąć przed końcem *Pradawnego Lądu*, ale każde mrugnięcie jest dla niej wyzwaniem i każde kolejne zamknięcie powiek trwa nieco dłużej od poprzedniego.

Wyłapuję jakiś dźwięk, jest tak słaby, że dopiero po trzecim razie orientuję się, że ktoś dzwoni do drzwi. Wzdycham, ostrożnie kładę Lexie na kanapie. Idę do drzwi i zerkam przez wizjer. Widzę ją stojącą na korytarzu w miękkim, żółtym blasku światła. Jest zgarbiona, marszczy brwi i dzwoni po raz kolejny. Odwracam się i patrzę na Lexie. Ma zamknięte oczy, rozchylone usta i śpi spokojnie. Zamyślony, spokojnie otwieram drzwi.

Pięść Avery jest uniesiona, jakby przygotowywała się do kolejnej próby zwrócenia uwagi na swoją obecność, ale szybko ją opuszcza. Zanim może coś powiedzieć wychodzę na korytarz, nasze ciała się dotykają, gdy zamykam za sobą drzwi. Zaskoczona moją nagłą bliskością Avery robi krok do tyłu.

– Tak?

Mój głos jest ostrzejszy niż zakładałem, po wyrazie twarzy Avery zakładam, że jest zaskoczona, przez chwilę nic nie mówi. Mruga kilka razy i otrząsa się z szoku.

– Ja, uhh... Chciałam tylko wpaść.

– Po co?

– Żeby się z tobą zobaczyć.

– Widziałaś mnie wcześniej.

Nie chcę brzmieć tak zimno, ale jakoś nic nie mogę na to poradzić. Wystarczy, że ją widzę, a to uczucie powraca. Próbuję zagłuszyć poczucie niedopasowania... wręcz porażki.

Sposób w jaki spojrzał na mnie jej ojciec?

Sposób w jaki się odsunęła?

Radziłem sobie z tym wystarczająco dużo w życiu i nie potrzebuję jeszcze jej na dodatek.

– Tak, ale... To znaczy... Nie mieliśmy okazji, żeby porozmawiać.

– Mieliśmy okazję – dopowiadam. – Mogłaś coś powiedzieć... cokolwiek... ale nic nie powiedziałaś. Więc miałaś swoją szansę, Avery, tylko z niej nie skorzystałaś.

Zanim może odpowiedzieć odchodzę, kieruję się w dół i staję na najwyższym stopniu schodów. Avery podąża za mną, waha się, gdy siadam na stopniu. Potrzebuje chwili, żeby zająć miejsce obok mnie.

– Słuchaj, przepraszam – mówi. – Ja po prostu...

– Nie przepraszaj.

Patrzę na nią i unoszę jej podbródek w taki sposób, żeby na mnie patrzyła, a nie próbowała spuścić głowę. W jej oczach widzę żal. Nie podoba mi się to. Nie pasuje do niej.

– Nie masz za co przepraszać. Nic mi nie jesteś winna. Nie jesteś moją dziewczyną.

– Ale chcę nią być. – Patrzy na mnie błagalnie. – Chcę być twoją dziewczyną.

Kciukiem przesuwam po jej dolnej wardze i cicho mruczę.

– Też chcę, żebyś nią była.

Mruga, usta ma zaciśnięte, jakby spodziewała się, że ją pocałuję. Chcę, kurwa, naprawdę chcę, ale nie mogę. To nie jest w porządku. Nic z tego nie jest. W końcu opuszczam rękę i ją wrywam. Po tej utracie kontaktu otwiera oczy, cierpienie pojawia się na jej twarzy. Niewypowiedziane pytanie pojawia się w jej oczach, ale nie mam odpowiedzi, którą chce usłyszeć. Jedyne co mam, to prawda, *dlatego* i to nie jest przyjemne. Mogła twierdzić, że lubi, gdy jest niegrzecznie, ale nie ma pojęcia co to tak naprawdę oznacza. Nie może tego wiedzieć, chyba, że w tym żyje. Chyba, że jest się częścią tego świata.

– Oszukujesz samą siebie twierdząc, że chcesz być z gościem takim jak ja – mówię. – Nasze życie są zupełnie inne. Może chcesz zamoczyć stopy w moim

jeziorze i biegać nago na brzegu, ale nie jesteś gotowa na skok w moją wodę, Avery, ponieważ utoniesz.

– Nie rozumiem – mówi, przesuając się w moją stronę, otula mnie zapach jej perfum, a to sprawia, że chcę nie musieć jej tego wszystkiego powiedzieć. – Do czego to zmierza?

– Wiesz, gdzie to zmierza. – mówię. – Ty i ja? Nie sprawdzimy się razem. Widziałem jak twój ojciec dzisiaj na mnie spojrział, oburzony faktem, że jego mała dziewczynka mogłaby upaść tak nisko... a potem spojrział na moją małą córeczkę... moją dziewczynkę. I w porządku... jestem do tego przyzwyczajony. Przywykłem do tego, że ludzie patrzą na mnie i widzą popierdoleńca. Ale nie patrzą w taki sposób na moją córkę. Nie zrobiła nic złego na tym cholernym świecie, żeby ktokolwiek tak na nią patrzył, a jednak ludzie robią to przeze mnie.

– Ale ja tak nie robię – kręci głową. – Nie myślę tak o tobie ani o niej. I nie obchodzi mnie, co myślą inni.

Przysuwa się do mnie, ale łapię ją za nadgarstek, powstrzymując od dotknięcia mnie. Gdyby mnie dotknęła, to prawdopodobnie byłby błąd, ponieważ te delikatne ręce mogłyby mnie przekonać do tego, że wszystko jest w porządku.

– Okłamujesz samą siebie, jeżeli sądzisz, że to cię nie obchodzi. Widziałem wyraz twojej twarzy, gdy nas zobaczyłaś, jakbyśmy popsuli twój mały, idealny obrazek... jakbyśmy przeszkodzili w twoim idealnym życiu. Jestem pewien, że świetnie się ze mną bawiłaś, ale to już koniec. Zaczyna się robić bałagan, a ja nie jestem bałaganiarzem, zatem najlepszym rozwiązaniem będzie, jeżeli po prostu oboje pójdziemy własnymi drogami.

Nie daję jej szansy na odpowiedź. Puszczam jej nadgarstek i wstaję. Otwieram drzwi i wchodzę do środka. Zatrzymuję się w progu i zamykam oczu. Kurwa. jestem przekonany, że te słowa bołą mnie bardziej niż ją.

– Weź taksówkę. Nie powinnaś kręcić się sama po tej okolicy.

Rozumiesz?

Ledwo szepcze.

– Jasne.

– Dobrze. – Wracam do środka i zamykam za sobą drzwi.

Moje kroki są ciężkie, gdy wchodzę do mieszkania, pasują do tego, co czuję w brzuchu. Podchodzę do okna w salonie, odsuwam zasłonę i widzę, że nadal stoi na najwyższym stopniu schodów, wpatrując się w drzwi. Po chwili odwraca się i odchodzi. Obserwuję, jak dzwoni, zamawiając taksówkę i gapię się aż znika w ciemności.

Biorę głęboki oddech, próbuję uświadomić sobie, że być może widziałem ją po raz ostatni w życiu, ale to trudne. I kurewsko boli.

– Czy przyjdę w następny weekend do ciebie, tato?

Spoglądam na moją córkę, gdy idziemy ulicą w kierunku domu jej matki. Małą dłonią ściska moje dwa palce.

– Nie wiem, mała księżniczko. Chciałbym, ale nie wiem. To zależy od twojej matki,

– Jeżeli przyjdę, to czy będziemy mogli pójść do muzeum?

– Jeżeli tylko będziesz miała na to ochotę.

– A czy Avery też może z nami iść?

– Tego nie jestem pewien.

– Czy możesz ją o to zapytać?

– Myślę, że to nienajlepszy pomysł.

– Ale ona lubi moje dinozaury.

– Owszem, lubi, ale Avery jest zajęta.

– Czym?

– Nie wiem.

– To skąd wiesz, że jest zajęta?

To jest cholernie dobre pytanie. Jest zbyt inteligentna jak na swój wiek.

– Bo ma szkołę, taniec, swoją rodzinę i przyjaciół...

– Ja też jestem jej przyjaciółką.

– Wiem, ale to skomplikowane.

– Czy ona już nas nie lubi?

Przez cały weekend zadawała pytania, ale to jest nowe. Wcale mi się to nie podoba.

*W ogóle.*

Staję, zmuszając Lexie do zatrzymania się. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, gdy nad nią góruję. Mam surową, twardą minę, gdy dociera do mnie sens tego pytania. Właśnie dlatego nigdy wcześniej nie pozwalałem żadnej kobiecie zbliżyć się do mojej córki. Avery stała się stałym elementem weekendów Lexie i nie rozumie, dlaczego nagle zniknęła.

*Ale bałagan.*

– Jak ktoś mógłby cię nie lubić? – Wzrusza ramionami. – Musieliby być szaleni, żeby cię nie kochać, Lexie. Naprawdę tak uważam. Jesteś najmądrzejszą, najładniejszą, najodważniejszą i najtwardszą dziewczynką, która chodzi po tej ziemi, a jeżeli ktokolwiek uważa inaczej, to możesz mi o tym powiedzieć, a ja go naprostuję. Łapiesz? – Kiwa głową. – Ale Avery ma swoje życie. Nie oznacza to, że nas nie lubi. To oznacza, że są inne osoby, które lubi, ludzie, którzy chcą z nią spędzić trochę czasu. Jest mądra, ładna i jest twardzielką... nie możemy monopolizować jej całego czasu.

– Tak jak w Monopolu?

– Zmonopolizować... oznacza, że nie możemy jej trzymać tylko dla siebie. Musimy się nią podzielić. – Marszczy nos z wyrazem obrzydzenia na twarzy. – Wiem, jak się czujesz, ale tak po prostu jest. Niebo jest niebieskie,



dinozaury są duże, boysbandy są okropne, a Avery nie należy do nas. Nigdy nie należała.

Lexie chichocze, nie przestaje, gdy ponownie ruszam.

– Boysbandy nie są okropne, tato.

– Musimy potwierdzić, że w tej kwestii mamy odmienne zdanie.

– I nie wszystkie dinozaury są duże! Niektóre z nich przypominają jaszczurki! A niebo nie jest zawsze ciemne w nocy, bo czasami wygląda jak guma do żucia.

– Nie można dyskutować z taką logiką – mówię. – Ale to nie zmienia tego, co powiedziałem o Avery.

Idziemy, ale Lexie nie zadaje już więcej pytań. Zatrzymujemy się na chodniku przed domem z piaskowca, pochylam się, żeby pocałować Lexie w czoło, po czym kieruję ją do środka. Obserwuję, jak biegnie po schodach, drzwi się przed nią otwierają i pojawia się w nich Rebecca z telefonem przy uchu. Dramatycznie wypuszcza oddech, chwytając się za klatkę piersiową.

– Już nieważne, panie kuratorze. Już tutaj są. Dziękuję bardzo.

Gapię się na nią.

*Kurator?*

Rebecca odkłada słuchawkę i wita ciepło naszą córkę, mówiąc jej, żeby jak zwykle przygotowała się do kąpieli. Lexie biegnie po schodach do środka, gdy Rebecca odwraca się do mnie, mrużąc oczy.

– Nie możesz trzymać się czasu, Rhys? Jest wpół do ósmej!

Patrzę na zegarek.

*19:22, kurwa.*

– Lexie oglądała film i chciała zobaczyć zakończenie.

– No oczywiście – narzeka Rebecca. – Znając ciebie to były jakieś bzdury o dinozaurach, których nawet nie powinna oglądać!

– Nie, nie były.

– Jasna, jasne. Jakbym mogła wierzyć w to, co mówisz. Cieszę się, że przywiozłeś ją do domu w jednym kawałku. Twój kurator już prawie rozpoczął poszukiwania! Nie mógł uwierzyć, gdy powiedziałam mu, że naruszyłeś postanowienia sądu.

Kurator.

*Kurator sądowy.*

Suka zadzwoniła do mojego kuratora? Te słowa przelały czarę goryczy, która zapełniała się przez cały weekend. Wewnątrz mnie buzuje ciśnienie, gniew, ból i obrzydzenie, docieram do miejsca, w który nie mogę tego już dusić w środku. W chwili, gdy te słowa opuszczają jej usta, zaczynam widzieć na czerwono.

– Wiesz co, Rebecca? Pieprz się.

Blednie.

– Co powiedziałeś?

– Powiedziałem, że możesz się pieprzyć – powtarzam to podkreślając każde słowo. – Pierdol się. Zniosłem już wystarczająco dużo gówna rzuconego przez ciebie w moją stronę. Zawsze odwracałem się i pozwalałem ci rzucać po raz kolejny i kolejny. A wszystko dlatego, żeby utrzymać spokój ze względu na naszą córkę. Ale mam już tego dość. Nie lubisz mnie? Nienawidzisz mnie? Marzysz o tym, żeby nie musieć na mnie patrzeć? Cóż, zanotuj nową informację, czuję to samo do ciebie. Ale nic nie mówię, trzymam gębę na kłódkę, uśmiecham się i radzę sobie z tym na swój sposób, ponieważ tak zachowują się dorośli ludzie.

– Co ty do cholery wiesz o byciu dorosłym?

– Całkiem sporo. Może nie jestem idealny. Cholera, wiem, że nie jestem doskonały. Ale daję to, co mam, nawet jeżeli to co mam nie jest wystarczająco dobre dla ciebie albo dla niej, dla nich czy kogokolwiek innego. Nadal daję. Nie podoba ci się? To co mam najlepszego nie jest dla ciebie wystarczające? Ja nie

jestem wystarczająco dobry dla ciebie? Przyzwyczaj się. Ogarnij się. Ponieważ nie zamierzam tego dłużej znosić. – Cofam się kilka kroków, kręcę głową i doznaję olśnienia. – Wrócę po Lexie w piątek.

Rebecca nie kłóci się ze mną, odwraca się, wpada do domu i zatrzaskuje za sobą drzwi.

## PIĘTNASTY

Kevin przesuwa po podłodze metalowe krzesło i na nim siada. Rzucam mu szybkie spojrzenie, po czym wracam do czyszczenia swojego stanowiska pracy. Jest dwudziesta druga w poniedziałkowy wieczór, a ja jestem tak podekscytowany, jakby był weekend.

– Stary, co za dzień – mówi Kevin, splatając ręce za głowę. – Przydałby się dymek... i jakiś drink. Czy coś.

– Mi to mówisz? – Kończę to, co robię, odwracam się i opieram o stół. – Zamierzam wpaść do baru po drugiej stronie ulicy na drinka, możesz dołączyć, jeżeli chcesz.

– No i teraz gadasz do rzeczy!

Zamykamy salon i ruszamy do *The Spare Room*. W barze jest spokojnie, jak zawsze, tylko kilkoro stałych bywalców wpada o tej godzinie. Zajmuję to samo miejsce przy barze co zwykle, bez słowa staje przede mną puszka Genesee. Podnoszę ją i kiwam w podziękowaniu barmanowi, zanim biorę łyka. Kevin zajmuje miejsce obok mnie, zamawiając to, co jest tanie i popularne. Pijemy i rozmawiamy, porównując spostrzeżenia dotyczące klientów, po prostu relaksujemy się po długim dniu.

– Nie spotykasz się z już ze swoją dziewczyną, prawda? – pyta po chwili Kevin. – Nie chcę stać ci na drodze.

Śmieję się smutno.

– Z jaką dziewczyną?

– Ze słodką brunetką, która ostatnio się przy tobie kręciła.

– Nieee. – Biorę długi łyk piwa, wspomnienia Avery zabierają mnie na krawędź. – Była, ale już jej nie ma.

– Dosłownie? – pyta Kevin. – Czyli jak zawsze, zaliczyć i rzucić, prawda?

Uśmiecham się smutno.

– Ona nie jest taką dziewczyną, którą można pieprzyć, a potem zapomnieć.

– Zauważyłem. W końcu pozwoliłeś, żeby kręciła się wokół nas wszystkich.

– Przyznanie się do winy dostaniesz jedynie w sądzie.

– No nie wiem stary. Miała zadatki na stałą partnerkę. Materiał na gospodynię, w porównaniu z twoim standardowym typem dziwki.

– Tak, racja. Sądzę, że muszę się trzymać tego co już znam.

– A propos... – Kevin klepie mnie po ramieniu i wskazuje na drzwi, przez które wchodzi dwie kobiety. – Bywalczyne barów to mój ulubiony typ.

Moim też zawsze były.

Kevin daje znać barmanowi, gdy kobiety siadają nieopodal nas przy stoliku nieopodal baru.

– Przygotuj im kolejkę, dobra? I możesz dopisać to do rachunku mojego kumpla.

Barman patrzy na mnie z zainteresowaniem, oczekując potwierdzenia, ale tylko wzruszam ramionami.

*Bez znaczenia.*

Potrzeba zaledwie dwóch szotów taniej tequili i dziesięć dolców, żebyśmy zostali zaproszeni do stolika kobiet. Kevin wybiera biuściastą brunetkę, zostawiając mi jej blond przyjaciółkę. Siadam obok niej i mierzę wzrokiem. Wygląda znajomo, ale nie mogę dopasować twarzy do imienia. W chwili, gdy siadam ona szeroko się uśmiecha.

– Reece!

*Kurwa.*

Zna mnie, a to oznacza, że powinienem ją rozpoznać.

– Hej... uhm... – jąkam się. Nawet nie jestem w stanie udawać, że ją rozpoznaję. – Wybacz, ale przypomnij jak masz na imię?

– Amy – odpowiada. – Kilka tygodni temu robiłeś mi tatuaż, cytat na boku.

Kojarzę w momencie, w którym to mówi, zanim wstaje i bezczelnie podciąga w górę koszulę, lekko zakrywając piersi, żeby pokazać mi swój tatuaż. Nieświadomie przesuwam palcami wzdłuż tekstu, wyczuwając fakturę. Ładnie się zagoiło.

– Teraz cię poznaję.

Uśmiecha się i opuszcza koszulę z powrotem.

– Chyba łatwiej mnie zapamiętać bez ubrań, prawda?

– Chyba tak.

Biorę piwo, piję i opieram się wygodnie o oparcie krzesła. Kevin i druga dziewczyna siedzą przy barze, pijąc szota za szotem, a ja siedzę i słucham paplaniny, jak jej tam... Aarona... Annie... Amy? Nie kończy swojej paplaniny.

Wypijam kilka piw, grzecznie kiwając głową i mrużąc, jakbym wiedział, co do cholery mówi. Jest coraz bardziej pijana, a co za tym idzie, jest bardziej przyklepna, w końcu przesuwa ręką po moich kolanach. Chciałbym móc się tym cieszyć. Najprostszym sposobem na pozbycie się z głowy Avery i tych cholernych, nieodpowiednich uczuć, byłoby zatracenie się w innej kobiecie. Bez oczekiwań i zobowiązań, ale nic z tego. Zero dreszczy, czy mrowienia. Nie ma nic.

*To pierwszy raz.*

Wygląda na to, że malowanie jest jedyną rzeczą, która nie powoduje, że czuję się bezsilny. Mój fiut wreszcie się poddaje. W końcu to jakiś progres.

– Będę się zbierał – mrużę, odsuwając się od niej.

– Potrzebujesz towarzystwa?

Czy chcę towarzystwa? Pewnie, ale nie jej.

– Dzięki, ale nie dzisiaj – mówię, wstając .

Odchodzę, ledwo na nią patrzę. Przechodzę obok Kevina i klepię go po plecach.

– Do zobaczenia rano, Kev.

– Wychodzisz?

– Tak.

– Sam?

– Tak. – Wskazuję na siedzącą kobietę. – Wszystko dla ciebie.

Kevin śmieje się i coś odpowiada, ale idę do wyjścia i już go nie słyszę.

Leniwie spaceruję ulicą, nie spieszę się. Nikogo nie ma w domu, nikt na mnie nie czeka, nikt nie zastanawia się gdzie jestem albo o której wrócę. Może mnie nie być całą noc, zginąć w nocy i nikt tego nie zauważy. Nikt by się tym nie przejął. Nikt by się nie martwił. Nikt. To naprawdę smutna prawda. Nie lubię się do tego przyznawać, ale zacząłem się przyzwyczajać do bycia z kimś.

Mieszkanie sprawia wrażenie ciemniejszego niż zazwyczaj. Wzdycham, otwieram drzwi i kopiąc w coś wchodzę do środka. Patrzę w dół. Na podłodze zauważam białą kopertę wsuniętą przez szparę w drzwiach. Zabieram ją, idę do kuchni i włączam światło. Na kopercie nie ma stempla pocztowego, jedynie dane adresu zwrotnego: *The Juilliard School*.

Podchodzę do lodówki, wyciągam z niej piwo, otwieram i biorę łyk. Odstawiam je na blat, o który się opieram i rozrywam kopertę, zaglądając do środka. Dwa bilety na przedstawienie baletowe. Patrzę na nie przez chwilę, po czym wkładam je do środka i odkładam kopertę na stolik. Biorę piwo i wyłączam światło w kuchni. Jestem spięty... zbyt zdenerwowany, żeby spać, zbyt zaabsorbowany myślami, żeby oglądać telewizję, czytać czy robić cokolwiek innego niż *myśleć*.

Sfrustrowany przechodzę korytarzem na tył mieszkania. Do mojej pracowni. Światło nadal jest wyłączone, jedynie światło księżycy wpada do

środka i lekko oświetla pozostawiony ostatnim razem bałagan. Farba jest rozmazana na ścianach, podłodze, materacu, smugi smętnej szarości rozciągają się wszędzie dookoła. Na ścianie po mojej lewej stronie jest częściowy odcisk dłoni Avery, który odbiła, gdy zatraciliśmy się w namiętności. Patrząc na znak, żołądek mi się zaciska, gotuje się we mnie i czuję, że muszę dać temu upust. Przesuwam wzrok na moje sztalugi. Nie myślę za dużo, nie zastanawiam się. Wyciskam świeżą farbę na zniszczoną paletę, łapię postrzępiony pędzel i po raz pierwszy czuję jakby minęła wieczność, mokre włosie przesuwają się po płótnie, gdy po raz kolejny zaczynam malować.

To jest brzydkie, pełne złości, ciemne odcienie farb mieszają się ze sobą w szaleńczej otchłani nicości. Wygląda tak, jak się czuję... bezwartościowy i bezsensowny, chaotyczny i brudny, wszystko wokół jest cholernym bałaganem. Cholera, gdy kończę czuję się lepiej.

– Powinieneś iść.

– A ty powinnaś zająć się swoimi sprawami.

Praktycznie słyszę jak Ellie przewraca oczami słysząc moją odpowiedź. Siadam na krześle naprzeciwko niej, stopy opieram o biurko i czekam na pierwszego tego dnia klienta. Już nawet dałem sobie sam kopa za podniesienie biletów z podłogi, które znalazłem pod drzwiami. Zaoferowałem je jej, sądząc, że spodoba jej się tego rodzaju występy. Cały czas próbowała dorwać bilety na spektakle na Broadwayu, ale w chwili, gdy wspomniałem o przestawieniu w Juilliard jej twarz pojaśniała, ale w inny sposób, niż oczekiwałem.

– No i jeszcze powinieneś założyć krawat.

– A ty możesz pocałować mnie w dupę.

– Jasne. I nie zapomnij kupić jej kwiatów.

– Tak, a ty nie zapomnij possać mojego fiuta.



Ellie się i sięga, żeby zrzucić moje stopy z biurka. Uderzają z hukiem o podłogę.

– Jeżeli założysz ten cholerny krawat i dasz jej kwiaty to może possie twojego fiuta.

– Opuść – mówię, wstając i rozciągając się.

Nie spałem najlepiej poprzedniej nocy. Wszystko boli mnie ze zmęczenia. Prawie do rana byłem na nogach, przez kilka godzin malowałem, wyrzucając z siebie emocje.

– Ten statek już odpłynął.

– W takim razie popłyń kurwa za nim i wdrap się na pokład. To nie jest takie trudne.

Pokazuję jej palec i odchodzę, zmierzając do swojej pracowni. Mam wypełniony dzień... sesję za sesją, klienta za klientem. Zanurzam się w tatuażach aż do wieczora, po czym pakuję się tuż przed zamknięciem. Ta sama, stara rutyna. Wychodzę punktualnie o dwudziestej drugiej, słyszę krzyzącą za mną Ellie.

– Pamiętaj, co powiedziałam!

Kręcę głową i zerkam w kierunku baru znajdującego się po drugiej stronie ulicy. Zastanawiam się chwilę, wzruszam ramionami i ruszam do domu. Spaceruję ulicami wciskając ręce w kieszenie, kapelusz przesunął się na tył mojej głowy. Nie przywiązuję większej uwagi na otoczenie, zatracając się w chaosie ulic Manhattanu. W mojej okolicy, na starym budynku biurowym, znajduje się nowe graffiti o charakterze militarnym, wołające o pokój. Wszyscy wydają się rozumieć przesłanie. Czasami się zastanawiam jak to było z moimi dziełami.

Podchodzę do budynku, w którym znajduje się moje mieszkanie, patrzę w górę, moje kroki tracą rytm, gdy widzę osobę siedzącą na szczycie schodów.

*Avery.*

Patrzę na nią, zatrzymuję się na chodniku. Moja obecność przyciąga jej uwagę, podskakuje, splata dłonie i patrzy na mnie.

– Hej!

Przez chwilę nic nie mówię, ale po chwili odpowiadam.

– Cześć.

– Ja... uhm... po prostu chciałam się upewnić, że masz bilety. Podrzuciłam je wczoraj.

– Tak, dostałem.

– Zamierzasz...? To znaczy... czy nadal chcesz przyjść?

Powoli wzruszam ramionami.

– Bilety obowiązują na każde przedstawienie – kontynuuje. – Od czwartku do niedzieli. Możesz przyjść, kiedy będziesz chciał i wejdiesz bez problemu.

– Spoko.

– Możesz też zabrać Lexie.... albo kogoś innego, jeżeli będziesz chciał, naprawdę... ale sądzę, że jej się spodoba.

– Na pewno.

Patrzy na mnie, bije od niej wrażliwość.

– Więc przyjdiesz?

Jest tam nadzieja, którą we mnie pokłada. Nie powinna tego robić. Będzie rozczarowana, jak wszyscy inni.

– Nie wiem – odpowiadam cicho. – Zastanowię się nad tym.

Moja odpowiedź chyba jej wystarcza. Kiwa głową i kieruje się w stronę schodów, waha się, lekko się do mnie uśmiecha przywołując wspomnienia. Ociera się o mnie ramieniem, jej perfumy drażnią mój nos, biorę głęboki oddech. Stoję tam, a ona odchodzi, po kilku sekundach słyszę jej delikatny głos:

– Reece?

Powoli odwracam głowę. Nic nie mówię, tylko unoszę brew. Wpatruje się we mnie, ale po chwili kręci głową i mruczy.

– Zapomnij. Już nieważne.

*Próbuję – myślę sobie. – Cholernie mocno staram się zapomnieć o wszystkim.*

Obserwuję jak odchodzi ze puszczone ramionami i wzrokiem utkwionym w chodniku. Mam na końcu języka jej imię, prawie ją wołam, zastanawiając się nad tym co powiedziała. Myślę o tym, co *chciała* powiedzieć. Ale nic nie robię. Tylko patrzę, dopóki nie znika w nocy za rogiem ulicy.

Ponownie niewiele śpię.

Następnego dnia przychodzę do salonu wcześniej, przygotowuję wszystko do pracy zanim zjawiają się pozostali. Siedzę na krześle przed biurkiem Ellie, podobnie jak wczoraj, wyciągam przed siebie nogi. Patrzy na mnie podejrzliwie, szykując się do pracy odkłada torbę na podłogę a kubek z kawą na biurko.

– Nie wybrałeś jeszcze tego krawatu. Prawda? – pyta.

Gapię się na nią zbyt zmęczony, żeby chociaż pomyśleć o jakiejś kąśliwej ripostie. Jedyne co jest dzisiaj w moim zasięgu to „*odpierdol się*”.

– Uważam, że ciemny kolor najbardziej będzie do ciebie pasował – ciągnie dalej, nie patrząc mi w twarz. – Czarny, szary, granatowy... ale jednolity, nie w paski. Nie jesteś facetem, który będzie dobrze wyglądał w prążkowanym krawacie.

Nie jestem facetem, któremu pasują krawaty.

– Może śledź – sugeruje. – Ale zdecydowanie odpada mucha. Chyba, że się żenisz albo nazywasz Matt Smith, inaczej mucha nie leży w twoim interesie.

Marszczę czoło.

– Kim jest Matt Smith?

– Lekarzem.

– Czyim lekarzem?

Ellie patrzy na mnie'

– Jest raczej jak *Doktor Who*, kretynie. Poważnie, czy ty cokolwiek wiesz?

– Wiem, że nie założę krawatu – odpowiadam, wzruszając ramionami. – I wiem też, że masz robotę do zrobienia i nie ma ona nic wspólnego z wtrącaniem się w moje życie uczuciowe. Jestem całkiem pewien, że nie płacimy ci za doradztwo.

– A powinniście – mówi, siadając i otwierając terminarz. – Mówię poważnie, Reece. Powinieneś pójść. Nie pożałujesz.

## SZESNASTY

Radosna muzyka pop dobiega z wnętrza domu, jakieś Bieberowate One Direction ze zbyt dużą ilością wysokich tonów, zbyt niewyraźna linia basów dochodzi z głośnika mojego telefonu. Lexie skrzeczy w salonie wymyślone przez siebie słowa.

*Prawdopodobnie to jest lepsze od oryginału.*

Stoję w łazience, patrzę na swoje odbicie w lustrze i bawię się prostym, czarnym krawatem, który bezskutecznie próbuję zawiązać. Walczę z tym przez dobre dziesięć minut i praktycznie doprowadzam się do szaleństwa. Krzyżuję, ciągnę, wiążę nad, pod, pieprzone bzdury... czuję się jak Lexie ucząca się wiązania sznurowadeł.

*Wystarczy zrobić kokardkę podobną do uszu królika, potem pętelkę, pociągnąć i już. Przecież to nie jest takie trudne, prawda?*

Wzdycham sfrustrowany, rozwiązuję węzeł i krawat zwisa luźno po bokach mojej szyi. Wychodzę z łazienki i uderzam w przełącznik, żeby wyłączyć światło. Idę do salonu, kuląc się na dźwięki nieprzyjemnej muzyki. Lexie skacze na kanapie, trzyma w ręku telefon i tańczy dookoła, padając na tyłek i zaraz skacząc z powrotem na równe nogi.

– Powinienem kupić to cholerstwo już zawiązane – mruczę. – Nie jestem w stanie zawiązać tego krawatu nawet, jeżeli od tego zależałoby moje życie.

– Och, och, ja, ja! – Lexie skacze podniecona, rzuca telefon na poduszkę i gorączkowo zmierza w moim kierunku. – Mogę to zrobić, tatusiu!

Unoszę brew, ale podchodzę do niej. Prawdopodobnie ma większe szanse na zawiązanie tego krawatu ode mnie. Lexie chwyta oba końca krawata i płącze je razem, ciągnąc z całej siły. Ciężko oddycham, prawie odcina mi dopływ

powietrza do płuc, gdy starannie wiąże węzeł, jakby to były jej sznurowadła, ma skupiony, poważny wyraz twarzy. Kończy, uśmiecha się, porywa mój telefon i wraca do swojego szaleństwa na kanapie.

– Proszę, tatusiu.

Patrzę na swoje odbicie w lustrze. Wyglądam jakbym założył na siebie cholerny kostium klauna. Kręcę głową, rozwiązuję węzeł, ściągam krawat i rzucam go na kanapę. Poprawiam kołnierzyk koszuli, zwykły biały guzik wystarczy, żebym miał poczucie, że się duszę. Jakiś czas nie nosiłem białej koszuli... ostatni raz miałem ją na sobie w sądzie.

Rozpinam dwa górne guziki i mówię do mojej córki:

– Idź się uczesz.

– Już to zrobiłam!

Ma rozczochrane, jak zwykle, włosy i nieco splątane. Gdyby nie fakt, że ma na sobie różową sukienkę, ludzie mogliby ją wziąć za małego *George'a prosto z drzewa*, jedno z dzieci wychowywanych w dżungli, które pokazują w telewizji.

– To zrób to raz jeszcze, mały dzikusie.

Przestaje skakać na kanapie, tyłkiem uderza o poduszki po czym wstaje. Przechodzi obok mnie, rzuca mi telefon i ciężko dysząc idzie do łazienki.

– Umyj jeszcze zęby, skoro już tam jesteś – wołam.

Czekam i zakładam zegarek. Mamy jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia przedstawienia, ale jeżeli szybko nie wyjdziemy, to mam obawy, że wcale tego nie zrobimy. Zaczynam się pocić.

– Już – mówi Lexie, wychodząc z łazienki. – Lepiej?

Wygląda dokładnie tak samo jak kilka minut temu. Wzdycham i wzruszam ramionami. Chciałbym to jakoś poprawić, ale kończy się to zazwyczaj tak jak z moim krawatem przed chwilą. Naprawdę muszę się zaplatać warkocz.

– Wyglądasz idealnie, księżniczko – mówię, wyłączam muzykę, wkładam telefon do kieszeni i podaję jej rękę.

– Gotowa?

Wychodzimy i po drodze do metra zatrzymujemy się w sklepie.

*Kwiaty.* Ellie powtarzała kilka razy: *Zawsze musisz mieć ze sobą kwiaty.*

Nie udało mi się z krawatem, ale może dam radę z kwiatami. Gównie wiem o kwiatkach, więc pozwalam Lexie wybrać kilka. Różowe goździki są moim zdaniem niezłym wyborem. Niesie je Lexie. Idę obok niej, dłonie trzymam w kieszeniach, nerwowo szukając w nich biletów. Jedziemy metrem na Upper Westside, moje zdenerwowanie rośnie, gdy zbliżamy się do Juilliard.

Zatrzymuję się przed budynkiem, ciągnę Lexie za rękę, żeby zrobiła to samo i gapię się na masywną, spowitą szkłem i pomarańczową poświatą nocy trójkątną konstrukcję. Sam budynek wygląda jak dzieło sztuki. Skręca mi żołądek. Gdybym nie obiecał wcześniej Lexie, że pójdziemy na występ, wróciłbym do domu.

– Chodź – mruczę i prowadzę ją do środka. – Przedstawienie czeka.

Teatr jest mały, mieści się na trzecim piętrze budynku. Czekamy w kolejce, podaję nasze bilety i zostajemy wpuszczeni. Bileterka uśmiecha się do nas serdecznie, niemal przestaje się denerwować.

*Prawie.*

Lexie stoi obok mnie, opiera się o moją nogę i rozgląda dookoła. Prawie upada, gdy odstawiam nogę. Chichoczę, a ona łapie się kurczowo moich spodni.

– Zaczekaj na mnie.

Teatr ma około stu miejsc, ponad połowa jest już zajęta. Znajduję wolne miejsca tuż obok drzwi i wskazuję Lexie jej miejsce. Siadam na swoim fotelu i uważnie rozglądam się dookoła. Ludzie są nienagannie ubrani, siedzą spokojnie, cierpliwie czekając. Kobiety mają na sobie sukienki, a mężczyźni trzyczęściowe garnitury.

*Powinienem założyć ten pieprzony krawat.*

Lexie nie może usiedzieć spokojnie na swoim miejscu. Podskakuje na swoim miejscu i kołysze nogami, które nie sięgają podłogi, po czym głośno pyta:

– Długo jeszcze?

– Tylko kilka minut – odpowiadam, zerkając na zegarek i życząc sobie, żeby czas przyspieszył.

Nie umyka mojej uwadze, że Lexie jest tutaj prawdopodobnie jedynym dzieckiem na widowni. Pomimo tego, że w teatrze jest zimno jak w lodówce, moja skóra jest zaczerwieniona, jakbym siedział w świetle reflektorów.

– Popatrz, tatusiu. Patrz!

Patrzę w kierunku, w którym szarpie mnie Lexie.

– Co?

Moja córka rusza w stronę drzwi.

– To pani balerina. Pamiętasz?

Patrzę w kierunku wskazanym przez Lexie i widzę wchodzących rodziców Avery, którzy zatrzymują się, żeby przywitać się z kilkoma osobami. Zanim udaje mi się jej odpowiedzieć, że ich widzę, ona woła swoim piskliwym głosikiem:

– Cześć, proszę pani. Hej!

Zaczynam ją uciszać, chcę jej powiedzieć, że powinna mówić ciszej, ale już jest za późno. Matka Avery odwraca się w kierunku Lexie, uśmiecha się do niej ciepło i lekko macha ręką. Ta uwaga jej schlebia, Lexie podskakuje, piszczy i biegnie na drugą stronę teatru.

*Kurwa.*

Zrywam się na równe nogi, mamrocę przeprosiny do osób siedzących obok i przepycham się po nią. Gdy tylko się do niej zbliżam, słyszę jej podekscytowany głos.



– Też będzie pani tańczyć?

Matka Avery kręci głową.

– Nie, obawiam się, że tutaj nie zatańczę.

– Dlaczego?

– Bo jestem już za stara na zajęcia w Juilliard.

– Dlaczego?

To pytanie budzi prawdziwy śmiech kobiety.

– Myślę, że po prostu dorosłam.

Lexie zaczyna trajkotać o szkole i tańcu i pieprzonym Piotrusiu Panu, który nigdy nie dorasta i cholernym Nibylandzie. Reaguję, łapię córkę za ramię, zanim zacznie opowiadać historie, których nie powinna.

– Przepraszam – mówię. – Jest po prostu podekscytowana.

– Nie ma konieczności przeproszać – odpowiada. – Uwielbiam jej entuzjazm. Czy kiedykolwiek myślał pan o zapisaniu jej do szkoły tańca?

– Och, mogę, tato? – Lexie odwraca się do mnie z szeroko otwartymi oczyma. – Proooszę? Mogę?

– Ja... – Chcę się zgodzić, ale nie mogę. – W tej sprawie będziesz musiała porozmawiać z mamą. Sam nie mogę podjąć takiej decyzji.

Kobieta chrząka.

– Rozwiedziony?

Patrzę na ojca Avery. Nie wygląda na zadowolonego z naszej obecności.

– Nigdy nie byłem żonaty.

– Ale ma pan dziecko.

– Byliśmy na studiach i... – *Dlaczego, kurwa, tłumaczę się temu facetowi?* – W każdym razie przepraszam, że przeszkodziliśmy.

Zabieram Lexie z powrotem na nasze miejsca. Czuję na sobie przenikliwe spojrzenie Laurence'a z drugiego końca sali, jest jak ukłucia igłą maszynki do tatuowania. Ze wszystkich sił staram się to zignorować, włosy na karku stają mi

dęba. Siadam na swoim miejscu, rozpinam mankiety koszuli i podwijam rękawy.

Pieprzyć to.

Nie zamierzam udawać kogoś, kim nie jestem.

Teatr szybko się wypełnia, światła zostają zgaszone przed rozpoczęciem przedstawienia. Tancerze i choreograf zostają przedstawieni. Jak przez mgłę widzę scenę, ponieważ próbuję utrzymać na miejscu moją córkę, którą roznoszą emocje. Kilka występów później konferansjer zapowiada:

– W ostatnim występie wieczoru wystąpi Avery Moore w towarzystwie pozostałych studentów czwartego roku. To autorska choreografia panny Moore zatytułowana: *Zagłada*.

Nie spuszczam wzroku ze sceny. Zamiast zwykłej muzyki klasycznej, zamiast słodkich, gładkich melodii przez teatr roznosi się bicie basowych bębnów. Reflektor zostaje skierowany na Avery, która wchodzi na scenę, każdy jej krok jest pełen dramatyzmu, gdy porusza się w rytm muzyki. Ma sobie krótką, ciemnozieloną sukienkę w czarne plamy, postrzępioną na brzegach jak łachman. Muzyka staje się szybsza, głośniejsza, słuchać w niej rosnącą złość.

Avery porusza się po scenie, odwraca się, kołysze, skacze i zgina. Wysoko podnosi nogę, by za chwilę nisko ją zgiąć. Jestem oniemiały, w tej chwili nie istnieje nic, poza nią. Obserwuję Avery, która włada sceną. Oczy wszystkich widzów skupione są na niej. Trzyma publiczność w garści, posiada nie tylko ich ciała, ale również dusze.

Pozostali tancerze dołączają do niej, kilkanaście ciał porusza się w jej tle, a ona pozostaje w centrum uwagi. Tańczy na palcach bez wysiłku, z wdziękiem i bez najmniejszego zawahania. Nie słabnie nawet na chwilę. Sądziłem, że jej taniec w studio był piękny, ale teraz zapiera dech w piersiach. Jest odważne, pełne emocji, wściekłości i bólu serca. Każdy krok i uderzenie bębnów przeszywają teatr jak błyskawica. To absolutnie nie jest mała księżniczka w

różowym tutu... to bestia, potwór, w którego się zmienia. To porażające, emocje przeszywają duszę.

To cholernie brudne. I pokręcone.

Muzyka zmienia się, po kilku bitach wibracje przeszywają teatr, światła mrugają, gdy tancerze z tyłu upadają i znikają jeden po drugim ze sceny. Zostaje sama. Bas zmienia się w zwykłe, małe uderzenia i przechodzi w uroczystą melodię. Avery kręci piruety na scenie, poruszając się w zawrotnym tempie, by ostatecznie zwolnić wraz z muzyką. W końcu zatrzymuje się, stojąc wysoko na palcach, spojrzeniem ogarnia scenę i panuje kompletna cisza. Mam wrażenie, że gapię się na nią zaskoczony przez całą wieczność. Z ogłuszającym hukiem spada na płasko na scenę, reflektor znika i wszystko kończy się ciemnością.

Tłum szaleje. Lexie krzyczy i skacze w górę i w dół. Siedzę oniemiały, patrzę bez słowa przed siebie. Mam dreszcze. Światła ponownie rozjaśniają scenę, gdy tancerze wychodzą, kłaniając się widzom.

Ludzie zaczynają wstawać, niektórzy podchodzą pod scenę, dając artystom kwiaty. Patrzę na Lexie, która nerwowo ściska w dłoni różowe goździki.

– Śmiało, księżniczko – mówię cicho. – Idź i daj jej kwiaty.

Rusza, zanim kończę zdanie. Wstaję i idę w kierunku przejścia, nie spuszczać wzroku z córki, która przedziera się przez tłum. Ludzie mnie przepuszczają, patrzą podejrzliwie, gdy się nie ruszam. Lexie przebiega do przodu, nie chce być pominięta i unosi kwiaty wysoko nad głową. Avery ją zauważa i uśmiecha się promiennie. Podchodzi do przodu sceny i odbiera z radością bukiet, gdy Lexie owija wokół niej ramiona. Lekko się uśmiecham, ale po chwili mój spokój przerywa niski głos.

– Wiem kim jesteś – mówi. Odwracam głowę i łapię spojrzenie Laurence'a, stojącego tuż za mną. – Rhys Hatfield – mówi. – Prawie sześć lat temu wniosłem przeciwko tobie oskarżenie. Oczywiście wówczas nie znałem

twojego imienia. Wiedziałem jedynie, że nazywali cię Kapelusznikiem. Ale teraz już wiem.

Patrzę na mężczyznę. Nie wiem, co powiedzieć.

*Rozgryzłeś mnie. Gratulacje. Chcesz ciasteczko w nagrodę? Mam to w dupie.*

W jego głosie nie ma wrogości czy groźby.... Tylko stwierdzenie faktów, jakby był przekonany, że cokolwiek powiem, to i tak będzie to stek bzdur.

– Znam takich jak ty – kontynuuje. – Wiem co robisz, czego chcesz, ale nie ostaniesz tego od mojej córki. Ona ma przed sobą świetlaną przyszłość, ale nic z tego nie wyjdzie, jeżeli pociągniesz ją w dół. Jesteś skazańcem. Kryminalistą. Nie chcę być niegrzeczny, ale po prostu troszczę się o swoją córkę. Musisz mnie zrozumieć, w końcu sam jesteś ojcem. Czy chciałbyś, żeby twoja córeczka była z kimś takim jak ty?

*Ty mnie nawet, kurwa nie znasz* – Te słowa dudnią w mojej głowie, ale nic nie mówię, zamiast tego odwracam się od mężczyzny, skupiam uwagę na Lexie. Laurence może mnie nie znać, ale nie jestem ślepy, wiem jakim facetem jestem... mężczyzną, którego związki to jednonocne przygody, które rzadko trwają do wschodu słońca.

Czy chciałbym, żeby moja córka była z kimś takim jak ja?

*Kurwa, nie.*

Laurence odchodzi nie mówiąc już nic więcej i kieruje się w stronę sceny, do swojej córki. Przytula ją, podnosi i kręci w kółko. Korzystam z rozproszenia Avery i próbuję się wymknąć wołając do siebie Lexie. Podbiega do mnie.

– Chodźmy z stąd, księżniczko – mruczę, biorąc ją za rękę.

– Ale...

– Nie teraz. – Przerywam jej zanim może zwerbalizować swoje zastrzeżenia. – Robi się późno.

Marszczy brwi, ale nie protestuje, gdy wychodzimy z teatru znajdującego się na trzecim piętrze. Ociąga się nieco, najwyraźniej wcale nie chce stąd odchodzić. Idziemy korytarzem w stronę windy, gdy głos krzyczy za nami.

– Reece!

Avery.

Moje stopy automatycznie się zatrzymują, ale zmuszam je do ruchu, nie oglądając się za siebie.

– Tato – mówi Lexie, ciągnąc mnie za rękę. – Przestań, tatusiu.

– Reece! – krzyczy ponownie, a jej stopy uderzają o podłogę, gdy biegnie w naszym kierunku. – Zaczekaj!

– Proszę, tato – warczy Lexie, wyrywając rękę z mojego uścisku.

Zastyga przy windzie, gdzie ktoś przytrzymuje dla nas drzwi. Staram się ją wprowadzić do środka, ale mruży oczy i nie zamierza wejść do windy. Jest jasne jak słońce, że jeżeli wciągnę ją tam siłą, zgotuje mi piekło na ziemi.

Wzdycham. Ruchem ręki pokazuję, żeby pasażerowie w windzie pojechali bez nas i obserwuję zamykające się srebrne drzwi. Kroki szybko nas doganiają, zatrzymuje się tuż za nami. Oddycha szybko, gdy mówi moje imię.

– Reece.

Powoli odwracam się do niej. Ma zaczerwienioną skórę, makijaż rozmazany od potu, smugi brokatu błyszczą w blasku światła. A ona promienieje... kurwa, błyszczy jaśniej od słońca. Promieniują od niej pewność i szczęście. Gównu wiem o aurze, ale coś mi mówi, że gdybym mógł zobaczyć jej, to byłaby jasnożółta. Swędzi mnie ręka, chcę ją wyciągnąć i dotknąć jej ciepłej skóry i przesunąć palce po jej dolnej wardze, gdy uśmiecha się do mnie, ale tego nie robię.

– Zamierzasz tak po prostu odejść? – pyta z niedowierzaniem. – Nie zamierzałeś nawet powiedzieć cześć... albo do widzenia? Nic?

– Cześć – mówię cicho, odwracam od niej wzrok i mrużę. – Do widzenia.

– Tato – mówi Lexie, szarpiąc mnie za ramię. – Hej, tato.

Ignoruję ją, nie chcąc, żeby się zaangażowała i wpatruję się w windę, z nadzieją, że się ponownie otworzy i zakończy tę niezręczną chwilę.

– Nie rozumiem – mówi Avery, w jej głosie słychać ból. – to znaczy... czy to co zrobiłam było aż tak straszne? Czym sobie na to wszystko zasłużyłam? Przepraszam za tamten dzień, naprawdę. Już ci to mówiłam.

– Tatusiu – Lexie woła mnie ponownie, tym razem ściska wolną ręką moją nogę, żeby przykuć moją uwagę. – Tatusiu!

– Nie teraz – mrużę i odwracam się do Avery. – To nie jest dobre miejsce na takie rzeczy.

– Więc gdzie? – pyta. – I kiedy?

– Tatusiu! – jęczy Lexie, która uderza mnie mocno w bok, żeby zwrócić na siebie moją uwagę.

Marszczę czoło.

– O co chodzi?

– Muszę siusiu – mówi, przestępując z nogi na nogę.

– Och. – Kurwa. – Uhm...

– Tam jest łazienka – mówi Avery, robiąc krok do tyłu i krzyżując ramiona na piersi. – Pokażę ci.

Patrzę na windę, ciągam brwi, gdy drzwi ponownie się otwierają. Wygląda na to, że jeszcze nie możemy wyjść. Idziemy korytarzem za Avery do łazienki. Lexie wbiega do środka, a ja czekam, opierając się plecami o ścianę, ręce wsuwam w kieszenie i wpatruję się w podłogę. Wyczuwam wpatrującą się we mnie Avery, która stoi obok drzwi do łazienki.

– Po prostu... nie rozumiem – mówi. – Co się z tobą dzieje?

*Wszystko, myślę.*

– Mieliśmy coś wspaniałego – kontynuuje. – A przynajmniej ja sądziłam, że to było wyjątkowe. Było?

– To było kłamstwo, Avery – mówię. – Oczywiście, że było miło, ale masz swoje życie, do którego ja nie należę, a ono znaczy dla ciebie wszystko. Jesz, oddychasz i żyjesz tym światem, a ja nawet nie mogę zawiązać cholernego krawata, żeby spróbować się dopasować do niego w jeden wieczór. Ty... jesteś wyjątkowa, masz coś do zaoferowania. Ale nikt nie chce widzieć primabaleriny z kimś takim jak ja... to strata. Należysz do sceny, a nie brudnych ulic.

Gapi się na mnie.

– Jak możesz tak mówić?

– Normalnie – odpowiadam, odpychając się od ściany i stając prosto. – Taka prawda.

Hałas odwraca naszą uwagę, gdy Lexie wpada na korytarz.

– Umyłaś ręce? – pytam.

Przewraca oczami i wraca do łazienki. Patrę na Avery ponownie i podchodzę bliżej. Zatrzymuję się zaledwie kilka centymetrów od słodkiego zapachu jej perfum emanującego z jej gładkiej skóry.

– Ludzie bez przerwy oceniają książki po okładce, Avery. A twoja historia... jest piękna. Ty jesteś piękna. Ja jestem niczym więcej jak wyrwanymi stronami, graffiti, które nigdy nie powinno powstać. Nie psuj mną swojej historii.

Kładę dłoń na jej policzku, unoszę nieco głowę, nie mogę się powstrzymać. Kciukiem pocieram jej usta, pochylam się i ją całuję. W chwili, gdy się odsuwam Lexie wypada ponownie z łazienki. Kręci rękoma, rozpryskując wszędzie krople wody, jakby chciała mi udowodnić, że tym razem je umyła. Nie mówiąc ani słowa łapię jej mokrą rękę i prowadzę z powrotem do windy. Tym razem Avery nie idzie za nami.

## SIEDEMNASTY

Tłum wypełnił hol budynku kuratora w Tribeca, wszyscy czekają niecierpliwie na swoją kolej. Recepcjonistka ledwo mnie zauważa, gdy wchodzę i staję przy jej biurku. Ona nie ma ochoty tu być. Wcale mnie to nie dziwi. Będę najszcześniejszym człowiekiem na świecie, jeżeli więcej nie będę musiał tutaj przychodzić.

– Muszę spotkać się z moim kuratorem.

– Nazwisko?

Waham się, chrząkam i cicho odpowiadam:

– Rhys Hatfield.

Sprawdza w komputerze, po czym odwraca się.

– Nie ma cię na liście.

– Nie byłem umówiony.

– W takim razie musisz się umówić.

– Może pani po prostu do niego zadzwoni, jestem pewien, że spotka się ze mną – mówię. – Nazywa się Previn Warren.

Kobieta przeszywa mnie wzrokiem, jakbym utrudniał jej życie. Cholera, może tak właśnie jest. Ale przez pięć lat znosiłem wszystkie niedogodności związane z systemem i chcę to mieć już za sobą, bez względu na to, jak ona się z tym czuje.

Wzdycha i podnosi słuchawkę. Wybiera numer i przykłada ją do ucha.

– Panie Warren, jeden z pańskich podopiecznych tu jest... Tak, tutaj, w holu... Nalega na spotkanie z panem... Powiedziałam mu, że musi umówić się na spotkanie, ale nie chce mnie posłuchać.

Ignoruję tę uwagę, stoję tak i nerwowo poruszam nogą. Czekam.



– Tak, uh... zaczyna się na R... coś jak Ryż, albo jakoś tak. – Z irytacją łypie na mnie okiem. – Jeszcze raz nazwisko?

– Hatfield.

Ponowie skupia się na rozmowie.

– Mówi, że Hatfield.

Kobieta nic więcej nie mówi, kiwa głową, po czym odkłada słuchawkę. Macha ręką w kierunku windy.

– Trzecie piętro.

Odwracam się, żeby odejść.

– Dzięki.

– Następnym razem się umów wcześniej – krzyczy za mną.

– Nie będzie następnego razu – odpowiadam,

– Tak, tak – mruczy pod nosem. – Wszyscy tak mówią.

Jadę windą na trzecie piętro, kieruję się do biura kuratora Warrena, które znajduje się w tylnej części budynku. Drzwi się uchylone, on siedzi za biurkiem, jest ubrany w zwykły mundur i otoczony stosami papierów. Patrzy w górę, gdy staję w drzwiach, opera się o krzesło, gdy się ze mną wita.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, Hatfield? Wpadanie bez zapowiedzi nie jest w twoim stylu.

Sięgam do kieszeni, wyciągam złożoną kartkę papieru i podchodzę bliżej jego biurka.

– Wpadłem, żeby przynieść to.

Patrzy na mnie, bierze kartkę i ją rozkłada. Jego wzrok prześlizguje się po tekście z wyraźnym niedowierzaniem. To jest przekaz na dokładnie sześćset dwadzieścia trzy dolary i dziewiętnaście centów.

– Rekompensata? – pyta, oddając mi kartkę. – Mogłeś wysłać pocztą.

– Akurat to chciałem podrzucić ci osobiście.

Patrzy na mnie przez chwilę, po czym odgaduje mój tak myślenia.

– Zgaduję, że to ostatnia rata?

Przytakuję. Kurator ponownie patrzy na przekaz, kładzie go na biurku i wygładza. Po chwili odsuwa krzesło i wstaje, podając mi rękę przez biurko. Łapię ją, potrząsam, a on lekko się uśmiecha. Nic nie mówi, ale widzę, że sprawdza ukradkiem moje ręce. Przez pięć lat patrzył mi na ręce, wypatrując jakichkolwiek śladów farby w sprayu, dowodów na złamanie zakazów. Stare zwyczaje ciężko zmienić. Wiem.

– Gratulacje – mówi wreszcie i siada z powrotem na swoim krześle.

– Dziękuję, proszę pana.

– Upewnię się, że to dotrze tam, gdzie powinno – mówi. – Trzymaj się z daleka od kłopotów, dopóki sędzia nie podpisze twojego zwolnienia spod kurateli kuratora. Nie każ mi nigdy więcej na siebie patrzeć.

Nie musi mi tego powtarzać. Odwracam się, wychodzę, zjeżdżam windą na dół i opuszczam budynek, którego mam cholerną nadzieję nigdy więcej nie widzieć. Jestem splukany, nie wystarczy mi nawet na piwo po pracy, ale uważam, że było warto. Warto było zrobić to gównu, żeby zamknąć ten rozdział w moim życiu i przejść do kolejnego... lepszego... napisać inne zakończenie *mojej* historii.

Na zapleczu jest cicho, wyjątkiem jest brzęczenie i dudnienie dochodzące z innych pomieszczeń salonu. Siedzę przy biurku i na kartce szkicuję projekt. Klient przyszedł na konsultacje na początku tygodnia, chce plemienny tatuaż na ramieniu. Szkicowałem go już trzy razy, ale wyrzucałem i zaczynałem od nowa. Przez lata zrobiłem takich wiele, czuję jakbym nic nie robił, powtarzanie wzorów nie jest już niczym unikalnym. Na ile sposobów mogę to wyciągnąć?

Spoglądam na zegarek. Jest dwunasta trzydzieści. Klient umówiony na dwunastą na konsultacje się nie zjawił. Jest piątkowe popołudnie, koniec maja.

Jeszcze kilka godzin i zabiorę Lexie długi weekend z okazji Dnia Pamięci. Nie mogę się już doczekać kilku dni wolnego, którego nie miałem przez ostatni miesiąc. Prawie zamieszkałem w salonie, zbierając tak dużo klientów jak się dało, żeby zarobić wystarczająco dużo kasy, żeby pozbyć się tego ciężaru. Nowy początek.

Słyszę lekkie pukanie do drzwi. Patrzę przez ramię, obserwuję opierającą się o futrynę Ellie z terminarzem w dłoniach.

– Następna rezygnacja.

*To samo gówno, inny dzień.*

– Klientka z pierwszej złapała paskudne przeziębienie – wyjaśnia. – Przełożyłam spotkanie na za dwa tygodnie i podziękowałam za trzymanie zarazków z dala od salonu, bo jestem cholernie pewna, że ich nie potrzebujemy.

Przytakuję i odwracam się ponownie do projektu leżącego na biurku.

– Dzięki.

– Poza tym mamy klientkę z ulicy.

Kręcę głową.

– Nie dzisiaj.

– Ale pomyślałam, że skoro masz teraz wolne...

– Wyślij ją do Kevina.

– Prosiła o ciebie.

– Chrzanisz.

– Poważnie mówię.

– Nie. Idź do Kevina.

– To się nie uda – mówi. – Chce oryginalnego Hatfielda.

Zatrzymuję ołówek na papierze.

– W jakim sensie *oryginalnego*?

– Nie wiem.

– Nie zapytałaś?

– Pytałam i ona sama nie wie – oznajmia Ellie. – Powiedziała, że to zależy od ciebie... to chyba sprawia, że chodzi o oryginalność.

Siedzę przez chwilę nieruchomo, po czym rzucam ołówek i odwracam się na krześle. Z ciekawością patrzę na Ellie, wstaję i przeciskam się obok niej bez słowa. Idę w kierunku recepcji, zamieram, gdy dostrzegam samotną kobietą, stojącą do mnie tyłem i podziwiającą najnowsze graffiti. Jest tak świeże, że w pomieszczeniu nadal śmierdzi farbą. Nie widzę jej twarzy, ale znam ciało, pamiętam każdy, zapierający dech w piersiach cal.

*Avery.*

Nie widziałem jej od tygodni, od jej występu, ale stoi tu, ubrana w czarny, luźny strój bez pleców, eksponując krzywiznę kręgosłupa. Ma nieprawdopodobnie długie nogi, mięśnie łydek są dobrze wyrzeźbione i wyeksponowane, ponieważ ma szpilki, które dodatkowo eksponują krągłości jej tyłka. Nagle, jakby wyczuwała moją obecność, odwraca się i nasze oczy się spotykają. Powoli do niej podchodzę.

– Avery...

Unosi rękę, żeby powstrzymać moje słowa i wtrąca, zanim mogę powiedzieć, że nie powinno jej tutaj być.

– Po prostu... daj mi chwilę, dobrze? Odejdę, jeżeli będziesz chciał. Tylko pozwól mi zrobić to, po co przyszłam i powiedzieć to co mam do powiedzenia.

Rozglądam się po salonie, patrzę na Ellie, która wróciła właśnie do swojego biurka, udając, że nas nie zauważa, ale nie jestem kretynek. Wiem, że umiera, żeby usłyszeć każde słowo. Odwracam się do Avery, robię krok w jej stronę i kiwam głową, żeby kontynuowała. Stoi cicho, jakby nie wiedziała co powiedzieć. Wzdycha głęboko.

– Dzisiaj rano skończyłam szkołę. W zasadzie jakąś godzinę temu. Oficjalnie jestem absolwentką Julliard.

Siadam obok niej na oparciu kanapy.

– Gratuluję.

– Dziękuję – szepcze i się uśmiecha. – Moi rodzice robią z tej okazji imprezę... no dobrze, robią coś, co oni uważają za imprezę. W zasadzie miałam tam teraz być, ale przyszedłam tutaj.

– Prawdopodobnie martwią się twoją nieobecnością.

– Mama wie, że nie przyjdę, a ojciec... cóż, wkurzy się, ale to nie ma znaczenia. Nie zrozumiałby. Sądzę, że nie jest w stanie tego zrobić. Nie wie jak to jest. Całe jego życie wiązało się z baletem i sprawił, żeby balet był też moim życiem. Nigdy nie poszłam własną ścieżką. I wiesz co... miał rację. Urodziłam się, żeby tańczyć. Taniec jest dla mnie jak oddychanie, sądzą, że nie mogłabym bez tego żyć. Ale to, że miał rację nie oznacza, że ma ją w każdej kwestii. To nie oznacza, że ma rację, jeżeli chodzi o ciebie. Kocham tańczyć, Reece, ale to nie jest jedyna rzecz, którą darzę tym uczuciem. Ciebie też kocham.

Jej słowa uderzają we mnie, mrugam kilka razy i marszczę brwi. Myślę, że z pewnością źle ją usłyszałem, aż zza biurka recepcjonistki dochodzi pisk przechodzący w kaszel.

– Przepraszam – mówi Ellie. – Coś mi utknęło w gardle.

Rzucam jej twarde spojrzenie, po czym patrzę na Avery i nie mam pojęcia co powiedzieć.

– Słuchaj, ja...

Ponownie unosi rękę, żeby powstrzymać moje słowa.

– Tak jest, dobra? Wiem, że uważasz, że nie jesteś dla mnie odpowiedni, ale zupełnie mnie to nie obchodzi, ponieważ jest w tobie cała masa dobrych rzeczy. Uwielbiam fakt, że poważnie podchodzisz do sztuki, nawet jeżeli masz zrobić coś banalnie głupiego jak wytatuowanie imienia Johnny na wstążce okalającej serce. Uwielbiam cię za to, że bycie kochającym ojcem jest dla ciebie ważne i za to, że tak bardzo kochasz swoją córkę. Cholera, ja też ją kocham.

Patrzę na nią oniemiały.

– Kochasz ją?

– Jak mogłabym jej nie kochać? – mówi. – Ona jest twoją miniaturką. Wszystko co w tobie kocham jest w niej. I uwielbiam to, że moja miłość do niej wywiera na tobie większe wrażenie, niż moje uczucie do ciebie. Powiedziałeś, że jestem wyjątkowa, Reece, ale ty również taki jesteś, nawet jeżeli tego nie zauważasz... Wygląd twojej twarzy, gdy się koncentrujesz, sposób w jaki stajesz się dziwnie poetycki, gdy się denerwujesz, albo, że robisz naleśniki, gdy prostsze byłoby wsypanie płatków do miski, ale robisz to z miłości, a ja to uwielbiam. Kocham to wszystko.

Te słowa trafiają we mnie, opadam na oparcie kanapy i krzyżuję ręce na piersi.

– Kochasz mnie.

– Tak – mówi.

– Przyszłaś tutaj, żeby mi to powiedzieć?

– Tak. – Przerzywa. – Nie zupełnie. Przyszłam też, żeby ci powiedzieć, że wiem.

– Wiesz.

To nie jest pytanie. Może to przez jej spojrzenie, ale wiem dokładnie o czym mówi. Zna mnie. Całego mnie.

– Hatter (Kapelusznik) – mówi cicho. – Zgaduję, że to skrót od Hatfield. Myślałam, że to z po prostu... uh... przydomek.

– Wszystkiego po trochu – odpowiadam.

Patrzy na mnie i marszczy brwi.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Sądziłaś, że nie zrozumiem?

– Nie było sensu – odpowiadam. – Nie jestem już tamtym facetem.

– Ależ jesteś. Jesteś *nim*. Widzę to w tobie.

– Co widzisz? Że jestem facetem z wyrokiem? To, że mieszkam w najgorszej dzielnicy na Manhattanie? Nie mogę prowadzić, głosować, ani opuścić pieprzonego stanu? Spisz to na kartce i zobaczysz, że nie mam nic do zaoferowania, Avery. Moje strony tylko zniszczą twoją piękną książkę.

– Mylisz się – ripostuje. – Może ludzie oceniają książki po okładkach, jak powiedziałeś wcześniej, ale mnie to nie obchodzi, bo tak się składa, że lubię graffiti. To jest sztuka... prawdziwa sztuka... taka prosto z duszy. Jeżeli ktoś przeoczy przekaz z tego powodu, ponieważ nie będzie w stanie go zobaczyć, to już jego starta, nie moja. Poza tym książki to i tak tylko papier i atrament. Są jak martwe drzewa pokryte tatuażami i tak się składa, że uważam to za coś pięknego.

Śmieję się tak mocno, że aż się prostuję.

– Czyli po to przyszedłeś? Powiedzieć mi, że wiesz kim jestem?

– Tak. – Jej głos nieoczekiwanie cichnie. – I żeby zrobić sobie tatuaż, jeżeli nadal będziesz chciał to zrobić.  
Zastanawiam się nad tym.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego chcesz tatuaż?

Przez chwilę nie mówi, patrzę na nią i czekam na odpowiedź. Wcześniej nie chciała tatuażu, a ja nie zamierzam jej go zrobić, jeżeli jedynym powodem jego powstania miałyby być obecność w salonie.

– Ponieważ – mówi cicho. – Chcę coś swojego, a teraz wiem, gdzie to znaleźć.

– Gdzie?

– Z tobą. – Patrzy na mnie ostrożnie. – Powiedziałeś, że pomożesz mi to znaleźć i tak zrobiłeś. Chcę tego, co jest w tobie.

Nie wiem do końca co mam zrobić z jej słowami. Mój wewnętrzny cynik chce je wyśmiać i odesłać ją z powrotem na Upper Westside, do którego należy razem ze swoją rodziną, ale inna część mnie się zastanawia... czy ona naprawdę tam należy? Wpasowała się w moje życie bez najmniejszego problemu. Nigdy nie była taka jak inne kobiety. Jediną osobą tutaj, która osądza, wyśmiewa i potępia mnie... jestem... jestem ja sam. Sam to sobie robię.

Moja kilka sekund zanim kiwam głową i ruszam w stronę pracowni.

– Za tobą, jak sądzę. – Avery waha się, jakby oczekiwała, że zaprzeczę, ale kiwam głową, a ona nieśmiało maszeruje obok mnie.

Lekko się uśmiecham, ale szybko przestaję, gdy słyszę głos zza biurka recepcjonistki.

– Psst, Reece! Psst!

Nie patrzę w jej stronę, wychodzę z poczekalni mamrocząc pod nosem:

– Pilnuj swoich spraw, Eleanor.

Avery wchodzi do pokoju i załamuje ręce. Wygląda na zdenerwowaną, podobnie jak większość osób, które przychodzą po pierwszy tatuaż, gotowe na zmierzenie się ze mną i igłą maszynki. Przechodzę obok niej siadam na stołku i wskazuję na fotel do tatuażu.

– Usiądź.

Avery zajmuje miejsce na śliskim stole do tatuowania, jej stopy wciąż dotykają podłogi. Przysuwam bliżej swój stołek, nasze kolana się o siebie ocierają.

– Co chcesz?

– Cokolwiek, co mi dasz.

Reaguję dreszczem na te słowa. Przyjemność swobody twórczej, możliwości zrobienia wszystkiego co tylko sobie zamierzę i zmieniać to tak, jak uważam jest drugą z najważniejszych dla mnie emocji. Jej ciało jest sztuką, skóra, kości, mięśnie od głowy o czubki palców, sposób w jaki wyraża siebie...



wszystko. Ale jest tutaj i oferuje mi to wszystko, proponując mi oznaczyć się w sposób w jaki nigdy wcześniej nie została oznaczona. Właśnie tego chciałem, gdy po raz pierwszy ją zobaczyłem... być jedynym, który zostawi na niej trwałą ślad. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że tak głęboko we mnie wniknęła, zostawiając swój znak. Oferuje mi swoje ciało, ale już zmieniła moją duszę.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – pytam spokojnie i całkiem poważnie. – Muszę się upewnić.

– Tak.

– Tatuaze są na zawsze – ciągnę. – Można spróbować je usunąć, ale zawsze pozostaje jakiś znak. Nie chcę, żebyś obudziła się jutro i żałowała swojej decyzji.

– Jestem pewna swojej decyzji – odpowiada. – Chcę, żebyś zostawił swój ślad na mnie.

Powoli skanuję wzrokiem jej ciało.

– Gdzie go chcesz?

– Gdziekolwiek chcesz go zrobić.

Nasze spojrzenia się spotykają, zastanawiam się, czy ma świadomość jak to brzmi, ale widzę mały uśmiech unoszący kąciki jej ust. Kręcę głową, chichoczę i wstaję.

– Masz odważną duszę, Afrodyto, skoro wierzysz w takiego faceta jak ja. Mogę wytatuować ci penisa na lewym pośladku i nawet nie będziesz o tym wiedziała.

– Ufam ci – mówi. – Jesteś jedyną osobą, która da mi dokładnie to, co uzna za właściwe.

Inteligentna kobieta. Odwaga granicząca z brawurą.

*Prawie.*

Ale nadrabia pewnością siebie, ponieważ wie, że nie zrobię nic, co mogłoby jej zaszkodzić.

– Pani chce, pani ma – mówię, wskazując w stronę pudełka z kasetami. – Wybierz swoją muzykę i możemy zaczynać.

– O nie – mówi, kręcąc głową. – To twoje dzieło, pamiętasz? Ty wybierasz.

*Hmm*

Wyciągam pudełko z kasetami i przeglądam je, w końcu wyciągam taką, której nikt przez wszystkie lata mojej pracy nie wybrał. Ściągam plastikową folię z opakowania. Nikt nigdy nawet mnie nie zapytał co jest na pozornie pustej taśmie, nikt nie był na tyle ciekawy, żeby zaryzykować. Muzyka dużo mówi mi o ludziach, a fakt, że nikt nigdy nie zapytał o tę kasetę jasno dał do zrozumienia, że moi klienci nie byli skłonni pójść na żywioł i zaryzykować. Podążali zgodnie z logiką i dokonywali racjonalnych wyborów.

A gdzie jest ciekawość? Gdzie podziła się intuicja? Gdzie podążanie za sercem zamiast rozumem?

Wkładam taśmę do kieszeni magnetofonu i włączam. Dźwięki muzyki elektronicznej rozchodzą się echem po pracowni, bębny łączą się z syntezatorami i klawiaturami, od czasu do czasu mieszając się z całą orkiestrą.

Podchodzę do drzwi i cicho je zamykam, dając nam odrobiny prywatności, zanim zacznę pracę. Przygotowuję swoje stanowisko pracy, wyciągam szeroki wachlarz kolorów na wszelki wypadek. Staję za nią, wyciągam powoli rękę, ale zatrzymuję się, gdy palcami dotykam skóry jej pleców. Drży w reakcji na mój dotyk.

– Mogę? – pytam, przesuwając palcami po materiale sukienki, która opada z jednego ramienia odsłaniając jej plecy.

– Śmiało – mówi. – Myślę, że nie możesz zrobić mi tatuażu bez dotykania mnie.

– To prawda. Niemniej nadal czuję, że potrzebuję pozwolenia.

Wsuwam ręce pod materiał sukienki, ściągając ją nieco z jej ramion. Pomaga mi, wysuwa ręce, odsłaniając górną połowę ciała i pozwala, żeby materiał opadł niżej.

– Połóż się na brzuchu – mówię cicho. – Może w ten sposób twoje cycki nie będą mnie rozpraszać.

Avery parska śmiechem, rumieni się i kładzie wygodnie na stole. Sukienka zsuwa się na jej uda, ledwo zakrywając ciało. Kończąc przygotowania i siadam na stołku, przysuwam się bliżej i zakładam czarne rękawiczki.

– Będzie bolało – ostrzegam ją. – Na początku będziesz czuła coś jakby drapanie, momentami możesz czuć pieczenie i ostrzejsze ukłucia, ale postaram się być tak delikatny na ile to tylko będzie możliwe.

– To będzie tego warte – mówi i opiera głowę na ramieniu, patrząc na mnie. – Poza tym, mam całkiem niezłą tolerancję na ból.

Pomimo jej oświadczenia widzę, że spina się, gdy włączam maszynkę do tatuowania, której monotonne brzęczenie wypełnia przestrzeń, mieszając się z dźwiękami muzyki. Sięgam i powoli pocieram jej plecy, żeby się odprężyła. Patrę na nią, pozwalam muzyce mnie przeniknąć, próbuję wyczarować inspirację wyobrazić sobie coś na tyle dobrego, żeby było warte wytatuowania na jej doskonałej skóry. Gdy się relaksuje przykładam zimną igłę z czarnym tuszem na środku jej pleców. Bierze gwałtowny oddech i zaciska zęby gdy igła wbija się w zewnętrzną warstwę skóry. Patrę na nią, upewniając się, że wszystko jest w porządku, po czym koncentruję całą uwagę na swojej pracy.

Łatwo się zatracam, zapadam w trans podsycany muzyką. Pulsuje w moich żyłach, nakręca mnie i ustala mój rytm. Rysuję zakrzywione, czarne linie na plecach, wzdłuż kręgosłupa między jej wyrzeźbionymi łopatkami. Tatuuję przypadkową, chaotyczną zbieraninę kresek i znaków przechodzących w formę abstrakcyjnej figury.

Zmieniam igłę, dając jej chwilę wytchnienia. Przekładam taśmę i ponownie włączam muzykę. Patrzę jej w oczy i delikatnie się uśmiecham.

– Wszystko dobrze?

– Tak – szepcze. – Skończyłeś już?

– Nawet nie jestem blisko końca – chichoczę.

Odwzajemnia mój uśmiech, a ja siadam na stołku i zmieniam kolor. Praca idzie płynnie, cieniuję i koloruję, róż zieleń, błękit, biel i fiolet mieszają się ze sobą. Kolory rozmywają się na brzegach, łączą razem i biegną obok wcześniej wyznaczonych linii. Jej skóra jest podrażniona, krzyczy na mnie ze złością, gdy kończę, ale nigdy wcześniej nie byłem tak cholernie dumny z tego co stworzyłem. Przypomina mi o czasach, które dawno minęły, gdy stałem po przeciwnej stronie ulicy pewnego studia tańca, gdy właściciele odkryli graffiti pokrywające powierzchnię od drzwi do okna.

Wycieram tatuaż z nadmiaru tuszu i smaruję jej skórę maścią kojącą, jedyne co mogę teraz zrobić, to podziwiać dzieło. Jestem zdenerwowany. Jeżeli jej się nie spodoba, to oboje będziemy mieć przejebane. Wyłączam maszynkę, cichnie brzęczenie. Odsuwam swój stołek i wskazuję na lustro.

– Zobacz i powiedz co sądzisz... ale szczerze.

Avery wstaje, sukienka opada jej do kostek, gdy ją puszcza, a przyzwoitość szlag trafia. Wychodzi z niej, zostawiając ją na podłodze i podchodzi do lustra. Wstrzymuję oddech, gdy zerka przez ramię na swoje odbicie. Pełna wdzięku, abstrakcyjna balerina owinięta kolorowym bałaganem jest jakby akwarelowym portretem Avery. Mijają sekundy w wypełnionej napięciem ciszy, a ona patrzy na tatuaż, po czym szepcze:

– Jest piękny.

Wstaję, ściągam i wyrzucam rękawiczki, gdy podchodzę do niej.

– Tak sądzisz?

– Tak. – Patrzy w lustro, studiując swoje odbicie. – Kocham go, Reece.

Zatrzymuję się przed nią, delikatnie kładę rękę na jej biodrze, pochylam się i całuję zagłębienie szyi.

– A ja kocham ciebie.

Avery odwraca się do mnie szybko.

– Co?

– Słyszałaś – odpowiadam. – Nie wiem kiedy dokładnie, ale to stało się dawno temu. Zakochałem się w tobie i nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

– A co chcesz z tym zrobić? – pyta, starając się ukryć uśmiech zakradający się na jej usta.

– Biorąc pod uwagę, że stoisz teraz przede mną prawie całkiem naga? Powiedziałbym, że to co chcę zrobić, spowoduje, że nasze wspomnienia z nocy w studiu tanecznym będą się rumienić. – Przysuwam usta do jej ucha. – Chciałbym rzucić cię teraz na stół i pieprzyć tak mocno, żeby barman w barze po drugiej stronie ulicy słyszał twoje krzyki.

Jej oddech się urywa.

– I co cię powstrzymuje?

– Byłoby mało profesjonalnie, gdybym spieprzył twój całkiem nowy tatuaż.

Śmieje się, podnosi sukienkę i zakrywa się nią, ale wzmianka o tatuażu po raz kolejny kieruje jej uwagę na odbicie w lustrze. Muszę to przyznać, naprawdę ma dużą tolerancję na ból. Pokazała lekki dyskomfort w pewnej chwili, gdzie tak naprawdę miała prawo odczuwać ból przypominający oparzenia słoneczne.

– Jak mam o niego dbać? – pyta. – Nie chcę nic zepsuć.

– Nawilżaj skórę, ale pozwól jej oddychać – odpowiadam. – Polecam coś w stylu maści A&D przez pierwsze czterdzieści osiem godzin, a potem możesz używać bezzapachowego balsamu nawilżającego.

Sięga ręką za plecy, wzdryga się po raz pierwszy tego popołudnia, palcami sięga krawędzi tatuażu.

– Nie dosięgam całego.

– Hmm... o ile pamiętam jesteś dość gibka.

– Owszem, jestem, ale nie jestem akrobatą.

– Mogę pomóc... wcierać balsam w dolną część – oferuję, opierając się plecami o stół do tatuażu. – Jakie masz plany na weekend?

– Uh, nie wiem – mówi, marszcząc czoło i zastanawiając się nad odpowiedzią. – To dziwne, ale pierwszy raz w życiu nie mam nic do roboty. Nie mam planów... nie tylko w najbliższy weekend. Na przyszłość. Zawsze zakładałam, że chciałabym dołączyć do jakiegoś zespołu baletowego, ale ja nie... nie wiem. Skończyłam Juilliard i nie mam pojęcia co z tym zrobić.

– A co chcesz zrobić?

– Nie jestem pewna – mówi, zastanawia się przez chwilę i zaczyna się śmiać. – Nigdy wcześniej nikt mnie o to nie zapytał. Nigdy o tym nie myślałam. Co teraz?

Co teraz? To cholernie dobre pytania. Dawno temu też zadawałem sobie to pytanie. Wiele lat później nadal nie mam pełnej odpowiedzi.

– Cóż, nie znam odpowiedzi na to pytanie – mówię. – Ale być może będę mógł pomóc w zaplanowaniu najbliższej przyszłości. W najbliższy weekend jedziemy z Lexie do Jersey do parku dinozaurów na pizama party, więc jeżeli jesteś zainteresowana, to zapraszam.

– Pizama party? W parku dinozaurów?

– Tak. Spanie pod gwiazdami w stuli Parku Jurajskiego. Namioty, śpiwory, ognisko, dinozaury... nic więcej.

– Brzmi nieźle – stwierdza. – Wchodzę w to... oczywiście jeżeli Lexie nie ma nic przeciwko temu. Minęło sporo czasu odkąd się widziałyśmy. Może nie chcesz mnie widzieć.

– Chyba żartujesz – odpowiadam. – Lubisz jej dinozaury. Ten rodzaj przyjaźni jest ponadczasowy, Afrodyto. To sprawia, że jesteście najlepszymi przyjaciółkami na całe życie.

Uśmiecha się szeroko.

– No to muszę zacząć się pakować.

– Super.

– Więc ile się należy za oryginalnego Hatfielda?

Kręcę głową.

– Nic.

– Ale...

– Nie przejmuj się tym – nalegam. – Cała przyjemność po mojej stronie.

– Jesteś pewien? To jest piękne, Reece. I dużo warte.

– Absolutnie pewien – potwierdzam ujmując w dłoń jej policzki. – Poza tym jedynie dodałem nieco charakteru. Już byłaś dziełem sztuki.

Uśmiecha się głupkowato, a ja się pochylam i całuję ją... i jeszcze raz i jeszcze.

– Co będziesz teraz robił? – szepcze pomiędzy całusami.

– Będę cię całował.

– Wiem, że to mało atrakcyjna propozycja, ale może chciałbyś pójść ze mną na imprezę?

Całuję ją ponownie, po czym się odsuwam.

– Impreza?

Kiwa głową.

– Nie musisz. Pomyślałam, że...

– Żartujesz? – przerywam, obejmując ją ramieniem.

– To impreza u Mooreów. Prawdopodobnie będą muffinki, lody i cała masa innych pyszności. Za żadne skarby świata nie przegapię tego gówna.

## OSIEMNASTY

Leżę na kanapie przełączając bez sensu kanały w telewizji, nie zwracając specjalnej uwagi na żaden program. Jest środek popołudnia, jasne, letnie słońce wpada przez okno do salonu, rozlewając się jasną plamą na podłodze, gdy Lexie tańczy, ciągnąc za sobą zasłonę. Patrzy na zewnątrz, na zatłoczoną ulicę Manhattanu i nawet nie zauważa, że bajki zostały wyłączone.

– Która godzina, tato?

Nawet nie patrzę na zegarek.

– Jakies dwie minuty później, od chwili gdy pytałaś po raz ostatni.

Wiruje pod zasłoną, nie zwracając uwagi na nic i tak mocno się kręci, że niemal wygina w łuk karnisz.

– A teraz?

– Ta sama – odpowiadam. – Dodaj tylko kolejne trzydzieści sekund.

Przez chwilę jest cicho, po czym ponownie pyta.

– A która teraz jest godzina, tatusiu?

– Jakies pięć minut później, plus minus.

– Jakie plus minus?

– Minutę albo więcej.

– No to która jest?

– Jakiś kwadrans po pierwszej.

Tupie nogą i patrzy na mnie.

– Za dużo tej matematyki!

Śmieję się i patrzę na zegarek.

– Jest siedemnaście minut po pierwszej.



– Dziękuję. – Podkreśla słowa jakby musiała pokazać zęby, żeby dostać ode mnie odpowiedź.

Wraca do okna, uderza w zasłonę i owija ją wokół ramion, rozglądając się po okolicy.

– Och, jest tutaj! Tato! Tato! Jest już!

Lexie odrzuca zasłonę i pędzi do drzwi podskakując z podniecenia. Otwierają się w ciągu minuty. Wchodzi Avery z torbą na ubrania do tańca przerzuconą przez ramię. Czarny trykot szczelnie opina jej ciało, za duże, szare spodnie wiszą jej w talii, a ich nogawki podwinęła do kolan.

Szybko skanuję jej ciało, ma spoconą skórę, rumieniec na policzkach, a włosy wypadają z koka, który ma na czubku głowy. Wygląda oszłamiająco nawet, gdy jest spoconym bałaganem, ale wyraz jej twarzy wyrywa mnie z zachwyty. Wygląda na zdenerwowaną. Ścisną mnie w żołądku.

Ostatnie miesiące były dla niej ciężką lekcją, pełną przeszkód i rozczarowań. Przesłuchanie za przesłuchaniem nie dawały żadnego efektu, za każdym razem była odrzucana. Zbyt niska, zbyt krągła, za młoda... *za pieprzone wszystko i niespełniająca wymogów.*

Tradycyjne zespoły baletowe odrzuciły ją, mówiąc, że jest zbyt nowoczesna, wydając osąd na podstawie jej tatuażu na plecach, a z kolei grupy zajmujące się tańcem nowoczesnym zarzucały, że ma zbyt klasyczne wykształcenie. Spędziła kilka ostatnich tygodni pracując nad nową choreografią do projektu za marne kilka stówek tygodniowo. Gówniana stawka na Manhattanie, ledwo wystarczająca na przeżycie, ale to się da zrobić. Wiem. Przeszedłem przez to. Dzisiaj jest dzień *wszystko albo nic*, ostatni dzień trwania projektu, gdy tancerze dostają ofertę, albo odchodzą z kwitkiem. Zniknęła o wschodzie słońca, zostawiając mnie pełnego nadziei na sukces, ale wyraz jej twarzy mówi coś zupełnie innego.

– Złe wieści – szepcze, patrząc na mnie.

Ledwo udaje mi się zapytać.

– Co się stało?

– Bridgette i Johny zerwali ze sobą.

Potrzebuję chwili, żeby załapać sens tego, co właśnie powiedziała. Kręcę przesadnie głową.

– Jaka tragedia.

– Avery! – Lexie łapie ją za nogawkę i ciągnie w dół, skupiając na sobie jej uwagę. – Dostałaś się? No nie?

Avery patrzy w dół na Lexie. Zapada lodowata cisza, po czym najjaśniejszy z możliwych uśmiech pojawia się na jej twarzy.

– Tak.

Lexie piszczy głośno, podskakuje i klaszcze w dłonie.

– Zrobiliśmy to!

– Zrobiliśmy to! – Avery rzuca torbę na podłogę, nawet nie zamyka drzwi wejściowych, gdy zaczyna skakać z Lexie i powtarza jej słowa.

Odkładam pilota, wstaję i podchodzę do nich. Zamykam drzwi, łapię Avery za biodra i przyciągam do siebie. Śmieje się i owija ramiona wokół mojej szyi.

– Gratulacje – mówię. – Zrobiłaś to.

– *My* to zrobiliśmy – poprawia mnie, zgodnie z tym, co wcześniej powiedziała Lexie. – Bez was to byłoby zupełnie niemożliwe. Bardzo mnie wspieraliście. Wiem, że to nie jest najlepsza praca na świecie... to tylko taniec, ale jednak na Broadwayu i płacą trzy razy tyle ile teraz zarabiam, więc będę mogła pomóc w większym zakresie.

– To wspaniale – mówię, pochylając się i całując ją w usta. – *Ty jesteś* wspaniała.

Lexie udaje odruch wymiotny i wpycha się między nas, gdy ponownie całuję Avery. Pcha nogi Avery, oddzielając nas od siebie i staje zaborczo przez nią, jakby chciała ją zatrzymać tylko dla siebie.

– Tato, czy możemy dostać lody z tej okazji?

– Właśnie... tato – żartuje Avery, mierzwiąc włosy Lexie, której loki zasłaniają twarz. – Czy mamy jakieś lody?

– Po obiedzie – odpowiadam. – Mamy plany na dzisiaj, pamiętasz?

Obie dziewczyny robią miny, gdy im o tym przypominam. Śmieję się i unoszę ręce w geście obrony.

– Hej, nie miej do mnie pretensji. Z przyjemnością to odwołam.

Lexie wiwatuje, ale Avery szybko tonuje jej podniecenie.

– No tak, nie możemy tego odwołać. Zrobiliśmy to ostatnim razem.

– I wcześniej też – dodaję. – W zasadzie odwołaliśmy wszystkie spotkania, na które nas zaprosili.

Obiad z państwem Moore.

Avery zazwyczaj spotykała się z rodzicami przynajmniej raz w tygodniu, ale od czasu, gdy się do mnie wprowadziła po skończeniu szkoły, widywali się sporadycznie. Nie odcięli się od niej zupełnie, nie poszli w ślady moich rodziców, ale nie nazwałbym ich dumnymi rodzicielami.

Wzdycha, Avery patrzy na Lexie i marszczy brwi.

– W takim razie lody będą musiały poczekać.

Dziewczyny uciekają, żeby się przygotować, a ja kładę się na kanapie i przejmuję władzę nad pilotem do telewizora. Przerzucam kanały, dopóki nie zwalniają łazienki i mogę wziąć szybki prysznic. Myję się i ubieram, wkładając w to tyle samo wysiłku, co zazwyczaj.

Nauczyłem się już dawno temu, że nigdy nie zyskam aprobaty ojca Avery i przestałem starać się mu zaimponować. Czy komukolwiek. Jeżeli nie jestem dla nich wystarczająco dobry, to już ich problem. Jestem kim jestem.

Zakładam czyste dzinsy i koszulę z długim rękawem. Biorę czarno – białe sportowe buty i wracam do salonu. Avery stoi ubrana w prosty, czarny top z niewielkim dekoltem z przodu i z tyłu, eksponując skórę i część jej tatuażu. Uśmiecham się, przesuwam wzrok na jej tyłek w różowych, obcisłych, seksownych spodniach

– Twój ojciec dostanie zawału.

– Skoro do tej pory go nie dostał, to myślę, że nic mu nie będzie – odpowiada. – Nic nie przebije szoku, którego doznał, gdy oznajmiłam, że się do ciebie wprowadzam.

– To brzmi jak wyzwanie – mówię, siadając na kanapie. – Przyjmuję je.

Avery śmieje się i zakłada płaskie, czarne buty. Lexie wbiega w podskokach do pokoju, jest z nas wszystkich najbardziej wymyślnie ubrana. Sama wybrała swój strój, więc ma na sobie falbaniastą, różową spódnicę tutu, którą dostała w prezencie od matki Avery, do tego czarne legginsy i czarno-białą koszulkę, a wszystko jest zwieńczone brązowymi kowbojkami.

*Każdy potrzebuje kowbojek* – powiedziała mi pewnego dnia. – *Na wypadek gdyby musiał jeździć kiedyś konno.*

Kim jestem, żeby dyskutować z tak przedstawioną logiką?

– Wyglądasz odłotowo – mówi Avery, przybijając z Lexie piątkę. – Chcesz, żebym zaplotła ci warkocz?

– Tak, poproszę.

Siada obok mnie, a Avery szybko zaplata jej włosy we francuski warkocz. Gdy kończy, Lecie biegnie przejrzeć się w lustrze, a Avery odwraca się do mnie. Śmieje się i kładzie dłoń z boku mojej szyi.

– Chyba dzisiaj malowałeś.

– Rano.

– Zostawiłeś trochę farby. – Delikatnie zdrapuje paznokciem zaschniętą na mojej skórze kolorową plamę. – O tutaj.

– Chodźmy! – krzyczy Lexie, wybiegając z łazienki i kierując się prosto do wyjścia. – Jestem głodna!

Obiad jest we francuskiej restauracji w dzielnicy teatralnej. Dojeżdżamy na miejsce kilka minut po siódmej, a rodzice Avery już na nas czekają. Restauracja jest elegancka, ściany są wysokie i złote, sufit wysoki, dywan obsyty złotem z pasującymi, miękkimi kanapami w kolorze burgunda. Stoły nakryte są białymi obrusami, na których stoi chińska porcelana, kryształowe kieliszki i srebrne sztuce. Szefowa Sali prowadzi nas na miejsce, ściskam mocno dłoń córki, trzymając ją blisko siebie. Posyłam Avery czujne spojrzenie, gdy docieramy do stoika i wskazuję, żeby pierwsza zajęła miejsce.

Czekam tylko aż zdarzy się jakaś katastrofa.

Gdy Avery siada, kieruję Lexie obok niej. W końcu sam zajmuję miejsce, łoża bez problemu mieści całą naszą trójkę. Zanim ktokolwiek może coś powiedzieć odsuwam kieliszki i sztuce od Lexie i oddaję je, gdy tylko podchodzi kelner.

– Może pan to zabrać, zanim coś zostanie stłuczone, albo ktoś zostanie ranny. – Zabiera wszystko, kiwa głową i szybko znika.

Powitanie jest uprzejme, chociaż trochę wymuszone, z wyjątkiem powitania matki Avery z Lexie. Nie mam już nic przeciwko chłodnemu traktowaniu... robię to dla Avery i toleruję jej ojca przez wzgląd na nią, poza tym wiem, że Laurence akceptuje mnie z tego samego powodu.

Kelner wraca po raz kolejny, tym razem podaje nam menu i oferuje wino. Avery odmawia, co nie jest zaskoczeniem... jej rodzice nie mają pojęcia, że okazjonalnie sięga po alkohol. To kolejny aspekt jej życia, który trzyma przed nimi w sekrecie.

*Boże broń, żeby okazała się normalną, młodą kobietą.*

Na szczęście mam ochotę na procenty, wiem że alkohol ukoji moje nerwy, ale Laurence chrząka wymownie. Z kolei jego żona, muszę to jej oddać,

wygląda jakby marzyła, żeby zamówił wino. Przecież i tak za to nie będzie płacił. To jest wliczone w serwis.

– Poprosimy z żoną wodę – mówi Laurence.

– Ja też – dodaje Avery. – Reece?

– Tak, no dobrze, my też poprosimy o wodę.

Gdy tylko to mówię, Lexie łapie mnie za rękaw i ciągnie.

– Czy mogę dostać colę, tatusiu? Proszę?

– I jeszcze colę dla niej.

Kim jestem, żeby odmówić, skoro tak ładnie poprosiła? No dobrze... o jejku... może to nie jest dla niej dobre. Może nie powinienem pozwalać jej na picie gazowanych napojów, albo dodawać czekolady do naleśników czy robić jej fałszywe tatuaże. Ale robię to. To cały ja. Takim jestem ojcem. Owszem, mam wady, ale wszystkie braki nadrabiam miłością. A tej mi nie brakuje. Mam nadzieję, że tym nie jestem w stanie jej zaszkodzić. Avery rozmawia z rodzicami a ja otwieram menu i odprężam się. Połowa to francuskie nazwy, mało jest wyjaśnień dotyczących poszczególnych potraw, a reszta brzmi tak apetycznie jak coś wyciągnięte z kosza na śmieci.

*Zanosi się na długą kolację.*

Lexie idzie w moje ślady, naśladuje mnie i wygląda na śmiertelnie poważną, gdy studiuje menu. Uśmiecham się i patrzę na nią, mówię cicho, nie przerywając innym rozmowy:

– Co chcesz, księżniczko?

– Nie wiem – szepcze. – Co to jest?

– Wiem tyle, co ty, kochanie.

Wskazuje na menu, które trzyma na kolanach i palcem pokazuje na słowa.

– Co to jest?

– Tatar z wielkookiego tuńczyka – czytam. – To surowa ryba.

– A mogą go ugotować bez wielkich oczu?

Chichoczę.

– Oni tego nie gotują... podają to na surowo. – Wskazuję na całą sekcję sushi. – To wszystko też jest surowe.

Marszczy nos i przenosi uwagę na coś innego.

– A co to jest?

– Obcięta fasolka.

– Czy to znaczy, że miała włosy?

– Nie wiem co to znaczy. To po francusku.

– Dlaczego to jest po francusku?

– Ponieważ to francuska restauracja.

– Aha.

Lexie dalej skanuje wzrokiem menu, zatrzymując się na słowach, które zna.

– Och, ser. Lubię ser! Tato, co znaczy to drugie słowo?

Patrzę na to, co pokazuję. *Sekcja ręcznie robionych serów.*

– Sztuka.

– Co to za ser?

– Swego rodzaju artystyczny – mruczę.

Słyszę śmiejącą się Avery. Zasłania usta dłonią, patrzy na nas, a potem na ojca. Rozmawiają o czymś, co brzmi dla mnie tak samo dziwnie jak menu, ale z kontekstu wnoszę, że chodzi o balet.

Kelner przynosi zamówione napoje i stawia ciężką szklankę z colą i lodem przed Lexie.

– Macie kubeczki z przykrywką? – pytam. – Albo słomki?

– Mogę podać słomkę.

– Dziękuję.

Kelner odchodzi, wraca po chwili z małą, czerwoną słomką używaną zazwyczaj do mieszania drinków. Wzdycham i biorę ją od niego. To może

wygenerować więcej problemów, niż zakładałem. W chwili gdy kelner pyta, czy jesteśmy gotowi z zamówieniem, Lexie odkłada menu i krzyczy:

– Nuggetsy z kurczaka!

Kobiety przy stole zaczynają się śmiać, a ja kręcę głową i przeglądam menu.

– Zamówimy dla niej cheesburgera z homarem.

– Co to jest homar? – pyta Lexie błędząc wzrokiem po swoim menu.

– To, uh... to owoce morza. Coś w stylu kraba.

– A co to krab?

Już miałem odpowiedzieć, że to coś podobnego do krewetek, gdy wtrąca się kelner:

– To jak *Sebastian z Małej Syrenki*. On jest krabem.

Lexie robi wielkie oczy. Jęczę. Kelner wygląda na zadowolonego z siebie z zejścia do poziomu dziecka, ale ja chcę go udusić za te słowa.

– Nie mogę zjeść Sebastiana! – krzyczy Lexie. – Tato, nie chcę tego!

Avery reaguje natychmiast.

– Czy możemy dostać zwykłego cheesburgera? Bez homara? Bez... no... *Sebastiana*?

– Oczywiście – odpowiada kelner, chrząka i mruczy pod nosem. –

Przepraszam.

Avery zamawia sałatkę z podwójnym, grillowanym kurczakiem, jej ojciec wybiera to samo, ale bez kurczaka, matka decyduje się na tatar z tuńczyka (wielkookiego). Lexie śmieje się i pyta, czy będzie jeść jego oczy. Gdy przychodzi moja kolej oddaję menu kelnerowi i zamawiam łososia z fasolką. Chciałem zamówić ciasto krabowe, ale po wywodzie córki nie mam teraz odwagi na taki krok.

– No więc, mam kilka nowinek – mówi Avery, kładąc ręce na kolanach. – Miałam dzisiaj przesłuchanie i dostałam rolę.



Laurence natychmiast dopytuje:

– Co to za rola?

– To tylko mała rola w musicalu – mówi. – Jestem dublerką i mam możliwość zostania kiedyś częścią zespołu tanecznego.

– Dublerka? – pyta Laurence. – Wysłaliśmy cię do Juilliard, żebyś była dla kogoś dublerką w musicalu?

Avery blednie a ja zaczynam się wtrącać, żeby podkreślić, jak ciężko pracowała, żeby dostać tę rolę, gdy Lexie wyciąga rękę po szklankę, żeby się napić. To się dzieje błyskawicznie i szklanka przechyla się w jej małych dłoniach. Zamieram w połowie słowa, szybko łapię szklankę, zanim wszystko się wylewa. Część wody się rozpryskuje, a kostki lodu spadają na nogi Lexie. Stawiam szklankę na stole, łapię serwetkę i wycieram jej kolana. Zamieszanie przerywa rozmowę.

W chwili gdy Laurence ponownie skupia się na swojej córce jej matka uśmiecha się słodko.

– To wspaniale, kochanie. Będziemy musieli kupić bilety.

Avery odwzajemnia uśmiech, kiwa głową i nic więcej nie mówi.

– Przepraszam, tato – mówi Lexie, podnosi kostkę lodu, wzrusza ramionami i wkłada ją do ust, ssąc głośno.

– Nic się nie stało, księżniczko – odpowiadam, kładąc jej serwetkę na kolanach. Wiem, że zrobi to ponownie. – Wypadki się zdarzają.

Kolacja strasznie mi się dłuży. Gdy w końcu zostaje podane nasze jedzenie Lexie odmawia zjedzenia swojego cheesburgera, na wypadek, gdyby jednak był w nim Sebastian. Oboje nie jesteśmy zachwyceni odkryciem, że *haricot verts* dla Francuzów to po prostu fasolka szparagowa. Przystaję interesować się swoim jedzeniem, gdy Lexie kradnie kurczaka z sałatki Avery, ignorując napięcie, które zdaje się rosnąć wprost proporcjonalnie do upływu czasu.

Oddycham z ulgą, gdy kolacja dobiega końca. Łapię Lexie za rękę i prowadzę w stronę wyjścia. Czekamy przy krawężniku na pozostałych, aż do nas dołączą. Avery żegna się z rodzicami, całuje ojca w policzki i przytula matkę, po czym wsiadają do czekającej na nich taksówki.

– Cóż...było tak ciężko jak się spodziewałam – mówi Avery i odwraca się do mnie. – Następnym razem to odwołam, zamiast iść do *pałacu z wymyślnym jedzeniem*.

– Teraz mówisz do rzeczy – żartuję, trąc ją łokciem. – Ale nie było aż tak źle.

– Nie było?

– Nie, przynajmniej dużo się dowiedzieliśmy, prawda księżniczko?

Lexie staje przede mną trzymając w dłoniach serwetkę, którą z jakiegoś niezrozumiałego powodu postanowiła ukraść.

– Nauczyłam się, że Francuzi do obiadu podają małe kocyki. – Macha w naszą stronę serwetką. – A określenia z włosami dotyczą tak naprawdę fasolki, a artyści mają swoje własne sery, chociaż tata jest artystą i nie ma swojego gatunku sera. Och! i jeszcze nauczyłam się, żeby więcej nie jeść cheesburgerów.

Patrzę na moją córkę i kręcę głową, gdy zawija serwetkę wokół swojej szyi. Odwracam się do Avery i unoszę brew.

– Nadal żałujesz, Afrodyto?

– Nie. – Przytula się do mnie i kładzie głowę na moim ramieniu. – Nigdy.

– Czas na lody? – pyta Lexie, odwracając się do nas. – Już jest po obiedzie.

– Brzmi dobrze. – Macham ręką. – Prowadź.

Kierujemy się do małej lodziarni na Broadwayu, nieco na uboczu. Gdy zbliżamy się na miejsce, kolejka do *Pinkberry* ustawiona stoi na ulicy. Nigdy więcej tu nie przyjdę. Lexie biegnie prosto do lady, przyciska ręce do plastikowej osłony i patrzy na wybór lodów.

– Trzy kulki!

– Jedna – mówię, podchodząc i stając za nią, cały czas trzymając Avery za rękę.

– Dwie? – negocjuje Lexie. – Proszę?

– W porządku. Dwie. Ale dasz mi spróbować.

Lexie patrz na mnie i marszczy noc. Negocjacje nie do końca idą po jej myśli.

– Dobra! Ciasteczkowe i o smaku gumy do żucia! Z bitą śmietaną, orzechami i ciepłym toffie i...

– Wystarczy.

– I z wiśniami! – Lexie uśmiecha się do sprzedawcy.

– Dziękuję. Masz na coś ochotę? – pytam Avery.

– Hmm... – Przygląda się całej gamie lodów. – Waniliowe we wafelku.

Drugi z pracowników przyjmuje zamówienie, a nastolatek nakłada lody. Płacę, a resztę częściowo wrzucam do słoika z napiwkami. Daję Lexie ćwierćdolarówkę.

– Masz.

Podeksytowana bierze monetę i biegnie w kierunku drzwi, gdzie klęka przed czerwoną maszyną na ćwierćdolarówki. Wkłada monetę i próbuje uruchomić urządzenie, ale nie rusza. Zostawiam Avery i idę jej pomóc. Przekręcam dźwignię, a różowa, świecąca kulka zmierza prosto w rękę Lexie. Bierze ją, podrzuca i zanim się orientuję rusza biegiem przez sklep. W ułamku sekundy tracę ją z oczu.

*Błagam, nie przewróć się i nie złam sobie niczego.*

Kręcę głową, patrzę na maszyny i z wahaniem wsuwam ćwierćdolarówkę w inną maszynę. Uruchamiam i zabieram małą, plastikową kulkę.

– Lody – woła Avery, unosząc w górę kubek z zamówionymi przez Lexie smakołykami... łącznie z wiśniami.

Lexie biegnie do niej i łapie swoje lody, a ja chowam plastikową kulkę do kieszeni.

– Chcesz trochę, tato? – pyta Lexie trzymając porcję lodów na łyżeczce.

Wszystko ma już razem wymieszane. Wygląda to jak kiepska sztuka.

– O nie. Opuść sobie to okropieństwo, dzięki.

Spacerujemy wzdłuż Broadwayu, nie spieszymy się, idziemy w jasnym blasku świateł i zgiełku miasta, a dziewczyny jedzą swoje lody. Sądzę, że pewnego dnia zobaczę tutaj nazwisko Avery. Pewnego dnia będzie kimś więcej niż czyimś zastępstwem.

Wiem o tym.

Wierzę w to.

Wierzę w *nią*.

Sięgam do kieszeni i wyciągam plastikową kulkę. Podaję ją Avery.

– Proszę. To dla ciebie...

– Och, nie powinieneś był. – Uśmiecha się i bierze ode mnie kulkę.

Otwiera i wyciąga mały, regulowany pierścionek mieniący się wszystkimi kolorami tęczy.

– Jest piękny!

– To niewiele, ale to wszystko co teraz mam. Na tyle mnie obecnie stać. Dosłownie. Wydałem na niego ostatnią ćwierćdolarówkę. – Avery się śmieje. – Ale pewnego dnia będę miał więcej – ciągnę. – A gdy to nastąpi... obiecuję, że będzie twoje.

Patrzy na mnie w milczeniu, po chwili patrzy na mały, plastikowy pierścionek. Kiwa subtelnie głową i wsuwa pierścionek na serdeczny palec, po czym unosi dłoń w światło księżyca.

– Nie potrzebuję nic więcej, Reece.

– Może nie, ale zasługujesz na więcej i zamierzam ci to dać. –

Uśmiecham się i pochylam, żeby ją pocałować. – Nawet jeżeli to będzie

oznaczało, że będę musiał zastawić kaseciaka i sprzedać nerkę, to bez mrugnięcia okiem to zrobię.

## FINAŁ

Metalowa kulka brzęczała wewnątrz puszeki podczas potrząsania i mieszania świeżej, czarnej farby. Jego dłoń zaciśnięta była na puszcze, gapił się na ścianę sklepu, którą miał przed sobą z przeciętnym graffiti, które namalował kiedyś jego przyjaciel. Minął niemal rok, a on nadal nie wymyślił co ma się znaleźć na białej ścianie. Jego przyjaciel powiedziałby: *jest to co jest*. Ale uważał, że to powinno być coś stałego. Może chmura, owca albo pianka... ale w tej chwili widział tylko puste płótno. Może taka właśnie była intencja jego przyjaciela.

Oddech mu drżał, nacisnął palcem na spust i usłyszał charakterystyczny syk uwolnionej farby. To był instynkt, stworzył wzór, którego nigdy nie zapomni, rysunek o którym wiedział, że będzie jego znakiem szczególnym. To był jego podpis, od tego czasu oznaczał swoje dzieła, chociaż pozostawał anonimowy. Z tym tylko, że teraz nie był anonimowy.

*Hatter.*

Przywykł do myślenia, że życie którego chciał było dla niego nieosiągalne. Oddalił się za bardzo od tego. Zbyt wiele rzeczy poszło źle, żeby to teraz zmienić.

Ale prawdziwy Hatter powiedziałby wam to samo, co ten z bajki: *to jest możliwie tylko wtedy, gdy w to uwierzysz*. Już dłużej w to nie wierzył. Miał wszystko o czym marzył: puste płótno, czyste konto i możliwość nowego początku. Poruszał ręką szybko i fachowo, wypełniając białą przestrzeń w centrum miasta postacią w ciemnym kapeluszu. Gdy skończył opuścił dłoń ze sprayem, popatrzył na dzieło i czuł unoszący się wokół ciężki odór farby. To było trochę jak *deja vu*, ale wiedział, że to tylko złudzenie. Wcale nie było tak

jak wcześniej. Nie zamierzał ponownie spieprzyć. Miał za dużo do stracenia.  
Nie mógł po raz drugi zrobić takich samych błędów.

KONIEC

